

Alistair MacLean
Alastair MacNeill

Nocna Straż

(Night Watch)

Przekład Andrzej Horodeński

Po długich negocjacjach dyrekcja Rijksmuseum w Amsterdamie godzi się na wysłanie bezcennego dzieła Rembrandta – „Nocnej straży” – w długą podróż po światowych galeriach sztuki. Przez całą drogę dzieło jest pilnie strzeżone. Mimo to, gdy obraz dociera do Metropolitan Museum w Nowym Jorku, wybitny specjalista od malarstwa XVII wieku stwierdza, że mała kropka na żołnierskim werblu jest czerwona, choć powinna być czarna...

UNACO, organizacja do zwalczania przestępczości założona przez ONZ, natychmiast przystępuje do działania. Agenci Mike Graham, C.W. Whitlock i Sabrina Carver mają za zadanie stwierdzić, jak i kiedy została dokonana zamiana, kto jest fałszerzem oraz, co najważniejsze, w czyjej prywatnej kolekcji znajduje się obecnie oryginał. Zadanie jest ściśle tajne; nikt nie może wiedzieć, że kolejni miłośnicy sztuki podziwiający dzieło w Metropolitan Museum mają do czynienia z doskonale zrobionym, wszelako fałszyfikatem.

Przenosząca Czytelnika z Holandii do Stanów, stamtąd do Rio de Janeiro na czas karnawału, *Nocna straż* jest pełnym napięcia przygodowym thrillerem o szybkiej akcji. Po bardzo udanym *Pociągu śmierci* to drugi szkic Alistaira MacLeana rozszerzony po jego śmierci do rozmiaru powieści. Mamy nadzieję, że publikacja *Nocnej straży* i następnych powieści opartych na szkicach Alistaira MacLeana sprawi satysfakcję rzeszom Czytelników, odczuwających brak mistrza opowieści. *Nocna straż* jest w każdym momencie równie ekscytująca jak oryginalne thrillery Mistrza, które przyniosły mu sławę.

Prolog

Pewnego wrześniowego dnia 1979 roku Sekretarz Generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych przewodniczył nadzwyczajnemu zebraniu czterdziestu sześciu pełnomocników reprezentujących praktycznie wszystkie kraje świata. Temat zebrania był tylko jeden – narastająca fala międzynarodowej przestępczości. Problem tkwił w tym, że kryminaliści i terroryści są w stanie uderzyć na terenie jednego kraju i natychmiast przenieść się do innego, podczas gdy siły policyjne nie mogą przekraczać granic bez naruszenia suwerennych praw innego państwa. Co gorsza, procedura biurokratyczna związana ze sprawami ekstradycji (w krajach, które ją stosowały) jest kosztowna i długotrwała. Działa również wielu znajdujących luki w przepisach i pozbawionych skrupułów prawników, którzy często doprowadzają do bezwarunkowego zwolnienia ujętych przestępców.

Trzeba było znaleźć rozwiązanie. Zebrani zgodzili się, że należy sformować międzynarodowe uderzeniowe siły policyjne, działające pod egidą Rady Bezpieczeństwa ONZ. Ustalono, że wkrótce zostanie zorganizowana Agencja Narodów Zjednoczonych do Zwalczenia Przestępczości (UNACO), której celem będzie „prewencja, neutralizacja i wykrywanie osób lub grup zaangażowanych w międzynarodową działalność kryminalną”* [*Karta UNACO, artykuł 1, paragraf 1c.]. Każdy z czterdziestu sześciu reprezentantów został poproszony o przedstawienie dokładnego życiorysu kandydata zgłoszonego przez swój rząd na stanowisko dyrektora UNACO. Wyboru miał dokonać osobiście Sekretarz Generalny ONZ.

Tajną organizację UNACO powołano 1 marca 1980 roku.

Rozdział I

Mieszcząca się na trzecim piętrze magazynu przy 27. East Street, z widokiem na rzekę Hudson, firma rewidentów księgowych Messler & Goldstein stanowiła w rzeczywistości przykrywkę II Wydziału Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA), zajmującego się rekrutacją, rozmieszczeniem i nadzorem podwójnych agentów za granicą.

Brad Holden od siedmiu lat był szefem sekcji komputerowej II Wydziału oraz od osiemnastu miesięcy agentem KGB. Jego postępowanie nie miało nic wspólnego z postawą ideologiczną czy też rozczarowaniem do „amerykańskiego snu” – zależało mu wyłącznie na pieniądzu. Holden rozpaczliwie potrzebował szmalu na pokrycie swych długów hazardowych.

Mimo skrupulatnego zacierania śladów, podwójna gra Holdena wyszła na jaw. W CIA zdecydowano się wykorzystać Holdena – bez jego wiedzy – do dezinformowania rosyjskich przełożonych agenta. Przez cały rok udawało się to znakomicie, aż do momentu, w którym na biurku Holdena pojawiła się brązowa koperta, a w niej pół tuzina zdjęć przedstawiających jego spotkania z agentem KGB w Tompkins Square Park. Załączona notatka zawierała polecenie włamania się w ciągu miesiąca do tajnego programu komputerowego Alfa i wydostania nazwisk agentów działających w tzw. Operacji Poczwórnej; w razie odmowy negatywy zdjęć zostałyby przesłane redakcji „New York Timesa”. Zachętą do działania była obietnica zwrotu negatywów oraz dwudziestu pięciu tysięcy dolarów w gotówce. Nie podpisana przez nikogo notatka kończyła się stwierdzeniem, że dalsze instrukcje zostaną przekazane później. Szacując wysokość obiecanej sumy, Holden zdecydował się bez wahania. Znał z grubsza strukturę programu Alfa, zainstalowanego w kwaterze CIA w Langley w Wirginii. Następne szesnaście dni spędził pochylony nad domowymi komputerami połączonymi w złożoną sieć, aż w końcu włamał się do programu i wyciągnął zeń informacje dotyczące najbardziej tajnej operacji CIA, jaką kiedykolwiek przedsięwzięto. Druga koperta, którą otrzymał dokładnie w trzy tygodnie po pierwszej, zawierała pieniądze na powrotny bilet lotniczy do Amsterdamu, a także klucz do skrytki dworcowej na amsterdamskim Central Station. Tam miały czekać na niego pieniądze.

* * *

Pociąg z Schiphol Airport do Central Station jeździł co piętnaście minut. *Dames en heren, Central Station* – „Panie i panowie, Stacja Centralna” – głos spikera wyrwał Holdena z zadumy; instynktownie dotknął koperty w wewnętrznej kieszeni grubej kurtki. Wstał i pochyliwszy się lekko, ze znużeniem przetarł oczy. Pociąg zwalniał, wpełzał powoli do dziewiętnastowiecznego neogotyckiego budynku stacji, aż wreszcie zatrzymał się przy peronie. Drzwi wagonu otworzyły się z sykiem. Pasażerowie zaczęli wychodzić. Holden podniósł leżący obok na pustym siedzeniu

słomiany kapelusz i włożył go na swe jasne włosy, wziął w rękę teczkę z zagłowego płótna i przyłączył się do kolejki wychodzących z pociągu ludzi. Wyszedł z wagonu, oddał bilet stojącemu przy barierze kolejarzowi i po chwili, wtopiony w tłum, dotarł do skrytek dworcowych. Otworzył tę oznaczoną numerem wytłoczonym na kluczu. Ostrożnie wyjął ze skrytki znajdującą się tam teczkę, następnie położył na jej miejsce nie oznakowaną z zewnątrz białą kopertę. Zamknął drzwi skrytki i włożył klucz do kieszeni. Wziął teczkę i skierował się do wyjścia.

– Chwileczkę! – Holden zatrzymał się jak wrośnięty. Przez ułamek sekundy rozważał idiotyczny pomysł natychmiastowej ucieczki, wiedział jednak, że przy jego tuszy nie uciekłyby daleko, nawet gdyby nie został od razu zastrzelony. Znał dostatecznie dobrze metody CIA. Pełen strachu, odwrócił się powoli.

Mężczyzna miał około dwudziestu pięciu lat, kędzierzawe czarne włosy i przyjazny, ujmujący uśmiech. Uważnie przyglądał się Holdenowi. – Jest pan błady jak duch.

– Kim jesteś? – wyjąkał Holden.

– Taksówkarzem. Pomyślałem, że może potrzebuje pan taksówki – zachichotał mężczyzna. – A sądził pan, że kim jestem?

– Sam nie wiem. – Holden wierzchem dłoni otarł pot z czoła. – Przestraszył mnie pan.

– Przepraszam. No więc, potrzebuje pan taksówki czy nie?

– Potrzebuję, cholera.

Mężczyzna wziął teczkę z ręki Holdena i ruszył w stronę postoj. – Dokąd jedziemy, szefie?

– Czy jest tu hotel Holiday Inn?

– Oczywiście – odparł taksówkarz i otworzył bagażnik. – Schować teczkę?

– Nie, wezmę ją ze sobą – rzucił szorstko Holden, usiadł z tyłu i zamknął drzwi. Teczkę położył na kolanach.

Gdy taksówka ruszyła, sięgnął po „Timesa” leżącego obok na siedzeniu. Na pierwszej stronie gazety była duża czarno-biała fotografia obrazu Rembrandta *Nocna straż* i tytuł: ARCYDZIEŁO ROZPOCZYNA HISTORYCZNĄ PODRÓŻ. Mimo że nie interesował się sztuką, prześledził wzrokiem kilka pierwszych akapitów. Bezcenny obraz *Nocna straż*, rozpoczynający właśnie podróż po pięciu krajach, miał być wyniesiony z otoczonego kordonem policji budynku Rijksmuseum pod najściślejszą ochroną, jaką kiedykolwiek widziano w Amsterdamie. Zauważył, że nowojorskie Metropolitan Museum miało być częścią trasy. Holden nie miał najmniejszego zamiaru tracić czasu w kolejce, aby pogapić się na jakieś stare płótno. Odłożył gazetę i skierował uwagę na teczkę. Ktokolwiek przesłał mu pieniądze, na pewno miał poczucie humoru. Kombinacja cyfr w zamku była datą jego urodzenia. Swoistego rodzaju prezent urodzinowy równy dwudziestu pięciu tysiącom dolarów w gotówce, wolnym od podatku. Delektując się chwilą, powoli uchylił wieko. Miał tylko ułamek sekundy na obejrzenie starannie ułożonych

plastykowych ładunków wybuchowych, zanim nastąpiła eksplozja.

Taksówka, która właśnie minęła Pałac Królewski, została rozerwana na strzępy. Jej fragmenty – śmiertelne pociski gotowe przeszyć cokolwiek lub kogokolwiek na swej drodze – wybuch porzucił na dużej przestrzeni.

Koszmar się zaczął.

* * *

Bomba zabiła pięć osób, w tym siedmiomiesięczne dziecko.

Większość krajowych gazet rozważała możliwość ataku terrorystycznego, ale wszystkie zgodnie wzywały rząd do podjęcia wszelkich możliwych działań prowadzących do ujęcia odpowiedzialnych za eksplozję.

Tego ranka w Rijksmuseum nadal była silna obstawa, pomimo mniejszej, niż oczekiwano, liczby osób przyglądających się załadunkowi obrazu do pancernego samochodu, którym miał być przewieziony do Schiphol Airport. Stamtąd obraz powinien odlecieć do Wiednia, stanowiącego początek historycznej trasy. Kulminacyjny punkt podróży miał nastąpić cztery miesiące później w nowojorskim Metropolitan Museum of Art, będącym ostatnią z pięciu galerii uczestniczących w przedsięwzięciu.

Rozdział II

Mający niewiele po pięćdziesiątce Louis Armand był niewysokim, eleganckim mężczyzną o falujących czarnych włosach i wąskich ustach, które sprawiały wrażenie narysowanych ołówkiem do brwi. Ten ekspert od siedemnastowiecznej sztuki holenderskiej rezydował w Metropolitan Museum. Od siedmiu lat utrzymywał utajone powiązania z muzeum w Luwrze, na rzecz którego „kłusował” w Ameryce.

Armand poprawił goździk w klapie swej prążkowanej marynarki, strząsnął niewidoczny pyłek z rękawa i przeszedł przez główny hali do frontowego wejścia. Padający nocą ulewny deszcz zmienił się w dokuczliwą mżawkę. Tłum gapiów wypełniający 5. Avenue oczekiwał na swą świętość pod oceanem kolorowych parasolek. Czego oni się spodziewają? Armand nie widział powodu, aby przewożony z lotniska obraz traktować jak jakieś cenne trofeum.

– Patrząc na ten tłum można by pomyśleć, że będzie przejeżdżał prezydent – do uszu Armanda dotarł fragment rozmowy pracowników galerii. Dojrzał na nich ponuro.

– Raczej nie. Prezydenta można zastąpić.

– O, Louis. Cześć. Cieszę się, że zdążyłem na czas. „Powinieneś tu być najwcześniej ze wszystkich”, pomyślał Armand z niechęcią. Odwrócił się do dra Geralda Stanholme’a – był to dyrektor muzeum, skądinąd człowiek o bardzo towarzyskim usposobieniu. Uśmiechnął się do niego blado i spojrzął na zegarek. – Obraz powinien być lada moment.

– Chyba jest pan podekscytowany.

– O, tak. To wielki dzień dla naszego muzeum.

– I wielki tydzień, jak sądzę. Finansowo żadna inna wystawa tej nie dorówna.

Finansowo? Armand zawsze uważał Stanholme’a za filistra, a teraz on sam to potwierdził. Jak on mógł myśleć o wystawianiu Nocnej straży pod kątem spodziewanego zysku? Gdyby to zależało od Annanda, nikt nie płaciłby za oglądanie obrazu. Każda cena wydawała mu się niestosowna w porównaniu z wielkością i pięknem tego arcydzieła.

Na widok samochodu patrolowego, poprzedzającego opancerzony pojazd, z tłumu po wschodniej stronie muzeum dał się nagle słyszeć aplauz. Patrol nie zatrzymał się – jego kierowca dał przyjazny znak załodze pancernego samochodu – i zniknął w 83. East Street. Fotografowie zajmowali dogodne pozycje, gdy pojazd zbliżał się do frontu muzeum. Z samochodu wyskoczył ubrany na czarno strażnik z pałką i pistoletem 357 Smith & Wesson u pasa. Czujnym spojrzeniem omiół otoczenie. Zaczekał, aż strażnicy muzeum utworzą szpaler po obu stronach schodów prowadzących do wejścia. Uniósł przyłbicę hełmu, wyjął z kieszeni pęk kluczy i skierował się do tylnych drzwi samochodu, aby je otworzyć. Ze środka wyskoczyli dwaj inni strażnicy i zajęli pozycje po obu stronach drzwi, trzymając przed sobą automatyczne karabiny typu M1 6.

Stanholme zaczął schodzić ze schodów, zwracając uwagę fotografów. Obejrzał się i dał znak Armandowi, aby szedł za nim. Armand, z trudem ukrywając zadowolenie, z udawanym oporem stanął obok Stanholme'a przed drzwiami pancernego pojazdu. Zaczynało to wyglądać jak widowisko cyrkowe, w którym Stanholme był głównym konferansjerem.

– Louis, uśmiechnij się do kamer – powiedział Stanholme jowialnie. Armand dostosował się, mając nadzieję, że nie wygląda to jak grymas.

Blondyn około czterdziestki, o różowej cerze, wyskoczył z pojazdu, otrzepał z kurzu bładoniebieski garnitur i zwrócił się do dwóch mężczyzn. – Doktor Stanholme? – zapytał z wyraźnym holenderskim akcentem.

– Ja jestem Gerald Stanholme. Pan Van Dehn, jak sądzę.

– Van Dehn, Mils Van Dehn, asystent kuratora w Rijksmuseum – odpowiedział mężczyzna potrząsając dłonią Stanholme'a. Stanholme przedstawił go Armandowi i obaj mężczyźni również uścisnęli sobie ręce.

– Tinus de Jongh prosił mnie o przekazanie panu pozdrowień.

– Tinus? *Mon Dieu*. Przez lata nie miałem od niego wiadomości. Czy nadal jest w Rijksmuseum ekspertem od siedemnastego wieku?

– W przyszłym roku przechodzi na emeryturę – odparł Van Dehn.

– Później będziecie mieli czas na rozmowę. Zajmijmy się obrazem – Stanholme udał się na tył opancerzonego samochodu.

Van Dehn spojrział na niego z zakłopotaniem. – Nigdy nie sądziłem, że jeden obraz może wywołać takie podniecenie. Tu jest atmosfera karnawału.

– A co pan myśli? Przecież to Ameryka – odrzekł Armand z widocznym niesmakiem.

Armand i Van Dehn dołączyli do Stanholme'a, obserwującego, jak czterech pracowników muzeum odpina skórzane umocowania obrazu od ściany pojazdu. Po zdjęciu dwóch warstw folii okrywających wodoodporną skrzynię wyniesiono ją z samochodu. Fotografowie zaczęli wykrzykiwać dziesiątki instrukcji do tragarzy, chcąc ich nakłonić do pozowania obok stojącej skrzyni. Flesze błyskały z furją, a tragarze spoglądali na siebie, ogłuszeni zgiełkiem.

– Wnoście to do środka – syknął do nich Stanholme i odwrócił się do rzędu kłęczących fotografów z uspokajającym uśmiechem na twarzy. – Spokojnie chłopcy, zróbcie sobie przerwę. Gdy to zawiśnie w środku, dam dziesięć minut specjalnie dla was, jeszcze przed otwarciem wystawy. Nic więcej obiecać nie mogę.

Tłum reporterów zareagował niechętnym pomrukiem, niemniej była to propozycja do przyjęcia. Reporterzy CBS i NBC skierowali kamery na tłum z zamiarem wyłowienia jakichś wypowiedzi nadających się do wieczornych wiadomości, choć z góry wiedzieli, że nic z tego nie wyjdzie.

Van Dehn uważnie obserwował tragarzy powoli pokonujących schody. Nerwowo zaciskał

i otwierał dłonie, gotów w każdej chwili skoczyć na pomoc, gdyby któryś z mających buty na gumowych podszewkach robotników poślizgnął się na mokrym betonie.

Armand położył dłoń na ramieniu Van Dehna. – To najlepsi ludzie, jakich mamy. Nigdy nie widziałem, aby coś upuścili, a to o czymś świadczy. Zwłaszcza że Metropolitan jest największym składem dzieł sztuki na zachodniej półkuli. Mamy milion pozycji w naszych zbiorach.

Van Dehn uśmiechnął się głupio. – Przepraszam, to nie dlatego, że im nie dowierzam, tylko po prostu jestem odpowiedzialny za obraz i gdyby cokolwiek się stało...

– Gdyby coś się miało zdarzyć, to już by się zdarzyło w jakiejś innej galerii. Teraz jesteśmy w Metropolitan.

Obaj posuwali się w ślad za tragarzami do głównego hallu, potem po schodach na drugie piętro, gdzie Armand wyjął pęk kluczy z kieszeni marynarki i skierował się do drewnianych drzwi oddzielających galerię sztuki europejskiej i dwudziestowiecznej. Na drzwiach widniał napis: L. ARMAND – PRIVATE. Otworzył je i stanął z boku, przepuszczając obraz.

Van Dehn wszedł i rozejrzał się. Gabinet był wspaniale urządzone: puszysty dywan pokrywający całą podłogę, a także tekowe biurko i doskonale pasujący zestaw wysokich, skórzanych foteli. Ścianę za biurkiem pokrywały rzędy półek, gęsto wypełnionych setkami książek z dziedziny sztuki. Kolekcja ta na każdym musiała zrobić wrażenie.

– Herbata czy kawa? – zapytał Armand Van Dehna.

– Poproszę kawę. – Van Dehn zanurzył się w jednym z foteli.

Armand zamówił dwie kawy i usiadł za biurkiem. – Mam wrażenie, że chętnie już by pan wrócił do Amsterdamu.

– Od czterech miesięcy jestem w nieustannym napięciu, ale nie żałuję ani jednej chwili.

– Wierzę. Ostatecznie, nie co dzień człowiek ma możliwość strzeżenia *Kompanii kapitana Fransa Banninga Cocqa i porucznika Willema van Ruytenburcha*.

Jak wielu ludzi z branży, Armand nigdy nie używał popularnego, lecz nieprawidłowego tytułu obrazu – *Nocna straż*. Nieporozumienie powstało na początku XIX wieku, gdy lakier na płótnie pociemniał do tego stopnia, że historycy i znawcy sztuki tego okresu szczerze wierzyli, iż scena odbywa się nocą. Trwało to do 1947 roku, kiedy obraz oczyszczono i prawdziwy kształt dzieła został ponownie odkryty. To była scena w świetle dnia. Pomimo tej rewelacji, określenie *Nocna straż* przetrwało ku zmartwieniu ekspertów takich jak Armand.

Do pokoju wniesiono sztalugi. Jeden z mężczyzn zapytał Armanda, czy chce, aby obraz został na nich zawieszony.

– Tak, powieście go na sztalugach. Im wcześniej go sprawdzę, tym wcześniej będzie go można wystawić do oglądania.

– Nie rozumiem, dlaczego chce pan go sprawdzać? – zapytał Van Dehn, gdy robotnicy wyszli z pokoju. – Czyżby kwestionował pan jego autentyczność?

– To jest standardowa procedura obowiązująca w Metropolitan Museum – wszystkie eksponaty przed wystawieniem na widok publiczny muszą być sprawdzone przez eksperta. – Armand zbliżył się do obrazu i spojrzał na Van Dehna. – To była odpowiedź oficjalna. Czekałem na ten moment przez czterdzieści lat. Według mnie to najwspanialsze dzieło Rembrandta. A teraz mam go w moim biurze! Patrząc na nie, czuję głęboką pokorę. Oczywiście, nie kwestionuję autentyczności, lecz na pewno nie odmówi mi pan kilku minut na podziwianie dzieła tu, w prywatności mego gabinetu? Niech popatrzę, nigdy już nie będę miał takiej okazji.

– Ach, oczywiście! – Van Dehn się uśmiechnął. – Proszę bardzo.

Obraz *Kompania kapitana Fransa Banninga Cocqino i porucznika Willema van Ruytenburcha* został zlecony do wykonania w grudniu 1640 roku przez bogatego i ambitnego Cocqę na rzecz Kloveniersdoelen, kompanii muszkieterów stacjonujących na tej samej ulicy, na której mieszkał Rembrandt. Malowanie obrazu trwało do czerwca 1642 roku. W tym samym miesiącu zmarła Saskia będąca od ośmiu lat ukochaną żoną Rembrandta. Miał on wówczas trzydzieści siedem lat. Obraz ukazuje Cocqę i Van Ruytenburcha otoczonych resztą kompanii uzbrojonej w piki i muszkiety, przygotowującej się do wymarszu pod masywnymi, ukrytymi w cieniu arkadami. Drugi plan rozjaśniają promienie jakiegoś niewidocznego źródła światła.

Zdaniem Armanda mistrzostwo, z jakim Rembrandt zastosował światło i cień do tworzenia nastroju, powodowało, że obraz był jednym z najsubtelniejszych istniejących przykładów barokowego *chiaroscuro*. Jeżeli dzieło miało jakiś słaby punkt, co Armand przyznawał z niechęcią, była to ubrana na białą dziewczynka na lewo od Cocqę. Poza symboliką emblematu Klovermer w kształcie pazura wiszącego u jej talii, wydawała się być nie na swoim miejscu pomiędzy uzbrojonymi muszkieterami. Mimo to jej obecność niewiele pomniejszała oczywistą wielkość dzieła. Armand wielokrotnie oglądał obraz w Rijksmuseum i za każdym razem uderzała go wyrażona na płótnie duma i godność przedstawionych osób, poczynając od wysokiego, przystojnego chorążego trzymającego zielono-złoty sztandar, a kończąc na małym werbliście o ostrych rysach, widocznym częściowo po prawej stronie. Wszyscy sprawiali wrażenie całkowicie zdecydowanych i gotowych do spełniania swych zadań.

Armand zatrzymał wzrok na werbliście. Gdzieś w zakamarkach myśli słyszał jakiś ostrzegawczy sygnał, coś go dręczyło, lecz na razie nie wiedział co. Spojrzał na brązowego kundla płaczącego się u stóp werblistry, potem na gestykulującą postać z tyłu za nim... Werbliستا ciągle jednak przykuwał jego wzrok. I wreszcie zrozumiał – nie chodziło o werblistę, przyczyną jego niepokoju był werbel. Kropka na środku werbla powinna być czarna! Na płótnie była czerwona...

Van Dehn zauważył konsternację na twarzy Armanda, lecz gdy spróbował coś powiedzieć, ten wstrzymał go ruchem dłoni. Armand rzadko miewał wątpliwości w zakresie swej wiedzy i pamięci, lecz teraz to się właśnie zdarzyło. Czyżby przez tyle lat się mylił? Czy sam sobie

wyobraził, że kropka jest czarna?

– Coś nie w porządku? – spytał Van Dehn. Przedłużająca się cisza wprawiła go w narastający niepokój.

– Niech się pan odwróci! – powiedział szorstko Armand.

– Co?!

– Niech pan stanie tyłem do obrazu!

Van Dehn obrócił się niechętnie.

– Proszę mi powiedzieć, jaki kolor ma kropka na werblu? – zapytał Armand.

– No, przecież...

– Pytam, jaki ma kolor? – przerwał ostro Armand.

– Sądzę, że czarny – niechęć Van Dehna wcale nie zmaląła.

– Czy nie jest cokolwiek dziwny sposób, w jaki przyjmujemy rzeczy za oczywiste? Ja, na przykład, wychowałem się nad morzem. Gdy miałem dziesięć lat, było dla mnie naturalne, że dom rodzinny musi znajdować się nad morzem. Pan obraca się wśród największych na świecie dzieł sztuki i ten stan jest dla pana czymś naturalnym. – Armand zdjął książkę z półki, przejrzał indeks i otworzył na odpowiedniej stronie. – Ja też sądzą, że powinna być czarna. Obaj mamy rację – stuknął palcem w fotografię w książce. – Ale kropka na pańskim obrazie nie jest czarna, tylko czerwona.

Van Dehn studiował kropkę, oglądając ją pod różnymi kątami. – Ona nie jest czerwona – stwierdził.

– Można to określić jako karmazyn. Nawet magentę. Ale na pewno nie czerń.

Na twarzy Van Dehna pojawił się widoczny strach. Wziął książkę ze stołu i oglądał zdjęcie przez chwilę, zanim zaczął je porównywać z obrazem. Tymczasem Armand znalazł trzy inne kolorowe fotografie dzieła. Ponad wszelką wątpliwość, we wszystkich przypadkach kropka na werblu była czarna.

– Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie. – Rozpacz w głosie Van Dehna była wyraźna.

– Może światło?

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła kelnerka z kantyny i postawiła dwie kawy na biurku.

– Gdyby coś się działo ze światłem, dotyczyłoby to również reszty obrazu, na przykład ubrania Cocqa. A ono jest czarne i na obrazie, i na zdjęciach. Nie, to nie światło.

Van Dehn odłożył książkę na biurko, usiadł na brzegu fotela i zapatrzył się w dywan. Był wstrząśnięty. Gdy podniósł głowę, jego czoło było pokryte potem. Spojrzał na filiżanki kawy. – Nie ma pan czegoś... mocniejszego?

Armand skinął głową. Z dolnej szuflady biurka wyjął szklanekę i butelkę burbona, nalał sporą porcję Dehnowi. Już miał zamiar schować butelkę, lecz pomyślał, że jemu też się przyda. Wypił trunek jednym haustem, zaczął mierzyć wymiary obrazu – 141 na 172 cale, pełna zgodność

z oryginałem. Gdy obraz w 1715 roku przenoszono do siedziby Rady Wojennej miasta Amsterdam, urwano kawałek płótna z lewej strony. Bez zdziwienia stwierdził, że falsyfikat ma dokładnie tę samą skazę.

– Co zrobimy, Armand? Co zrobimy, do cholery?

– Po pierwsze, nie wpadajmy w panikę. Zadzwoń do Stanholme’a. On musi dowiedzieć się o tym tutaj.

Armand wykręcił numer biura Stanholme’a, lecz nie było odpowiedzi. Zadzwoił więc do centrali i poprosił operatora o odnalezienie dyrektora.

Po minucie zjawił się zdyszany Stanholme. – Operator powiedział, że mnie pilnie poszukujesz. Czy nic się nie stało z... – Z napięciem przyglądał się obrazowi.

– To jest falsyfikat! – wypalił Van Dehn.

Stanholme spojrzał na Armanda oczekując potwierdzenia. Armand wskazał na obraz. – Jakiego koloru jest kropka w środku werbla?

Stanholme przyglądał się przez chwilę.

– Ciemnoczerwona. Powiedzmy, karmazynowa.

– Czarna?

– Louis, na miłość boską, skończ te żarty! Czy Van Dehn ma rację? Czy to fałszerstwo?

– Czy ona jest czarna, doktorze Stanholme?

– Nie, absolutnie nie – odpowiedział Stanholme bez wahania.

Armand wskazał na cztery książki leżące na biurku. – Spójrz na kropkę na tych zdjęciach. Jest karmazynowa czy czarna?

Stanholme dokładnie przyjrzał się wszystkim czterem fotografiom i powoli przetarł twarz dłonią. – Jezu Chryste, jak to się mogło stać?!

Van Dehn ciężko uniósł się z fotela, gdy obaj pozostali mężczyźni patrzyli na niego oczekując wyjaśnienia. – Chyba nie sądzicie, że mam z tym coś wspólnego?

– Pan miał możliwość...

– Możliwość?! – Van Dehn przerwał mu ze złością. – Czy macie jakiś dowód uzasadniający oskarżenie? Czy po prostu szukacie kozła ofiarnego, żeby odwrócić uwagę od waszego nieskazitelnego muzeum?

– Panowie, bardzo proszę – powiedział Stanholme pojednawczo, unosząc rękę do góry w uspokajającym geście.

– To nas donikąd nie zaprowadzi. Louis, nie jesteś detektywem. Żaden z nas nie jest. Zostawmy to odpowiednim władzom. Naszym głównym problemem są w tej chwili dziennikarze na zewnątrz.

– Co ma pan zamiar im powiedzieć? – zapytał Van Dehn.

Stanholme spojrzał na Armanda.

– Jak dobre jest to fałszerstwo.

– Van Meegeren nie zrobiłby tego lepiej.

– Więc myślisz, że możemy bez ryzyka wystawić go na pokaz?

– Bez żadnego ryzyka.

– Ale ty zauważyłeś, że to fałszerstwo.

– Za to mi płacisz, doktorze Stanholme.

– No tak, Louis, ale jeżeli ty zauważyłeś błąd fałszerza, to skąd pewność, że nikt inny tego nie zauważy.

– Mogę podać trzy powody. Po pierwsze, na temat tego obrazu pisałem pracę doktorską na uniwersytecie i znam go na pamięć. Po drugie, w tym kraju jest może pięć osób, które o sztuce europejskiej wiedzą więcej niż ja. Po trzecie, dziewięćdziesiąt procent oglądających nie odróżnia Halsa od de Keysera ani też Vermeera od Rembrandta. Pozostałe dziesięć procent uważa się za wielbicieli sztuki i przychodzi tu nie po to, aby znajdować błędy, tylko po to, by podziwiać jedno z największych arcydzieł świata. Ta kropka mogłaby być w dowolnym kolorze i gwarantuję, że nikt nawet nie pomyśli o jej kwestionowaniu.

Stanholme długo przyglądał się obrazowi.

– Nadal nie mogę uwierzyć. Fałszerstwo! Czy nie ma już nic świętego?

– Przeniesiemy go do galerii, a ty skontaktuj się z władzami – powiedział Armand przerywając ciszę.

Stanholme z rezygnacją skinął głową, wstał i wyszedł z pokoju. Spoglądając pogardliwie na Van Dehna, Armand podniósł słuchawkę telefonu i polecił tragarzom przyjść do swego biura.

Rozdział III

Przyjaciele Sabriny Carver jadali w Four Seasons, Lutece lub Parioli Romanissimo, pili Bollinger RD, Roederer Cristal i Tattinger, ubierali się w Boutique Valentino lub Halston & Sym's, gdzie wybierali najnowsze modele Cartiera lub Fiorucci & Klein. Krótka rzecz ujmując, przyjaciele Sabriny Carver należeli do najbardziej snobistycznej elity Nowego Jorku.

Nikt z przyjaciół Sabriny Carver nie wiedział jednak nic o jej podwójnym życiu, przeciwnie – wszyscy sądzili, że jest tłumaczką w ONZ. Stanowiło to bardzo wiarygodną przykrywkę, ponieważ wiadano, że jej ojciec był kiedyś ambasadorem USA i swe dzieciństwo Sabrina spędziła w Waszyngtonie, Montrealu i Londynie. W Wellesley College uzyskała stopień naukowy z romanistyki. Na paryskiej Sorbonie napisała nawet pracę doktorską. Nie obroniła jej, gdyż równolegle rozpoczęła obiecującą karierę aktorki. Jednak nikt z przyjaciół Sabriny nie wiedział, że po powrocie do Stanów, nie bez wpływu jej ojca, została agentką FBI. Wkrótce okazało się, że piękna Sabrina posiada wyjątkowe uzdolnienia strzeleckie. Jednak niechęć nieco ograniczonych kolegów z pracy, którzy uważali, że Sabrina robi karierę dzięki pozycji swego ojca, spowodowała jej rezygnację i przejście do UNACO. Było to dwa lata temu – dziś była dwudziestoosmioletnią, lecz nadal najmłodszą agentką operacyjną w agencji.

Sabrina zaparkowała swego mercedesa 500 SEC, w kolorze złotego szampana, przy drewnianym molo, wyjęła ze skrytki pistolet Beretta 92, wyszła z samochodu i spojrzała w niebo. Ciemne, ponure chmury, które groziły deszczem, gdy wychodziła z domu pół godziny wcześniej, teraz podplęły nad Atlantyk pozostawiając za sobą Brooklyn skąpany w słońcu. Sabrina ubrana w szary sweterek, luźne džinsy i tenisówki, zaczynała odczuwać narastający upał. Niedbały ubiór nie był w stanie ukryć doskonałości sylwetki, a oszczędny makijaż zaledwie podkreślał klasyczną urodę. Jasne, złotawe, sięgające ramion włosy, którym u Christine Valmy na 5. Avenue dodano nieco kasztanowego połysku, były spięte do góry i schowane pod czapczką baseballowego klubu LA Dodgers.

Sabrina włożyła słoneczne okulary i rozejrzała się wokoło. Na lewo, trzydzieści jardów od niej stał pokryty malunkami magazyn z wybitymi dawno oknami i powykrzywianymi, zardzewiałymi ramami. Zacumowany na wprost magazynu trawler długości czterdziestu pięciu stóp również był stary i przerdzewiały. Sabrina miała odzyskać znajdującą się na trawlerze czarną, skórzaną teczkę z dokumentami.

Wiedziała, że statku strzegą trzej uzbrojeni mężczyźni, których obowiązkiem było ją powstrzymać. Strażnicy mogli być ukryci gdziekolwiek.

Sabrina zastanawiała się nad swym pierwszym ruchem. Co najmniej jeden strzelec musiał być ukryty za najwyższym położonym oknem magazynu, co powodowało, że drogę przez molo trzeba było od razu wykluczyć. Rozważała myśl o dopłynięciu wpław, lecz wówczas byłaby zbyt

łatwym celem. Jedyna droga mogła prowadzić przez tył magazynu. Ale czy oni nie zdawali sobie z tego sprawy? Wiedziała, że ma tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Wyskoczyła zza mercedesa, szybko przebiegła do magazynu i przylgnęła do ceglanego muru. Na razie poszło łatwo. To była jedyna ściana bez okien, dawała więc dobrą osłonę. Ostrożnie wyjrzała zza rogu – teren sprawiał wrażenie opuszczonego. Zauważyła żelazną drabinę opartą o ścianę pomiędzy drzwiami i oknem. To nasunęło jej pewną myśl. Przebiegła koło okna, szybko wspięła się na wysokość dwunastego stopnia i zatrzymała na chwilę. Nadal nic się nie działo. Nabierała już przekonania, że przeciwnicy jeszcze nie zauważyli jej obecności, gdy z okna powoli wysunął się colt 45 z charakterystycznym bębniem. Więc jednak zwróciła ich uwagę. Powoli wysunęła się cała ręka. Miała doskonałą okazję do strzału. Powstrzymała się czekając, aż przeciwnik się wychyli, lecz dłoń nagle się cofnęła. Sabrina zaklęła cicho. Wiedziała już, że w magazynie jest dwóch rewolwerowców – drugi z pewnością obserwuje trawler i pomost.

Wsunęła beretkę do kabury, wspięła się na szczyt drabiny i podciągnęła na dach, starając się nie robić hałasu. Logika podpowiadała jej, że w dachu budynku, jak w każdym magazynie, powinien być oszklony otwór – i rzeczywiście odnalazła świetlik z wybitymi szybami. Ostrożnie stąpając po dachu nachylonym pod kątem czterdziestu pięciu stopni, zbliżyła się do otworu. Miała tu znakomity punkt do obserwacji wnętrza budynku, tym bardziej że słońce świeciło dość intensywnie. Dostrzegła postać – mężczyzna z karabinem stał na roboczym pomoście przy najwyższym oknie. Jego zadaniem była obserwacja mola, lecz teraz nie patrzył na nie – z napięciem obserwował dwoje drzwi, przenosząc szybko wzrok z jednych na drugie. Nagle mężczyzna zauważył Sabrinę, lecz było już dla niego za późno, zwłaszcza że oślepiało go słońce. Właśnie kierował swój mauser SP 66 w kierunku otworu w dachu, gdy dostał dwa strzały w pierś – pierwszy go powalił, drugi dobił.

Ze swej pozycji Sabrina nie widziała drugiego mężczyzny, lecz wiedziała, że jest w pobliżu i że jego oczy zdążyły już przywyknąć do słońca. Postanowiła jednak pójść za ciosem. Lekko wskoczyła do środka i wylądowała na pomoście, gdy pociski odbiły się rykoszetem od stalowej konstrukcji o kilkanaście cali od niej. Błyskawicznie oddała dwa strzały w kierunku szybko uciekającej postaci. Nie trafiła, uciekający zdążył umknąć na molo.

Teraz dwaj rewolwerowcy na pewno przegrupują się na statku, zdecydowani na zacieklą walkę. Sabrinie przeleciała przez głowę myśl o tym, jak niebezpieczne są zwierzęta, którym odcięto drogę ucieczki. Zadanie stało się jeszcze trudniejsze, co tylko wzmocniło jej zdecydowanie. Zeszła ze schodów, ukradkiem podeszła do drzwi i obserwowała trawler odległy stąd zaledwie o dziesięć jardów. Pomostu prowadzącego na statek oczywiście nie było. Szybko opracowała plan działania. Przyjrzała się miejscom dającym osłonę od strzału i z bijącym sercem ruszyła zygzakiem. Biegąc, zauważyła ruch na statku; dwa pociski, jeden za drugim, przeleciały kilka cali od jej głowy. Przeskoczyła przez burte, wylądowała na kolanach i przetoczyła się pod

dającą osłone stertę pudeł.

Po złapaniu oddechu ostrożnie podeszła do schodów prowadzących na mostek kapitański. Cicho wśliznęła się do środka i trzymając berettę oburącz, kopnięciem otworzyła drzwi. Mostek był pusty. Nie było też śladu teczki z dokumentami. Gdzie mogła być? W kabynie kapitana? Spojrzała na drugie drzwi, prowadzące prawdopodobnie do pomieszczeń załogi, lecz tam bez wątpienia czekał na nią przygotowany do strzału rewolwerowiec. Zeszła z powrotem na pokład, cały czas uważnie obserwując otoczenie. Nie było widać żadnego ruchu. Podeszła do luku wejściowego i sprawdziła, czy nie ma jakiejś pułapki. Było pusto. Przyjrzawszy się dokładnie schodom, przeszła przez luk i zamknęła za sobą drzwi, zabezpieczając się w ten sposób przed nagłym atakiem z tyłu. Ogarnął ją półmrok, musiała zachować zdwojoną ostrożność w unikaniu ewentualnych pułapek. Na trzecim stopniu zauważyła drut prowadzący do mechanizmu zapadkowego – przekroczyła ten stopień, uważnie sprawdzając pozostałe, ale niczego więcej nie znalazła.

Zeszła na dół i przyklejając się do ściany, posuwała się cał po calu w kierunku kabiny kapitana znajdującej się na końcu korytarza. Przez częściowo uchylone drzwi kabiny zauważyła leżącą na stole teczkę z dokumentami, stanowiącą cel jej wyprawy. Byłoby to zbyt łatwe! Sabrina przykucnęła, by sprawdzić, czy przy drzwiach nie ma jakichś podejrzanych drutów, gdy nagle dostrzegła ruch na drugim końcu korytarza. Drzwi do maszynowni otwierały się wolniutko. Sabrina udawała, że nadal ogląda drzwi do kapitańskiej kabiny, a kiedy mężczyzna dostatecznie wysunął się na korytarz, dostał dwa strzały w pierś. Sabrina natychmiast kopnęła drzwi i szczupakiem wskoczyła do kabiny. Nie było tam nikogo. Przez luk przemknął cień. Pochyliła się trzymając broń w pogotowiu. Ujrzała mężczyznę biegnącego po molo w kierunku jej mercedesa. Po chwili zastanowienia wzięła teczkę i wyszła na pokład.

Molo nie nadawało się na drogę odwrotu. Jedyłą możliwością było skradanie się pod jego pokładem. Przymocowała do siebie teczkę z dokumentami, przeskoczyła burtę statku i znalazła się na drewnianej kłodzie poniżej pokładu. Stapała ostrożnie, krzywiąc się, ilekroć woda sięgnęła jej kostek. Od czasu do czasu zwinnie przeskakiwała z jednej śliskiej deski na drugą. Wreszcie dotarła do końca mola i wspiąwszy się po drewnianej drabinie, znalazła się tuż za mężczyzną, który siedząc za jej samochodem wpatrywał się w trawler. Widocznie wyczuł jej obecność, bo nagle odwrócił się i – dostał dwa strzały w korpus. Upadł gwałtownie na maskę samochodu i spojrzał na dwa żółte ślady na swej piersi, pozostawione przez wypełnione farbą pociski.

– Mówiłam, że zginiesz – powiedziała Sabrina uśmiechając się krzywo. Dave Swain, do niedawna członek osobistej ochrony prezydenta, wyjął z kieszeni paczkę marlboro, poczęstował Sabrinę. – Nie, dziękuję – odrzekła wyciągając magazynek z beretty. Swain schował paczkę do kieszeni, wzruszając ramionami.

Trzydziestu spośród dwustu dziewięciu pracowników UNACO było agentami operacyjnymi.

Rekrutowali się ze służb specjalnych policji, wojska i wywiadu na całym świecie. Dziesięć zespołów stanowiło grupy uderzeniowe. Z powodu szczególnie niebezpiecznej pracy każdy członek tych oddziałów co cztery miesiące musiał przejść skrupulatne badania lekarskie. Każdego tygodnia przez pięć godzin ćwiczyli walkę wręcz, a przez następne pięć godzin strzelanie, wykorzystując cały arsenał świetnie wyposażonego Centrum Szkoleniowego, znajdującego się w Interborough Parkway w Queens. Dla zapewnienia bezpieczeństwa i tajemnicy, centrum w całości mieściło się pod ziemią. Inne zajęcia, takie jak wspinaczka górską czy narciarstwo, prowadzono w tajnym ośrodku w lasach Pensylwanii.

Raz do roku każdy agent musiał przejść bardzo trudną próbę, polegającą na indywidualnym zmierzeniu się z innym oddziałem UNACO. Testowany otrzymywał instrukcję z opisem zadania na godzinę przed akcją, podczas gdy zespół broniący miał na przygotowanie siedemdziesiąt dwie godziny. Prowadzący szkolenie dokonywał dokładnej inspekcji bronionego obiektu, zapisując położenie wszystkich pułapek, zapadek itp. Gdy atakujący dotknął któregoś z nich, włączał się alarm i test był skończony. Przebycie tej próby z sukcesem było przedmiotem największej ambicji każdego agenta UNACO, co udawało się jednakże bardzo nielicznym. Dziś Sabrina nie tylko pokonała Grupę Operacyjną nr 7, lecz zrobiła to w rekordowym czasie. Teraz z rozpieszczoną dumą uśmiechała się sama do siebie, gdy zza jej mercedesa wyłonił się jeep.

Major Neville Smylie bynajmniej nie uśmiechał się wysiadając z samochodu. Sabrina wiedziała jednak, że ten zimny, łysy Anglik nigdy się nie uśmiecha. Zanim został w 1980 roku komendantem Centrum Szkoleniowego UNACO, wyróżnił się w siłach SAS w Korei, Kenii, Malezji, Omanie i Irlandii Północnej. Nikt go nie lubił, gdyż zawsze znajdował powód do skrytykowania, niemniej zdawano sobie sprawę, że te krytyki nieraz już uratowały życie.

Smylie śledził działania Sabriny na monitorze telewizyjnym w pojeździe stojącym za magazynem. Zanim skierował się ku niej, przejrzał jeszcze cały opis bronionego obiektu. – Oddaj swoje magazynki Richardsowi – rzucił dziewczynie, wskazując na kierowcę.

Magazynki, zawierające specjalne, niegroźne dla zdrowia pociski wypełnione żółtą, fluoryzującą farbą, produkowano specjalnie dla każdego typu broni używanej w akcjach testowych. Ich zastosowanie powodowało, że akcje nabierały niemal pełnego prawdopodobieństwa. Sabrina oddała pozostałe magazynki i spojrzała na dwu zbliżających się mężczyzn. Żółte ślady po kulach były wyraźnie widoczne na ich kurtkach. Richards zabrał również ich magazynki.

Smylie spojrzał na technika, który demontował kamerę wideo umieszczoną na podeście przy drzwiach magazynu, i zwrócił się do Sabriny: – Gdyby to był turniej pięcioboju na olimpiadzie, pierwszy pogratulowałbym pani rekordowego wyniku, panno Carver. Ale to nie był turniej. Wolałbym, aby to trwało dwa razy dłużej, lecz żeby pani postępowanie było bardziej przemyślane i metodyczne. Jest dla mnie jasne, że zeszloroczne ćwiczenia niczego pani nie

nauczyły. Cytuję: „Agent wykazuje oznaki impulsywności i nadmiernej pewności siebie”. Dziś to się powtórzyło!

– Postaram się zapamiętać pańskie słowa, sir.

– Mam nadzieję, na pewno na tym pani nie straci. W najbliższych dniach przeanalizujemy wideofilm z tej akcji. Dotyczy to również pańskiego zespołu, panie Swain. Musi pan się mocno podciągnąć w niektórych dziedzinach.

Sabrina otworzyła drzwi swego mercedesa i weszła do środka.

– Mówiłem, że zginiesz – powiedział Swain z widoczną satysfakcją.

Teraz dopiero zauważyła koniec nitki zwisającej u dołu otwartych drzwi i opadła na siedzenie ze złością, cicho przeklinając Swaina, bardziej jednak siebie. Smylie zapisał coś w notatniku, przykucnął przy samochodzie i wskazał palcem nitkę. – Uruchomiła pani dziesięciofuntowy ładunek wybuchowy. Dlaczego nie pomyślała pani o sprawdzeniu? Impulsywność? Nadmierna pewność siebie?

– Po prostu głupota.

– Nie sędzę – powiedział Smylie wstając. – A przy okazji – widziałem jednego z pani kolegów w Range Four, gdy opuszczałem Centrum.

– Którego? Mike’a czy C.W.?

– Whitlocka – Smylie spojrział jeszcze raz na zwisającą z drzwi nitkę, pokręcił głową i odszedł w kierunku jeepa.

Sabrina trzasnęła drzwiami mercedesa i zapaliła silnik. Prowadząc samochód myślała o C.W. Whitlocku. Był jednym z jej nielicznych prawdziwych przyjaciół, mimo że widywali się tylko przy pracy. W tej chwili nie było nikogo nadającego się lepiej do rozmowy o jej oczywistej głupocie – a może o nadmiernej pewności siebie?

* * *

Po czwartym strzale C.W. Whitlock opuścił snajperski karabin typu Heckler & Koch PSG-I i sięgnął po kawę stojącą na ławce. Nie potrzebował sprawdzać przez teleskop, że rozrzut jego strzałów praktycznie nie istniał. Dziś strzelał po prostu niesamowicie, a to dlatego, że zupełnie nie myślał o tym, co robi. Wziął do ręki browninga Mk2, który był jego ulubioną bronią i powoli obracał go w rękach.

Whitlock miał 44 lata i jak na czarnoskórego odznaczał się cerą dość jasną. Miętko zarysowane usta oraz okulary chroniące nadwrażliwy na światło wzrok łagodziły twarz o ostrych rysach. Młodość spędził w Anglii. Po ukończeniu studiów w Oxfordzie wrócił do rodzinnej Kenii, gdzie podjął pracę w wywiadzie. Dziesięć lat później został zwerbowany do UNACO. Po trzech latach pobytu w Nowym Jorku ożenił się z Carmen Rodriguez, lekarką pracującą

w Harlemie, odnoszącą znaczne sukcesy w pediatrii. Początkowo Carmen wspomagała psychicznie męża w jego niebezpiecznej pracy, lecz z biegiem lat jej obawy narastały. Ostatnio lęk o bezpieczeństwo męża osiągnął symptomy paniki. Nieustannie namawiała go, by porzucił pracę w UNACO i, korzystając z jej oszczędności, założył małą firmę detektywistyczną. Znalazła nawet odpowiedni lokal. Głównym kontrargumentem Whitlocka był fakt, że pozostały mu już tylko cztery lata służby operacyjnej i prawie na pewno zostanie wówczas szefem któregoś ze światowych oddziałów UNACO. Nie można powiedzieć, że podobna perspektywa nie robiła na niej wrażenia, odpowiadała jednak, iż ma na sercu jedynie jego dobro. On uważał z kolei, że gdyby rzeczywiście chciała go zrozumieć, wzięłaby pod uwagę lojalność wobec organizacji, a zwłaszcza wobec kolegów z Grupy Operacyjnej nr 3. W końcu żadne nie chciało ustąpić, toteż napięcie w ich małżeństwie stawało się nie do zniesienia.

Whitlock nagle chwycił browninga w obie ręce i szybko wypalił sześć razy w kierunku oddalonej o 50 jardów tarczy.

– Nieźle, jak na faceta w twoim wieku – Martin Cohen spojrział przez teleskop i uśmiechnął się. Był to czterdziestosiedmioletni Żyd o czarnych, kręconych włosach i sumiastych wąsach, które zawsze podczas mówienia gładził kciukiem i palcem wskazującym. Był agent Mossadu, był także członkiem kontrowersyjnego Mifzam Elohim, izraelskiego szwadronu śmierci. Zaprzyjaźnił się w Whitlockiem od momentu, gdy w 1980 roku podjęli wspólnie służbę w UNACO.

– Jak dawno tu jesteś, Marty?

– Niedługo. Czy wszystko w porządku?

– Co masz na myśli? – zapytał Whitlock spoglądając przez teleskop. Pięć pocisków przeszło przez sam środek tarczy.

– Wyglądasz na nieźle wzburzonego.

– Ty też byłbyś wkurzony, gdybyś strzelał tak źle jak ja dziś rano. To jest pierwsza niezła seria, jaka mi się dziś trafiła.

Whitlock wiedział, że Cohen nie jest człowiekiem, z którym mógłby rozmawiać o swoich kłopotach. On umiałby współczuć, ale nie zrozumieć. Hannah Cohen, która kiedyś była analitykiem komputerowym w Shin Beth, a teraz starszym programistą w kwaterze głównej UNACO, w pełni popierała męża w jego pracy. Whitlock nadal gapił się na tarczę – do kogo mógłby się zwrócić ze swoimi problemami? Był powszechnie uważany za dobrotliwego faceta, z którym zawsze można było pogadać o osobistych kłopotach. Teraz sytuacja się odwróciła i z niechęcią przyznawał, że nie był w stanie zmusić się do szczerzej rozmowy z kimkolwiek.

– C.W.?

Whitlock spojrział na Cohena i uśmiechnął się. – Przepraszam, Marty. Właśnie się zastanawiałem, dlaczego tak długo dochodziłem dziś do formy.

– Jeżeli coś cię gnębi, to mi powiedz. Ile razy wylewałem ci moje żale przy piwie u McFreely’ego?

– Owszem. Ale naprawdę nic mi nie jest, jestem tylko trochę zmęczony.

– Carmen daje ci popalić? – spytał Cohen.

– Coś ci się zdaje.

– Cześć! – zawołała Sabrina już od schodów. Podbiegła do nich i mocno uściskała Whitlocka.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo tego potrzebowałem – Whitlock pocałował ją w policzek.

Cohen spojrzał na nią. – Jak się miewa śliczna Sabrina?

– Trup – odrzekła i opowiedziała o przebiegu testu.

– Zgadzam się z tobą – powiedział Whitlock, gdy skończyła opowiadać. – To było rzeczywiście głupie. Co powiesz, Marty?

Cohen dostrzegł błysk w oczach Whitlocka. – Całkowicie się z tobą zgadzam. Ale ona jest przecież blondynką!

– Tak, to tłumaczy sprawę.

Sabrina odchyliła się nieco do tyłu, krzyżując ramiona.

– A was się zawsze żarty trzymają, co?!

Whitlock wyszczerzył zęby w uśmiechu i wręczył jej karabin w geście pojednania. – Chyba zgadzam się z opinią Smylie’ego. Jesteś czasem zuchwała i zbyt pewna siebie, ale jesteś też dobra. Cholernie dobra. Według mnie to najważniejsze.

Cohen potwierdził skinieniem głowy. – Mimo wszystkich usiłowań Smylie’ego, aby uwiarygodnić te akcje, to zawsze będzie tylko zabawą w porównaniu z prawdziwym zabijaniem. Trzeba unikać prawdziwych kul, a nie żółtych pocisków na niby. Twoja własna głowa jest narażona. Życie Mike’a i C.W. zależy od tego, jak strzeżesz ich pleców. Zapamiętaj to.

Skinęła głową.

– A właśnie, gdzie jest trzeci muszkieter? – zapytał Cohen.

Whitlock i Sabrina wzruszyli ramionami. Mike Graham był najbardziej zagadkowym agentem UNACO. Politycznie niezależny, o nonkonformistycznej postawie wobec wszelkich autorytetów, zwłaszcza wobec zwierzchników.

– Agent Whitlock, wezwanie Zielonego Kodu – zabrzmiało z głośników. – Prosimy o natychmiastowy kontakt z centralą.

– Zielony Kod? Jesteśmy na posterunku! – powiedział Whitlock, gdy komunikat został powtórzony.

Cohen powstrzymał Sabrinę ręką, gdy chciała pójść za Whitlockiem do telefonu. – Coś go gryzie.

Spojrzała przez hali na Whitlocka.

– Co takiego?

– Chciałbym wiedzieć. Uważaj na niego, Sabrino, dla jego dobra.

* * *

Mike Graham nie mógł uwierzyć swemu szczęściu, gdy ujrzał wolne miejsce na parkingu naprzeciwko budynku będącego celem jego podróży do Nowego Jorku. Ustawił swego pick-upa do wjechania tyłem na wolne miejsce parkingowe, gdy usłyszał ostry dźwięk klaksonu za sobą. Spojrzał w lusterko – za nim stał gładki, czarny isuzu piazza, a jego kierowca, ubrany w kremowy garnitur, właśnie próbował zająć wolne miejsce. Graham nie wierzył własnym oczom – skąd on się tu wziął, u diabła? Przed sekundą jeszcze go nie było!

Kierowca otworzył okno i wystawił głowę na zewnątrz. – Ja pierwszy zauważyłem! – zawołał poprzez hałas swego stereo.

Graham potrząsnął głową. – Zjeżdżaj!

Kierowca wskazał palcem swoje ucho i wzruszył ramionami.

Graham szybko tracił cierpliwość. Włączył wsteczny bieg próbując wsunąć się na wolne miejsce, lecz tamten również podjechał trochę do przodu, blokując drogę. Graham wyskoczył z samochodu i trzasnął drzwiami.

– Zabieraj to-to z drogi! – krzyknął facet z isuzu.

Graham przykucnął przy jego otwartym oknie, demonstracyjnie nie dotykając samochodu, który najpierw obejrzał z widocznym niesmakiem. Poczekał, aż tamten ściszy muzykę. – Powiem ci, chłoptasiu, co się stanie. „To-to” zaparkuje tu, przed tobą.

– Gówno prawda...

– Zamknij się, bo nie skończyłem. Jak widzisz, „to-to” już brało udział w kilku podobnych nieporozumieniach, więc kilka nowych szczerb nie zrobi mu różnicy. Za to twoja świeżo pomalowana blaszanka straci na urodzie, jak ją trochę pomarszczę. Tylko spróbuj pchać się dalej, chłoptasiu! – mówiąc to Graham kiwał palcem o cal przed nosem kierowcy.

– Ty jesteś jakiś wariat! – wyrzucił z siebie tamten.

– Tak? – Graham nonszalancko wrócił do pick-upa.

Facet w isuzu zdecydował się odjechać. Graham uśmiechnął się pod nosem.

Mike Graham był trzydziestosiedmioletnim, mocno opalonym mężczyzną o muskularnej posturze i świetnej kondycji fizycznej, utrzymywanej dzięki ściśle przestrzeganemu programowi biegania i ćwiczeń siłowych. Jego zmierzwione, kasztanowe włosy okalały przystojną, chłopięcą twarz. Z jasnoniebieskich oczu emanowało poczucie siły i pewności siebie.

Zaparkował, schował klucze do kieszeni i spojrzał na budynek po przeciwnej stronie ulicy. Olmstead Heights, zawdzięczający swą nazwę architektowi budującemu Central Park, stał w tym

miejscu, na terenie dystryktu Murray Hill, tak długo, jak Graham mógł sięgnąć pamięcią. Mieszkał tu przez pięć lat do momentu tragedii, która wstrząsnęła jego życiem okrutnie i niespodziewanie. Z rękami w kieszeniach przeszedł na drugą stronę ulicy. Zatrzymał się na chwilę, przyglądając się betonowym schodkom prowadzącym do szklanych drzwi. Na obu skrzydłach drzwi były wyryte inicjały OH, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy widział je po raz ostatni. Odblask słońca nie pozwalał zobaczyć wnętrza. Graham usiadł na najwyższym schodku i zamyślił się. Czynił to wielokrotnie od tamtego fatalnego października, od którego dzieliły go już dwa lata.

Podobnie jak wielu rówieśników, w młodości Graham był w Wietnamie. Powołanie do wojska otrzymał w miesiąc po podpisaniu kontraktu z nowojorskimi „Olbrzymami”, drużyną futbolową której kibicował od dzieciństwa. Postrzał w ramię szybko przekreślił marzenia o karierze sportowej. Dwa lata spędził w Tajlandii jako trener miejscowych ochotników do walki po stronie Wietnamu Południowego. Potem wrócił do Stanów, gdzie pułkownik Charles Beckwick zaangażował go, po intensywnych testach sprawnościowych i mentalnych, do elitarnej jednostki antyterrorystycznej Delta. Po jedenastu latach nienaganej służby został dowódcą grupy B. Jego pierwszą misją w roli dowódcy była likwidacja bazy terrorystów na terenie Libii. Tuż przed wykonaniem ataku doszła go wiadomość, że jego żona i pięcioletni syn zostali uprowadzeni przez mówiących po arabsku mężczyzn. Mimo zezwolenia dowództwa Graham nie zaniechał akcji – baza została rozbita, chociaż przywódcy zdążyli uciec. Jego rodzina nigdy nie została odnaleziona, mimo najbardziej intensywnej operacji poszukiwawczej w historii FBI.

– On przesiadywał tu godzinami z piłką futbolową, czekając na pana. To był wspaniały chłopak, panie Graham.

Graham rozejrzał się wokół i dostrzegł siwego Murzyna, stojącego w drzwiach budynku. Wraz z Olmstead Heights jego portier również był częścią dystryktu Murray Hill od zawsze.

– Hallo, Ben – Graham potrząsnął wyciągniętą ręką.

– Od razu pomyślałem, że to pan w tym bojowym pojeździe, ale nabrałem pewności dopiero, gdy przegnał pan tego szczeniaka z pańskiego dawnego miejsca na parkingu.

– Taak... – wymamrotał Graham, gapiąc się na chodnik nieobecny wzrokiem. – Widziałeś to, Ben, prawda?

– Co widziałem?

– Jak uprowadzano Carrie i Mickeya?

– Niech pan nie otwiera starych ran, panie Graham.

– Nigdy się nie zamknęły, Ben. – Graham wykonał nieokreślony gest. – Gdzie oni stali?

– Niech pan...

– Gdzie?! – ostro przerwał mu Graham.

– Dokładnie naprzeciw nas. To się stało bardzo szybko. Pani Graham wyjmowała zakupy

z bagażnika tego małego forda, a Mike odbijał piłkę od ściany stojąc przy najniższym schodku. Pamiętam, jak upominała go: „Ben będzie musiał czyścić tę ścianę, jeżeli zrobisz na niej jakieś plamy”. Wtedy ten czarny mercedes podjechał do forda i dwaj mężczyźni chwycili ją z tyłu i wciągnęli na tylne siedzenie. Trzeci złapał Mike’a. Może pan być dumny z niego. Chłopak kiwał tego skurwysyna jak rasowy skrzydłowy. Ona wołała do niego... – Ben przerwał, kręcąc głową.

– Mów dalej.

– Nie mogę...

– Mów, Ben, proszę.

– Ona krzyknęła: „Uciekaj, Mike, uciekaj!” Wyszedłbym do nich, ale mój artretyzm nie bardzo mi na to pozwalał. Wtedy ona mnie zobaczyła: „Pomóż mu, Ben, proszę, pomóż mu!” To ostatnie słowa, jakie wypowiedziała... do mnie. Byłem zupełnie bezradny. Jeden z terrorystów strzelił ponad moją głowę i zanim zdążyłem wstać, mercedes odjechał. Do końca życia nie zapomnę słów pani Graham. Zawiodłem ją, kiedy najbardziej mnie potrzebowała.

– Nie zawiodłeś, Ben. To ja zawiodłem.

Zapadła cisza, każdy rozważał swą winę.

– Czy nadal mieszka pan w Nowym Jorku? – spytał Ben.

– W Vermont. Mam domek nad brzegiem jeziora Champlain w pobliżu Burlington.

Nagle odezwał się sygnalizator, który Graham miał przytroczony do pasa.

– Co to?

– Robota – odrzekł Graham. – Gdzie jest najbliższy telefon?

– Może pan skorzystać z telefonu w moim biurze.

– Dziękuję, ale wołałbym automat.

– Jest tam na rogu.

– Dzień dobry, Ben – wołała starsza kobieta stojąc przy schodach.

– Dzień dobry, pani Camilieri. – Ben podszedł do niej i wziął z jej ręki torbę z zakupami.

Kobieta przyjrzała się Grahamowi. – Pan tu kiedyś mieszkał, nieprawdaż?

– Nie. – Graham szybko się uśmiechnął. – Jestem spoza Nowego Jorku. Zabłądziłem i pytałem portiera o drogę.

– Wygląda pan całkiem jak ten miły pan Graham, który tu kiedyś mieszkał. Jego żonę i dziecko zabili terroryści. Taka miła rodzina, to była taka straszna tragedia.

– Chodźmy, pani Camilieri! – powiedział Ben biorąc ją pod ramię. Rozejrzał się, lecz Grahama już nie było w pobliżu.

– Pamiętasz Grahamów, Ben?

– Nigdy ich nie zapomnę – wymamrotał powoli i poprowadził starszą panią po schodach do foyer.

Rozdział IV

Sara Thomas miała dziewiętnaście lat, gdy wzięła udział w konkursie Miss Oregon, bardziej dla żartu niż z jakichś poważniejszych powodów. Ku swemu zdziwieniu wygrała konkurs. Natychmiast zaczęły ją nachodzić tłumy agentów i łowców talentów, którzy oferowali jej karierę na srebrnym ekranie. Jednak Sara, mając w pamięci wiele historii o młodych gwiazdkach kończących, jeszcze przed osiągnięciem sukcesu jako kelnerki w wagonach restauracyjnych, zdecydowała się nie szukać niepewnej kariery w Hollywood i poszła do szkoły dla sekretarek.

To było dwanaście lat temu. Nic nie straciła ze swej urody, tylko jej jasne włosy były teraz krótko obcięte; prowokująco obcisłe dzinsy i koszulki ustąpiły miejsca eleganckim kostiumom Armani i Chanel oraz zaopatrzonym w monogramy bluzkom Pucci. Od czterech lat pracowała jako sekretarka w przestronnym biurze na dwudziestym drugim piętrze budynku Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. Papier maszynowy, którego używała do wypisywania dokumentów, nie miał żadnego nadruku firmowego, agencja zaś, w której oficjalnie pracowała, była całkowicie fikcyjna. Niewielu delegatów ONZ wiedziało, co naprawdę mieści się za drzwiami bez żadnej tabliczki.

Jej biuro było przejściem do głównej kwatery UNACO. W pokrytej listwami z drzewa tekowego ścianie naprzeciwko wejścia nikt nie zauważyłby spoin dwojga drzwi otwieranych za pomocą miniaturowego przekaźnika dźwiękowego. Lewe drzwi prowadziły do gabinetu dyrektora, natomiast za drzwiami po prawej znajdowało się Centrum Dowodzenia UNACO.

Malcolm Philpot spędził rano w Centrum Dowodzenia, gdzie zapoznał się z informacjami na temat działań trzech grup uderzeniowych, przebywających w tym czasie w terenie. Był to wysoki, chudy Szkot po pięćdziesiątce, o przerzedzonych, rudych włosach. Utykał na lewą nogę, co było pozostałością udziału w wojnie koreańskiej. Po pełnej sukcesów karierze na stanowisku dowódcy MI 5 przeszedł do pracy w Scotland Yardzie jako szef Wydziału Specjalnego. Siedem lat później został pierwszym dyrektorem UNACO, co było dość niewdzięcznym zajęciem. Philpot, człowiek zuchwały i uparty, popadł nawet kiedyś w konflikt z Sekretarzem Generalnym ONZ, niemniej cieszył się zasłużonym szacunkiem prawie wszystkich rządów i agencji wywiadowczych na świecie.

Były jednak wyjątki. Nieudany zamach terrorystyczny na dworcu lotniczym Marco Polo w Wenecji spowodował śmierć siedmiu pasażerów i dwóch carabinieri. Czterej bandyci, przypuszczalnie północni Koreańczycy, uciekli do Libii, gdzie, według wszelkich danych, rząd traktował ich jak bohaterów rewolucji. UNACO otrzymało polecenie ujęcia bandytów, więc właśnie poprzedniego dnia Philpot wysłał do Trypolisu Grupę Operacyjną nr 9. Libijskie władze nie tylko odmówiły współpracy, lecz aresztowały funkcjonariuszy ONZ w godzinę po ich przybyciu. Philpot miał teraz dwa powody bólu głowy – jak wyciągnąć swoich ludzi z silnie

strzeżonego więzienia oraz jak ująć lub zlikwidować bandytów. Będzie musiał wysłać następną grupę.

Całkowicie ignorując szum drukarek, teleksów i telefonów, Philpot skoncentrował uwagę na wywodach analityka, który posługując się mapami rozwieszonymi na ścianach przestronnego, dźwiękoszczelnego pokoju, omawiał szczegóły rzeźby terenu wokół libijskiego więzienia.

– Chcę mieć krótki raport na ten temat w ciągu pół godziny – polecił Philpot, gdy ekspert skończył mówić.

– Zaraz się za to wezmę, sir.

Philpot przeszedł do końca zespołu terminali komputerowych, gdzie mężczyzna z poważnym wyrazem twarzy, jedynie od czasu do czasu spoglądając na monitor, zręcznie przebiegał palcami po klawiaturze.

– Udało mi się zawęzić listę do dwudziestu trzech, sir – powiedział nie przerywając wprowadzania danych do komputera. – Włosi nie ułatwili nam zadania, nie potrafili zidentyfikować żadnego z terrorystów.

– Dostajemy tylko trudne przypadki, Jack. W ciągu godziny będę miał skład zespołu interwencyjnego. Czy zrobisz mi do tego czasu krótką listę podejrzanych?

– Będę ją miał za pół godziny, sir.

– Dobry chłopak.

– Pułkownik Philpot, telefon – człowiek w okularach zawołał spoza VDU. – To Sara.

Philpot wziął słuchawkę do ręki. – Tak, Sara?

– Grupa Operacyjna nr 3 już jest, sir.

– Dobrze. Czy jest tam Siergiej?

– Pan Kolczyński jest w pańskim biurze.

– Przyślij ich. Będę za minutę.

– Tak, sir.

Philpot oddał słuchawkę i rozejrzał się po pokoju. Miał przeczucie, że to będzie bardzo długi dzień.

* * *

Skończywszy rozmowę z Sarą, Siergiej Kolczyński odłożył słuchawkę i wstał zza biurka Philpota.

Kolczyński miał pięćdziesiąt dwa lata. Jego mocno przerzedzone czarne włosy oraz smutny wyraz twarzy zyskały mu przydomek „pies gończy”, co miało również odcień szacunku. Miał ogromną intuicję i znakomity zmysł taktyczny, czym kilkakrotnie przyczynił się do uratowania UNACO od porażki w bardzo trudnych akcjach. Karierę rozpoczął w KGB, przy czym przez

kilkanaście lat był attache wojskowym w różnych krajach zachodnich. Następnie objął stanowisko zastępcy dyrektora UNACO w miejsce innego oficera KGB, przyłapanego na szpiegowaniu na rzecz Kremla. Mimo swej pedantyczności, która przejawiała się zwłaszcza podczas rozliczeń agentów po zakończonych akcjach, był jedną z najbardziej popularnych postaci w UNACO.

Posługując się miniaturowym przekaźnikiem, Kolczyński otworzył drzwi gabinetu dyrektora. Graham, Whitlock i Sabrina weszli do środka, witając się po kolei. Po zamknięciu drzwi wskazał im dwie skórzane kanapy pod ścianą. Włożył papierosa do ust i zapalił.

– Komu kawę? – Whitlock przejął inicjatywę.

– Po takim poranku mogę sobie pozwolić na jedną – powiedziała Sabrina sadowiac się na kanapie.

Graham potrząsnął przecząco głową. Kolczyński wskazał na stojącą przed nim pełną filiżankę i zwrócił się do Sabriny.

– Jak poszło?

– Niezbyt dobrze, przeczyta pan w raporcie.

– Kto był twoim przeciwnikiem?

– Siódemka.

– Swain – wtrącił Graham, lekko się krzywiąc.

– Czyżbym słyszał niechęć w twoim głosie, Mike? – Kolczyński unióś brew patrząc w stronę Grahama.

– Masz cholerną rację. Jak na faceta, który przez pięć lat biegał wokół samochodu Reagana, ma niezwykle wysokie mniemanie o sobie. Mam ogromny szacunek dla Philpota, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego ściągnął do nas tego typu. Chryste, nie powierzyłbym sukinsynowi niesienia całunu na moim pogrzebie – spojrzał na Sabrinę – mam nadzieję, że go dopadłaś?

– Dostał dwa razy na korpus.

– Szkoda, że to nie były prawdziwe kule – w odpowiedzi na wyraz twarzy Kolczyńskiego Graham wzruszył ramionami. – Nie lubię faceta, jasne?

– Nigdy bym nie przypuścił – Kolczyński ostrzegawczo pokiwał palcem w kierunku Grahama. – Uważaj, pewnego dnia możesz potrzebować Swaina do pilnowania twoich pleców.

– Sam pilnuję moich pleców. I nie potrzebuję prezydenckiego lokaja za dychę, aby mi pomagał.

Kolczyński rzucił Sabrinie i Whitlockowi pełne desperacji spojrzenie i odwrócił się do ściany za biurkiem, w której właśnie rozsunęły się ukryte drzwi i Philpot wszedł wprost z Centrum Dowodzenia. Pozdrowił przybyłych agentów, usiadł za biurkiem i wygiął trzymaną w ręku trzcinkę. Kolczyński podał mu segregator z dokumentami i obaj zaczęli rozmawiać szeptem.

– Co masz przeciwko Swainowi? – zapytała Sabrina Grahama.

– Sześć lat temu Swain był w zespole przydzielonych do Deltę. On o tym nie wie, ale ja byłem wówczas obserwatorem szkolenia prowadzonego przez pewnego kaprała, do którego grupy należał Swain. Było dla mnie oczywiste, że Swain nie nadaje się do tej roboty. Był zbyt wielkim cwaniakiem. Został odrzucony, a wkrótce potem ja wyjechałem i nie myślałem o tym więcej. Po moim powrocie okazało się, że ów kapral jest zdegradowany, gdyż Swain z koleżkami złożyli na niego oficjalną skargę, jakoby się nad nimi znęcał podczas przygotowań. Jak powiedziałem, widziałem wszystko i o żadnym znęcaniu nie było mowy. Gdyby to była prawda, pierwszy bym wystąpił o odwołanie kaprała. Próbowałem przedłożyć moją opinię dowództwu, ale było za późno – chłopak stracił belki. Nieco później opuścił Deltę totalnie rozczarowany do życia. Ostatnio słyszałem, że prowadzi stację benzynową w jakiejś dziurze w Nebrasce. Oto co mam przeciwko Swainowi.

– Mike, Sabrina? Nie chciałbym przerywać wam intymnej rozmowy, ale musimy omówić zadanie – zwrócił się do nich Philpot.

– Cholernie osobistej – wymamrotał Graham i odsunął się od Sabriny.

Philpot otworzył teczkę przed sobą. – Co wiecie o *Nocnej straży*?

– To kod specjalnego Boeinga 707, którego będzie używał wiceprezydent podczas wojny, jeżeli prezydent zostanie zabity – szybko wyrecytował Graham.

– Nie ta *Nocna straż*! – Philpot był doprowadzony do rozpacz. – Mówię o obrazie. Od miesiąca bez przerwy piszą o nim we wszystkich gazetach i pokazują w telewizji. Nie mogłeś nie zauważyć nawet na tym twoim odludziu.

– Zauważyłem, sir, ale nie zwracałem specjalnie uwagi.

– Więc zacznij zwracać, bo to twoje nowe zadanie. *Nocna straż*, którą przywieziono dziś rano do Metropolitan Museum, jest fałszywa.

– Fałszywa? – powtórzył Whitlock z zachwytem.

Philpot skinął głową.

– Zadaniem waszej trójki jest odnaleźć oryginał.

– Dlaczego my, a nie federalni?

– Mogliby, gdyby była pewność, że obrazy zamieniono na amerykańskiej ziemi. Ale nie ma. To mogło się zdarzyć w każdym z sześciu krajów, jeśli wliczyć Holandię. Jest coś jeszcze. Opinia publiczna nie wie, że każdy z pięciu uczestniczących krajów wyłożył pięćdziesiąt milionów dolarów w formie asekuracji na czas, w którym obraz znajdował się na jego terenie. Był to pierwszy warunek postawiony przez Rijksmuseum.

– I ponieważ nikt nie wie, gdzie nastąpiła zamiana, żadnego z tych krajów nie można ani obciążyć, ani też zwrócić mu pieniędzy – wydedukowała Sabrina.

– Dokładnie tak. – Philpot nabił fajkę szczyptą tytoniu. – A przy takim podejściu do sprawy obraz pewnie nigdy nie zostanie odnaleziony.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możemy pracować razem z FBI. W końcu fałszerstwo odkryto w Ameryce.

– Nie dostrzegasz jednej rzeczy, C.W. – powiedział Philpot i zapalił fajkę. Dmuchał do góry kłąb dymu i wycelował ustnik fajki w Whitlocka. – Logika Białego Domu. Jeśli do sprawy zostanie włączone FBI, ktoś mógłby pomyśleć, że stany Zjednoczone przyjmują odpowiedzialność za stratę oryginału.

– To jest logika chorego umysłowo – odparł Whitlock.

– To jest właśnie Biały Dom – dodał Graham. – Tego rodzaju głupota nie miała tam wstępu, dopóki urzędował Truman. Od końca jego kadencji jest coraz gorzej.

– Co mamy na początek? – spytała Sabrina.

– Bardzo niewiele – wszedł do rozmowy Kolczyński. – Oszalałego asystenta kuratora z Rijksmuseum, schowaną w sejfie wideokasetę, na której nagrano procedurę ładowania obrazu oraz klucz do tego sejfu, czekający na nas w Amsterdamie. Jak powiedział pułkownik, zamiana mogła nastąpić w każdym z sześciu krajów. I my musimy to wyjaśnić.

– To będzie szukanie igły w stogu siana – powiedziała Sabrina.

– A jeśli będziesz szukać dostatecznie długo, to znajdziesz – zareplikował Kolczyński. – To jest zlecenie Zielonego Kodu, wszystko jest w naszych rękach.

– Ktokolwiek stoi za tą kradzieżą, złodziej na pewno dobrze zabezpieczył obraz w swojej prywatnej galerii – dodał Philpot. – Będziecie kontaktować się z Siergiejem przez ten telefon. Ja mam teraz Czerwony Kod na głowie – pokrótce opowiedział o sytuacji w Libii.

– Kogo pan wysyła, sir? – zapytała Sabrina.

– Grupę Operacyjną nr 2.

– Zespół Marty'ego?

Philpot skinął głową.

– Oprócz ciebie, C.W., Martin jest najbardziej doświadczonym agentem operacyjnym w UNACO. W tym wypadku doświadczenie jest ważniejsze niż cokolwiek innego.

– Myślę, że my mielibyśmy atuty w tej grze – powiedział Graham, przenosząc wzrok z Sabriny na Whitlocka.

– Nie wątpię, Mike, ale nie posyłam ich po to, aby zrobili tam strzelaninę. Sytuacja jest niezwykle delikatna i potrzebni są raczej dyplomaci, a nie bateria artyleryjska. Martin i jego zespół nadają się do tej roboty.

– A my nie? – zapytał Graham.

– Wy nie – Philpot uśmiechnął się blade. – To ładnie z twojej strony, lecz wy zajmiecie się tym obrazem.

– Gdzie zaczynamy? – spytała Sabrina wstając.

– W Metropolitan. Czekają już na nas – powiedział Kolczyński.

Philpot otworzył drzwi elektronicznym przekaźnikiem.

– Powodzenia. Aha, C.W., mogę cię zatrzymać na słowo?

Whitlock zaczekał, aż pozostali opuszczą gabinet i podszedł do biurka szefa.

– Coś nie w porządku, sir?

– Powiedz szczerze. Krążą plotki, że ostatnio nie bardzo jesteś w formie.

Whitlock poczuł szczerą chęć, by rzeczywiście wszystko opowiedzieć. Nie uważał Philpota za obcego – znali się od czasu, gdy Philpot zwerbował go w Oxfordzie do służby w MI 5. Ale uczucie to szybko minęło. Nie mógł zmusić się do wyznań wobec kogokolwiek. W swoim czasie sam rozwiąże swoje problemy.

– Nie w formie? Czuję się świetnie, sir. Byłem na badaniu w zeszłym tygodniu. Lekarz stwierdził, że jestem całkowicie zdrowy.

– Wiem o tym. Ale wiesz, co mam na myśli.

– Naprawdę wszystko jest w porządku, sir. Czuję się ostatnio trochę zmęczony, nic więcej.

– W porządku. Wiesz, że moje drzwi są zawsze dla ciebie otwarte, gdyby się coś działo.

– Doceniam to, sir.

Philpot obserwował, jak Whitlock opuszcza jego biuro, potem zamknął drzwi. Wkrótce powrócił do pracy nad libijską operacją i zapomniał o swojej niepewności co do psychicznego stanu Whitlocka.

Stanholme podszedł do szerokiego, weneckiego okna i spojrzał na ulicę. Kolejka przed muzeum wciąż rosła i częściowo już znikła w 5. Avenue, ciągnąc się aż do Whitney Museum. Kilkaset osób czekało także z tyłu muzeum w Central Parku. Dwukrotnie stawał przed niespokojnym tłumem, przepraszając za opóźnienie otwarcia wystawy. Za pierwszym razem tłumaczył, że obraz musi uzyskać oficjalne potwierdzenie autentyczności, co w tym wypadku zakrawało raczej na kiepski żart. Za drugim razem zrzucił winę na prasę i telewizję tłumacząc ludziom, że reporterzy zażądali więcej czasu na przygotowanie relacji. To było przed godziną i teraz Stanholme stał wobec konieczności wyjścia do tłumu po raz trzeci. Gdzie są ci ludzie, którzy mieli zająć się sprawą? I kim byli? Nikt z jego zwierzchników nie potrafił tego powiedzieć. Zresztą, co mogli wiedzieć. Sprawa była bardzo tajemnicza.

Drzwi się otworzyły i wszedł Van Dehn. Jego twarz była popielata – przez ostatnie dwadzieścia minut rozmawiał z Rijksmuseum.

Armand odstawił zimną już kawę i oparł łokcie na stole, wciskając podbródek w zaciśnięte dłonie.

– No?

– Co „no”? – odpalił Van Dehn opadając na najbliższy fotel.

– Co muzeum powiedziało na pańską niekompetencję?

– To nie pański cholerny interes! – wrzasnął Van Dehn i dziko spojrzał na Stanholme'a. – To

już wszystko, co mogłem znieść ze strony tego faceta. Proszę go zabrać ode mnie!

Rozległo się pukanie. Zadowolony, że coś przerwało tę niezręczną sytuację, Stanholme rzucił się do drzwi.

– Doktor Stanholme?

– Tak – padła ostrożna odpowiedź.

– Nazywam się Kolczyński. Mam nadzieję, że uprzedzono pana o moim przybyciu?

– Dzięki Bogu, jest pan nareszcie! Proszę wejść. Kolczyński wszedł do środka, a za nim Graham, Sabrina i Whitlock. Przedstawił ich Stanholme'owi, który z kolei przedstawił Armanda i Van Dehna.

Armand usiadł z powrotem w fotelu i przyglądał się gościom z zainteresowaniem i podejrzliwością. Gdy Stanholme oznajmił, że śledztwo poprowadzi Kolczyński, Armand był przekonany, że będzie to Amerykanin rosyjskiego pochodzenia. Ale autentyczny Rosjanin? To znaczyło, że ci ludzie nie są ani z nowojorskiej policji, ani z FBI, ani z CIA. Dwoje z nich nosiło dzinsy i swetry – nikt z towarzystwa ubezpieczeniowego nie pozwoliłby sobie na taki wygląd. Co więc zostało? Prywatni detektywi? Wątpliwe, nie w sprawie o takiej skali. Dla kogo pracowali ci ludzie? Ciekawość wzięła górę, więc zapytał o to przybyszów.

– Nie możemy zaspokoić pańskiej ciekawości – odrzekł Kolczyński z przeproszącą miną.

– Chyba mamy prawo to wiedzieć! – Armand błędnie uznał ton odpowiedzi za dowód słabości.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięcia oryginału Nocnej straży, to wszystko, co powinien pan przyjąć do wiadomości – twardo dodał Kolczyński i zwrócił się do Stanholme'a: – Możemy zobaczyć płótno? Jak sądzę, wisi już w galerii?

– Owszem. Nie chcieliśmy dawać powodów do jakichkolwiek podejrzeń, zwłaszcza że dziennikarze krążą dookoła jak stado sępów. Jeśli tylko wywęszą, że coś jest nie tak... – Stanholme potrząsnął głową gotowi zatrząść całym światem.

Zostawiając Van Dehna w biurze, Stanholme poprowadził gości na drugie piętro, gdzie mieściła się galeria sztuki europejskiej. Fałszywy Rembrandt miał swoją oddzielną galerię. Wisiał na ścianie naprzeciw wejścia, w promieniu sześciu stóp był odgradzony sznurem. Stanholme wyjaśnił, że od drugiej strony obraz jest podłączony do bardzo czułego systemu alarmowego, który zostałby uruchomiony w razie najlżejszego dotknięcia płótna lub ramy. Uzbrojeni strażnicy pilnują obrazu dzień i noc. Była to część programu bezpieczeństwa ustalonego skrupulatnie przez Rijksmuseum i przestrzegane przez wszystkie uczestniczące galerie.

Sabrina widziała już kiedyś *Nocną straż* w Rijksmuseum i falsyfikat wydawał się jej dokładnie tym samym obrazem, jaki poznała wówczas. To naprawdę było dzieło geniusza. – W jaki sposób fałszerz spowodował, że obraz jest pełen drobnych pęknięć, tak wygląda

rzeczywiście jakby był stary? – nie odwracając wzroku spytała stojącego obok Armanda.

Armand odpowiedział po chwili zastanowienia. – Najpierw nasączył płótno czymś lepkiem, takim jak lakier lub guma. To zabezpiecza przed wsiąkaniem farby w płótno a także daje te charakterystyczne mikropęknięcia. Po nasączeniu płótna fałszerz zabrał się do spreparowania farby. W tym celu wycisnął farbę ze wszystkich tubek na duży arkusz niskogatunkowego papieru i zostawił na całą noc. Przez ten czas w papier wsiąkły wszystkie oleje i zanieczyszczenia. Przez następny dzień mieszał farby z bielą cynkową i żółtą temperą, następnie przystąpił do malowania. Drugą warstwę lakieru nałożył na gotowe malowidło i postawił płótno przy ogniu. Podczas schnięcia lakier kurczy się i wtedy właśnie pojawiają się pęknięcia. Zamiast ognia można użyć suszarki do włosów albo po prostu postawić obraz koło pieca, rezultat będzie ten sam. Ostateczne wykończenie obrazu polega na nałożeniu warstwy kopalu. Kopal można rozcieńczyć stosownie do pożądanej „daty” powstania obrazu. Innym trikiem jest nałożenie lakieru jeszcze przed wysuszeniem obrazu, aby farba wyschła razem z lakierem – wówczas nie można zdjąć lakieru bez zniszczenia obrazu, co uniemożliwia określenie wieku metodami analitycznymi.

– A co z promieniami X i węglem radioaktywnym? – zapytał Whitlock. – Czy fałszerze mają sposoby i na to?

– Jak powiedziałem, jedną z metod jest doprowadzenie do zmieszania się lakieru i farby. Inną metodą jest użycie płótna z potbojlera – Armand zauważył zmarszczkę na twarzy Sabriny. – Potbojler jest to autentyczny stary obraz o niewielkiej wartości artystycznej. W przypadku *Nocnej straży* problem sprowadziłby się do znalezienia potbojlera pochodzącego z siedemnastego wieku.

– Jednak chyba nie jest tak łatwo znaleźć obraz o takich wymiarach? – zapytała Sabrina.

– Oryginalna *Nocna straż* miała wymiary 14 x 12 stóp. Rzeczywiście, nieczęsto spotyka się tak duże obrazy, ale zawodowy fałszerz ma kontakty, dzięki którym to nie jest wielki problem. Promienie X wykryją fałszerstwo tylko wtedy, gdy jeden obraz nałożono na drugi, co dawniej było popularną metodą.

– Genialne.

– Musi być genialne, panno Carver. Fałszowanie dzieł sztuki to dziś spory business. To całkiem proste – jeżeli fałszerz nie wyprzedza nowoczesnej technologii, zostanie zdemaskowany.

Kolczyński zwrócił się do Grahama.

– Coś nie w porządku, Mike?

– Nie, tylko ja nigdy głębiej nie interesowałem się sztuką. Choćby ten obraz – fałszywy czy nie, dla mnie to wszystko jedno.

– Wiem, co masz na myśli – zgodził się Kolczyński – ale nasze opinie nie mają znaczenia. Jesteśmy tu po to, by znaleźć oryginał.

Graham przecesał włosy palcami. – Ciekawe, czy za trzysta lat faceci pokroju Armanda

będą się ślinić nad obrazkami Andy Warhola?

Kolczyński roześmiał się i położył dłoń na ramieniu Grahama. – Chciałbym, żebyś razem z Sabriną wziął udział w przesłuchaniu Van Dehna.

– Raczej w wyznaniu.

– Sądzisz, że ma z tym coś wspólnego?

– Mam takie przeczucie.

Kolczyński skinął na Whitlocka i Sabrinę.

– C.W., pogadaj z Armandem i spróbuj się dowiedzieć czegoś o fałszerzach. Porównamy to z listą fałszerzy, którą mamy w kwaterze głównej. Sabrina, razem z Mike'em spróbujecie wyciągnąć coś z Van Dehna.

Stanholme podszedł do Kolczyńskiego.

– Przepraszam, że panu przerywam, ale proszę mi powiedzieć, czy mogę już otworzyć galerię? Ludzie na zewnątrz się niecierpliwią.

– Tak, już skończyliśmy, dziękuję. – Kolczyński czekał, aż Stanholme oddali się dostatecznie. Muszę teraz wracać, żeby pomóc pułkownikowi. Gdy skończycie, zadzwoncie do Sary, powiem, aby trzymała dla was samochód w pogotowiu. Aha, Mike, idź za tym swoim przeczuciem, to najlepszy ślad, jaki na razie mamy.

* * *

Sara odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się:

– Pan Kolczyński zaraz was przyjmie.

Jakby w odpowiedzi na te słowa, rozsuwane drzwi otworzyły się. Weszli do biura Philpota. Siedzący za biurkiem Kolczyński uruchomił przekaźnik i drzwi się zamknęły. Przyjrzał się ich twarzom i westchnął.

– A więc niczego szczególnego nie znaleźliście?

– Przycisnęliśmy Van Dehna, ale trzyma się swojej wersji. – Sabrina wyjęła mikrokasety z miniaturowego magnetofonu Sony i położyła ją na biurku przed Kolczyńskim. – Tu jest wszystko.

– Jest dobry, przyznaję mu to – powiedział Graham opadając na kanapę.

– Więc twoje przeczucie cię nie opuszcza?

– Nawet się umocniło. On jest przestraszony, nie dlatego, że zamiany dokonano w czasie, gdy obraz był pod jego nadzorem, lecz dlatego, że fałszerstw w ogóle wyszło na jaw. Gdyby Armand nie był aż tak dobrym znawcą, zamiana nie zostałaby zauważona. Falszyfikat wróciłby do Rijksmuseum i wisiałby tam nie wiadomo jak długo, chyba już zawsze. A na pewno dostatecznie długo, aby Van Dehn znalazł się poza wszelkim podejrzeniem. Lecz teraz on wie, że jeśli

wyśledzimy oryginał, to kolekcjoner nie będzie trzymał; gęby na kłódkę, aby kogokolwiek chronić, włącznie z Van Dehnem.

Kolczyński przeniósł wzrok na Sabrinę. – A jakie wrażenie zrobił Van Dehn na tobie? Czy podzielasz? podejrzenia Mike’a?

– Zgadzam się, że Van Dehn jest przestraszony ale nie mam takiego przekonania o jego winie, jak Mike. Z drugiej strony, pracuję z Mike’em dostatecznie długo i wiem, że nigdy nie należy lekceważyć jego przeczuć. Dzięki nim rozwiązywaliśmy sprawy.

– Jeżeli Mike ma rację, to co może powstrzymać Van Dehna od skontaktowania się z obecnym posiadaczem *Nocnej straży* i powiedzenia mu o wszystkim? Jeśli tak zrobi, obraz zostanie jeszcze lepiej ukryty.

– To jest dość istotny punkt – wtrącił się Whitlock. – Jeżeli on ma coś wspólnego z zamianą, można założyć, że zrobił to za sporą forszę. Można też założyć, że nie zapłacono mu z góry. Raczej dostanie pieniądze dopiero wtedy, gdy falsyfikat bezpiecznie spocznie w Rijksmuseum. Po co więc miałyby już teraz wszystko wypaplać, ryzykując utratę forsy, która mu się wedle niego należy? Przecież nikt jeszcze nie wie, że w Metropolitan wisi falsyfikat. No, ale to tylko czyste spekulacje.

– Nie rozumiem was, a zwłaszcza ciebie, Siergiej.. – Graham stuknął palcem w folder leżący na jego kolanach. – A co z tym opisem podróży, który przesłałeś nam przez kierowcę do przeczytania w drodze powrotnej. Jest tu coś, co od razu rzuca się w oczy – organizacja bezpieczeństwa. Wszystkie galerie – zaczął wyliczać – Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, Dahlem Gallery w Berlinie, Luwr w Paryżu, National Gallery w Londynie i teraz Metropolitan – zapewniły ochronę na takim poziomie, że niejedna głowa państwa byłaby zaszczycona. Każdy kraj wystawił swoją własną obstawę, a te nigdy wcześniej nie kontaktowały się ze sobą i nie miały możliwości, aby w tak krótkim czasie dojść do porozumienia. Obraz nigdy nie był pozostawiony bez opieki. Rozważmy, na przykład, podróż z Londynu do Nowego Jorku. Dwaj federalni i dwaj starsi oficerowie Scotland Yardu nadzorowali obraz od National Gallery aż do załadowania go do pancernego samochodu na lotnisku Kennedy’ego. Wszyscy czterej byli zajęci obrazem przez dwadzieścia cztery godziny. Chyba trochę mało czasu, aby się dogadać i dokonać zamiany? Jediną osobą, która miała czas i sposobność, jest Van Dehn. Czy to nie jest jasne?

– Zgadzam się z tobą Mike, Van Dehn jest mocno podejrzany, ale musimy polegać na faktach, a nie na teoriach. W tej chwili nie mamy nawet cienia dowodu przeciwko niemu. Jeżeli jest winien, my musimy to udowodnić. Przeczucie to za mało.

Zadzwoił telefon.

– Przepraszam – Kolczyński podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał uważnie. – To był dr Stanholme. Mają już wynik analizy radiacyjnej. Podkład obrazu pochodzi z siedemnastego wieku.

– To może być jakiś ślad. – Sabrina zwróciła się do Whitlocka. – Pamiętasz, co mówił Armand o potbojlerach?

Whitlock skinął głową – wiem, co masz na myśli. Jakiś handlarz może pamiętać sprzedaż obrazu o takich rozmiarach, zwłaszcza jeśli kupił go znany fałszerz lub ktoś w jego imieniu.

– Mógł być również skradziony – dorzucił Graham.

– To też możliwe – zgodził się Whitlock.

– Nie lubię ściągać was na ziemię, ale czy nie widzicie trudności związanych z tym śladem? Stary potbojler mógł być kupiony lub skradziony gdziekolwiek na świecie, w dowolnym momencie, trzy lub cztery lata temu.

Sabrina posłała Kolczyńskiemu kwaśny uśmiech.

– To niezły strzał, Siergiej, ale to jest jakiś punkt zaczepienia, a nie mamy ich za wiele.

– Oczywiście, można spróbować – powiedział Kolczyński po chwili zastanowienia. – Jak tylko dostanę z Centrum Dowodzenia listę fałszerzy, którą właśnie przygotowują, zadzwonię natychmiast do Jacquesa Rusta do Zurychu. On ich sprawdzi.

– Myślę, że mogą być na niej również Amerykanie. Według Armanda, falsyfikat jest sam w sobie dziełem sztuki i niewielu ludzi na świecie byłoby w stanie to zrobić.

– Nie stawiałbym na to, C.W. Poproszę Jacquesa, aby użył naszego amsterdamskiego kontaktu, więc wszelkie niezbędne informacje będą czekać na ciebie w hotelu. – Kolczyński wyjął trzy koperty i rzucił je na biurko.

Każda koperta zawierała opis zadania, który trzeba było zniszczyć natychmiast po przeczytaniu, bilet lotniczy, zestaw map miasta, informację o rezerwacji hoteli, krótki opis kontaktu z agentem UNACO i pewną ilość pieniędzy w guldenach. Wysokość sumy, jaką mógł dysponować agent UNACO podczas akcji, nie była limitowana (wszyscy mieli po dwie karty kredytowe na wszelki wypadek), ale potem musiał on złożyć Kolczyńskiemu sprawozdanie wraz z rachunkami uzasadniającymi wydatki.

Sabrina rozdała koperty i zapytała Kolczyńskiego: – Co nowego w sprawie dziewiątego zespołu w Libii?

– Nic. Dziś po południu Sekretarz Generalny spotka się z ambasadorem Libii. On jest dobrej myśli, ale chyba nic z tego nie wyjdzie. Dlatego postawiliśmy grupę drugą w stan pogotowia.

– Jaka jest szansa, że prasa zajmie się tą sprawą? – zapytała Sabrina.

– Już się tym zajęła. Rząd libijski wydał dziś rano oświadczenie, tu mam jego kopię. – Kolczyński stuknął palcem w leżący na biurku dokument. – Nikt z nich nie miał ze sobą identyfikatora, więc nie ma szans, aby Libijczycy się zorientowali, kim są naprawdę. Istnieje obawa, że zostaną bardzo szybko postawieni przed sądem, skazani jako najemnicy i natychmiast rozstrzelani. – Spojrzał na zegarek. – Ale teraz to nie wasza sprawa. Za trzy godziny macie samolot.

– Trzy godziny! – wykrzyknął Graham. – Wziąłem ze sobą tylko ubranie potrzebne mi na jutrzejszy maraton. Jak mam jechać do Amsterdamu w podkoszulku i szortach?

– Pożyczę ci coś – zaoferował się Whitlock.

– Bez obrazu, C.W., ale nasze poglądy na temat ubierania nieco się różnią.

– Czego potrzebujesz, Mike?

– Trochę koszulek, kilka swetrów, dzinsy chyba już są suche?

– Kup wszystko na kartę kredytową UNACO. I spraw sobie drugą parę dzinsów, jeśli już musisz je nosić. Nie zniósłbym, gdyby cię złapano z opadniętymi spodniami.

Wszyscy się roześmieli.

– Dołączę do was w Amsterdamie, gdy tylko będę mógł. To będzie zależało od tego, jak się rozwinie sprawa libijska. – Kolczyński otworzył im drzwi.

Gdy wyszli na korytarz, Sabrina zaśmiała się do siebie. – Ciekawe jak ty to zrobisz, Mike. Nie mogę sobie wyobrazić siebie kupującej ciuchy na kartę kredytową UNACO.

– Założę się, że tylko do czasu, gdy pojawią się dyktatorzy mody sportowej, których kreacje będą wisieć w butikach na 5. Avenue.

– Ja tylko żartowałam – powiedziała miękko, oczekując na jakiś pojednawczy gest Grahama.

– Przecież znasz Mike’a – powiedział Whitlock próbując objąć ją ramieniem.

– W porządku – odparła burkliwie i skierowała się do windy. Whitlock przetarł twarz ręką i westchnął głęboko. Jakby nie miał kłopotów z Carmen starającą się wzbudzić w nim niechęć do tej pracy, teraz Graham powrócił do starego zwyczaju nie przepuszczenia żadnej okazji, aby dokuczyć Sabrinie. I jak zwykle, on był w środku między nimi. Spojrzał na zegarek. Carmen będzie już w domu, więc czeka go kolejna przeprawa, gdy zacznie się pakować przed podróżą do Amsterdamu. To było nieuniknione.

Drzwi windy otworzyły się i Whitlock znalazł się wśród gromady rozbawionych dziesięciolatków w towarzystwie nauczycielki, która wyraźnie już straciła głowę. Uśmiechnął się do niej i wcisnął parter. Wówczas jeden z dzieciaków nacisnął wszystkie guziki, od dwudziestego drugiego piętra do parteru. Jakby Whitlock nie miał innych powodów do zmartwień...

Rozdział V

Mnogość kanałów, garbate mosty, wielobarwna flota łódek i jachtów oraz brukowane uliczki pełne rowerzystów w różnym wieku. Nade wszystko jednak Whitlock pamiętał Amsterdam z powodu jenever – mocnej jałowcówki, po której kiedyś miał kaca tak szczególnego rodzaju, że po podobnym doznaniu najbardziej zdeklarowany alkoholik powinien stać się abstynentem. Może właśnie dlatego był to jedyny w jego życiu przypadek, kiedy doszczętnie się upił. Zdarzyło się to dwadzieścia pięć lat temu, gdy wraz z grupą uniwersyteckich przyjaciół spędził tu tydzień wakacji. Był to czas wielkiej iluminacji – hippisi z kwiatami we włosach wsłuchiwali się w słowa Timothy Leary’ego i muzykę Janis Joplin, a fajka z haszem krążyła z rąk do rąk.

Zatrzymawszy się na schodach Rijksmuseum, Whitlock patrzył na Singelgracht i Ring Canal. Niewiele się tu zmieniło od tamtego czasu. Tylko hippisi gdzieś zniknęli, zastąpieni przez nowe pokolenia nastolatków, i wsłuchanych w rytmiczne gadanie – nie potrafił zmusić się do nazwania tego muzyką – wybijane przez pozbawione talentu zespołiki, ryczące z maszynek niesionych na ramieniu, zmuszających innych do słuchania. Whitlockowi przypominało to kaca po jałowcówce.

Wszedł na schody budynku z czerwonej cegły, a potem do foyer, gdzie poprosił portiera o telefoniczne poinformowanie naczelnego dyrektora muzeum, profesora Hendrika Broodendyka, o swoim przybyciu.

Gdy Broodendyk się pojawił, Whitlock był zaskoczony niezwykle podobieństwem profesora do Sydneya Greenstreeta: przerzedzone czarne włosy, siwiejące na skroniach, ciężkie, mięsiste policzki, maleńkie, przenikliwe oczka i korpulentna figura – wszystko przypominało mu znanego w latach czterdziestych aktora.

Uścisnęli sobie ręce i Broodendyk poprowadził Whitlocka do swego biura, naprzeciwko biblioteki i sali pełnej drukarek komputerowych.

– Pan Kolczyński dał mi do zrozumienia, że będzie was troje – powiedział Broodendyk, sadwiąc się na krzesło za wielkim, tekowym biurkiem.

– Jest nas troje – odparł Whitlock, siadając w fotelu koloru burgunda. – Moi koledzy zajmują się inną hipotezą śledczą.

Odpowiedź chyba zadowolila Broodendyka, bo sięgnął po telefon. – Życzy pan sobie kawę czy herbatę?

– Nie, dziękuję, dopiero piłem kawę przy śniadaniu.

– Gdzie pan mieszka?

– Hotel Park. Na pewno pan wie, to parę kroków stąd.

– Wiem, oczywiście. Zawsze tam umieszczam gości muzeum – Broodendyk wyjął videokasetę z najwyższej szuflady biurka i położył ją przed Whitlockiem. – Zrobiła to nasza służba bezpieczeństwa. Nie wiem, co pan ma nadzieję tam dostrzec, ale pan Kolczyński nalegał,

żebym ją pokazał. Przygotowałem panu telewizor i wideomagnetofon w pokoju na końcu korytarza. Poleciałem też personelowi, aby panu nie przeszkadzano.

– Najpierw chciałbym zadać panu parę pytań.

– Oczywiście – Broodendyk wyjął z kieszeni alpagowej marynarki złotą papierošnicę i wyciągnął ją w kierunku Whitlocka, lecz ten odmówił gestem ręki. – Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Absolutnie nie.

Broodendyk włożył papierosa do hebanowej cygarniczki i przypalił zapalniczką Dunhila. Whitlockowi przypomniała się scena z gangsterskiego filmu z wczesnych lat czterdziestych.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś o Milsie Van Dehnie.

Broodendyk wzruszył ramionami, jakby przebiegł go dreszcz. – Znam Milsa od ośmiu lat, to jest od czasu, gdy objąłem stanowisko generalnego dyrektora Rijksmuseum. Jest jednym z najstarszych stażem pracowników, ale nie umiem w tej chwili powiedzieć dokładnie, jak długo tu pracuje. Szesnaście, może siedemnaście lat. Mogę to sprawdzić.

– To nie jest konieczne.

– Mils to jeden z tych niepozornych, szarych ludzi, jakich można spotkać w każdej instytucji. Wie pan, co mam na myśli? On najchętniej pozostawałby asystentem kuratora aż do emerytury. Dlatego mile mnie zaskoczył, gdy zaproponował mi zorganizowanie europejskiej podróży Nocnej straży. W końcu jednak okazało się, że potrafi wykazać inicjatywę.

– To był jego pomysł? – zapytał Whitlock z nagłym zainteresowaniem.

– Tak. Przyszedł z tym do mnie w zeszłym roku. Początkowo odrzuciłem ten pomysł, ale po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że coś w tym jest. Wie pan, ja zawsze marzyłem o tym, żeby mieć tu, w Rijksmuseum, Monę Lisę chociaż przez jeden dzień. No i pomyślałem sobie, że jeżeli pożyczę Luwrowi Nocną straż, to może mój sen o Monie Lisie stanie się nieco bardziej prawdopodobny.

– Więc Van Dehn wystąpił z tym pomysłem tylko jeden raz?

Broodendyk gryzł cygarniczkę myśląc nad odpowiedzią. – Być może jeszcze raz zagadnął mnie w tej sprawie, nie pamiętam. Ale na pewno nie naprzykrza mi się, to bym pamiętał.

– A gdy pan już podjął decyzję, czy Van Dehn zgłosił się do nadzorowania obrazu?

– Nie, ja sam go wyznaczyłem właśnie dlatego, że to był jego pomysł. – Broodendyk strząsnął popiół z cygarniczki na kwadratową popielniczkę. – Zdaje się, że bardzo się pan interesuje Milsem.

– Staram się tylko dociec prawdy. Pan chyba też tego chce?

– Poza wrodzoną dobrotliwością Mils jest najbardziej szczerym człowiekiem, jakiego znam. Dlatego nie miałem żadnych oporów zapewniając go, że mimo tego, co się zdarzyło, nie wyleci z pracy.

– Kiedy będzie z powrotem?

Broodendyk spojrział na zegarek. – Powinien wylądować dziś rano o szóstej. Zaproponowałem mu kilka dni wolnego, ale stwierdził, że chce być w pracy jak najszybciej. Rozumiem to. Siedząc w domu, ze zdenerwowania gryzłby pewnie tynk ze ścian.

– Chciałbym go zobaczyć, gdy się zjawi.

– Powiem mu.

Whitlock wziął wideokasetę i wstał. – Dziękuję za poświęcenie mi uwagi. Jak mogę się dostać do tego pokoju, który przygotował pan dla mnie?

– Drugie drzwi z korytarza. Jest otwarty. Broodendyk patrzył na zamykające się za Whitlockiem drzwi, następnie zgasił papierosa w popielniczce. Czy Van Dehn rzeczywiście mógł być zamieszany w kradzież? Odrzucił tę myśl jako absurdalną i zaczął studiować swój rozkład dnia zapisany w notesie.

* * *

Był parny, zachmurzony piątkowy poranek. Największy w Amsterdamie pchli targ przy Valkenburgerat tętnił życiem. Właściciele przenośnych kramików zawzięcie targowali się o ceny z miejscowymi oraz turystami, ponaglani perspektywą pozostania na weekend z nie sprzedanym towarem. Turyści stale popełniali ten sam błąd – nie mogąc uzgodnić ceny odchodzili od kramu, oczekując, że właściciel ich zawoła. Nigdy to się jednak nie zdarzało. Kramiarz, kierując się upartą holenderską dumą, wołał raczej zostać z towarem, niż skapitulować w tak niehonorowy sposób.

Graham ciągle nie mógł zrozumieć, dlaczego na miejsce kontaktu wybrano pchli targ. Już dwukrotnie on i Sabrina zostali rozdzieleni przez rozpychających się ludzi. W końcu ona musiała ująć go mocno pod rękę, a on przepychał się przez tłum kupujących. Miejscem spotkania była okolica kramów tekstylnych na samym końcu targu, już w pobliżu Rapenburgerstraat. To jeszcze bardziej irytowało Grahama – dlaczego na samym końcu tego przeklętego targu, a nie przy wejściu?

Do kramów tekstylnych dotarli spóźnieni dziesięć minut. Można tu było znaleźć wszystko, co tylko wymyślono w branży tekstylnej: od dżinsu i kraciastej wełny po egzotyczne tiule i chińskie jedwabie. Sprzedawcy byli w ciągłym ruchu – mierząc, tnąc, pakując. Podawane z rąk do rąk sumy pieniędzy i stale panujący tumult pozwalały przypuszczać, że interes jest dość lukratywny.

– Mike? Sabrina?

Odwrócili się. Mężczyzna miał ponad czterdziestkę, przyprószone siwizną włosy okalały wyraziście zarysowaną twarz. W lewej ręce trzymał czarną aktówkę, na której widniały inicjały

PdJ.

Jestem Pieter de Jongh powiedział mężczyzna i wyciągnął rękę. Na trzech palcach miał złote pierścienie.

– Dlaczego wybrano to miejsce na spotkanie? – zapytała Graham, potrząsając jego dłonią.

– Za chwilę zobaczycie. – De Jongh ruszył przodem. Chodźmy. Piątek nie jest dobrym dniem na przebywanie tu, ale tylko do chwili, w której kupisz coś naprawdę okazynego.

– Czy Jacques wszystko załatwił? – zapytał Graham zrównując krok z de Jonghiem.

De Jongh potrząsnął głową. – Żadne nazwisko z listy nie wchodzi w rachubę. Jacques ze swymi ludźmi sprawdził wszystkich poprzedniej nocy.

– Wracamy więc do punktu wyjścia? – zapytała Sabrina.

– Niezupełnie. Długo rozmawiałem z Jacquesem przez telefon i doszliśmy do wniosku, że fałszyfikat musiał być wykonany tu, w Amsterdamie.

– Dlaczego? – spytał Graham.

– Dwa i pół roku temu z prywatnego domu został skradziony bardzo duży, choć niezbyt wartościowy obraz. Nic więcej nie zginęło, choć tuż obok obrazu stała kolekcja figurek porcelanowych z czasów Wilhelma I Milczącego. Obraz, autorstwa trzeciorzędnego siedemnastowiecznego malarza, miał wymiary piętnaście na piętnaście stóp.

– Doskonały wymiar – stwierdziła Sabrina. Fałszerz mógł uwzględnić nawet ten skrawek urwany w 1715 roku.

– Nie oczekujcie zbyt wiele, to może być fałszywy ślad.

– Czy przeszedłeś tę sprawę? – spytał Graham.

– To nie jest proste, Mike. Pamiętaj, że występuję tu jako legalny amsterdamski przedsiębiorca. Rozpytywanie o takie sprawy mogłoby mnie szybko zdekonspirować. – De Jongh zatrzymał się u wlotu w wąską, brukowaną uliczkę. – Tam jest sklep z ceramiką, należący do Franka Maartensa, czołowego pasera w tym mieście. Jeżeli ktokolwiek wie, co się stało z tym obrazem, czy też kto go ukradł, to na pewno on. – Spojrzał na Grahama. – Teraz wiesz, dlaczego właśnie tu zorganizowałem spotkanie. „Nawet z mapą i opisem trudno byłoby znaleźć to miejsce.

– Chyba masz rację – potwierdził Graham rozglądając się.

De Jongh otworzył aktówkę i wręczył im owinięte w sukno beretty. Graham i Sabrina wsunęły je do kieszeni nie rozwijając.

– Czy Maartens jest niebezpieczny? – spytała! Sabrina.

– Zawsze unikał przemocy – odpowiedział De Jongh. – To jest lista nie rozwikłanych przez policję przypadków, w których Maartens na pewno maczał palce. Nie mieliśmy wystarczających dowodów, ale możecie tego użyć do szantażu, jeśli zajdzie potrzeba. Groźba trzeciego wyroku może pomóc jego pamięci. – Podał Sabinie klucz. – To jest klucz do skrytki na Central Station. Włóżcie tam pistolety, gdy skończycie robotę i zostawcie klucz w recepcji hotelu Odbiorę go

stamtąd. Znać mój numer, możecie dzwonić w razie potrzeby. Teraz muszę, was przeprosić, jestem umówiony na lunch o wpół do pierwszej. – Podał im rękę, zawrócił w kierunku targu i szybko wmieszał się w tłum.

Graham przeczytał zawartość kartki i podał ją Sabrinie. Był tam dokładny opis skradzionego obrazu oraz informacje o siedmiu kradzieżach, z których łupy przechodziły przez ręce Maartensa.

Idąc wzdłuż brukowanej uliczki doszli do małego sklepiku wciśniętego między cukiernię i pralnię. Nazwisko: F. MAARTENS, widniało nad oknem wystawy eksponującej naczynia ceramiczne różnych kształtów i rozmiarów. Gdy wchodzili do środka, nad drzwiami zadzwonił dzwoneczek. Mały, obskurny sklepik wypełniony był mnóstwem nie pomalowanych ceramicznych wazoników i figurynek stojących na zakurzonych półkach, opasujących całe pomieszczenie. Graham podszedł do kontuaru i trącił dzwonek. Drzwi za kontuarem otworzyły się i wyszła zza nich kobieta w średnim wieku. Na głowie miała chustkę, spod której sterczały papiloty.

– *Kan ik u helpen?* – spytała obojętnie.

– Szukamy Franka Maartensa – powiedział Graham.

– Jest w domu, ale zajęty – odpowiedziała ostro.

Graham przechylił się przez kontuar. – To go sprowadź.

Spojrzała w bok, nie wytrzymując jego bezczelnego spojrzenia.

– Sprowadź go! – powtórzył Graham.

Kobieta zniknęła za drzwiami. Przez chwilę słychać było jej kroki na schodach.

Sabrina oparła się o kontuar, krzyżując ręce na piersiach. Graham podążył za jej wzrokiem. – W Nowym Jorku są setki takich sklepików. Samuel Johnson określiłby to jako ostatnią ucieczkę przed bankructwem.

Nagle cierpki odór moczu uderzył ich w nozdrza. Obrócili się i ujrzeli grubasa po sześćdziesiątce, z tygodniowym zarostem i strąkami brudnych włosów zwisających wokół twarzy.

– Chcecie mnie widzieć? – zapytał od drzwi.

– Jeśli jesteś Frankiem Maartensem – odrzekł Graham.

– Tak, jestem Maartens. Czego chcecie?

– Informacji.

Maartens wykrzywił twarz w uśmiechu, ukazując zniszczone przez nikotynę zęby. Nie jestem informatorem.

– Szkoda – powiedział Graham i rozwinął przed nim kartkę papieru. – Rabunek u Van Hoghena, grudzień 86. Rozprowadziłeś towar, płacąc włamywaczom równowartość dwu tysięcy dolarów. Policja ocenia, że było tego na ponad dwadzieścia pięć tysięcy. Potem była kradzież diamentu w Gasson Diamond House w marcu 87...

– Kim jesteście? – wyrzucił z siebie Maartens.

– To cię nie powinno obchodzić. Pomyśl raczej o tym, że zakapowałeś paru facetów, którzy zechcą się zemścić, jeśli się o tym dowiedzą. Problem tylko w tym, że oni teraz siedzą, ale jeśli trafisz do tego samego więzienia...

– Co chcesz wiedzieć? – przerwał Maartens, ze zdenerwowania trąc czoło wierzchem dłoni.

– Dwa i pół roku temu skradziono obraz z domu przy ulicy – Graham spojrzął na listę – De Clerq. Włamanie było dziwne z dwu powodów. Po pierwsze, obraz był bardzo duży, piętnaście na piętnaście stóp. Po drugie, nic więcej nie zabrano. Kto stoi za tym włamaniem.

– Nie miałem do czynienia z tym obrazem, taki rozmiar na pewno bym zapamiętał.

– Nie twierdzę, że miałeś. Chcę tylko wiedzieć, kto to nadał.

Maartens zachichotał nerwowo. – Mijnheer, gdybym wiedział, tobym ci powiedział. Naprawdę.

Graham wzruszył ramionami i złożył papier. – Chyba tracę czas. Policja na pewno zainteresuje się tą kartką.

– Zaczekajcie – poprosił jednak Maartens, gdy już skierowali się do wyjścia. – Mogę się dowiedzieć.

– Masz pięć minut albo idziemy na policję.

Maartens skinął głową, sięgnął po słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Gdy ją odłożył, ulga malowała się na jego twarzy. – Facet, którego szukacie, nazywa się Jan Lemmer.

– Co o nim wiesz? – Sabrina po raz pierwszy wtrąciła się do rozmowy.

– Był kiedyś bokserem. Teraz jest zatrudniony głównie do... – Maartens przeczesał ręką zatłuszczone włosy starając się znaleźć właściwe słowo – no, wiecie, jak trzeba komuś przyłożyć.

– Taak, więc gdzie można go znaleźć? – zapytał Graham.

– Mieszka w łodzi na Jordanie w pobliżu Westermarkt.

– Który kanał?

– Prinsengracht. Nie wiem dokładnie, ale znają go w okolicy.

– I jesteś pewien, że miał coś wspólnego z tą kradzieżą?

– Tak, mam dobre źródła. Zniszczysz teraz tę kartkę?

– Jak znajdziemy Lemmera.

– Przecież powiedziałem wam to, co chcieliście.

– To będzie dla nas zabezpieczenie.

– Co znaczy „zabezpieczenie”? – spytał Maartens.

– To znaczy, że jeżeli uprzedzisz Lemmera, że go szukamy, to ten papier trafi na policję.

– Ja powiem Lemmerowi?! – Twarz Maartensa wykrzywił grymas wściekłości. Splunął na podłogę. – Nigdy z nim nie rozmawiam! To szumowina!

– Jednak zatrzymamy tę kartkę – powiedziała Sabrina.

– Skąd się dowiem, że ją zniszczyliście po odnalezieniu Lemmera?

Graham otworzył drzwi przepuszczając Sabrinę i spojrzał na Maartensa. – Wcale się nie dowiesz.

Na Valkenburgerstraat zatrzymali taksówkę i Graham kazał kierowcy jechać na Westermarkt, dodając, że dorzuci dziesięć guldenów, jeśli ten zdąży w piętnaście minut. Taksówkarz przyjął wyzwanie.

* * *

Wideofilm się skończył i Whitlock za pomocą zdalnego sterowania zaczął przewijać taśmę z powrotem. Ile razy to oglądał – osiem? dziesięć? – stracił rachubę. Za każdym razem dochodził do tego samego wniosku: nie było rzeczą możliwą, aby zamiany dokonano w Rijksmuseum. Na kasecie wideo zarejestrowano wszystkie szczegóły – obraz został zdjęty ze ściany w sali 224, zawinięty i włożony do skrzyni, zniesiony na dół, stamtąd przez foyer na zewnątrz, gdzie dziesiątki fotoreporterów czekało na moment załadowania na opancerzony samochód. Kamerzysta filmował bez przerwy aż do samego końca operacji, umiejętnie wykorzystując dramatyzm zamykania drzwi pojazdu. Zgodnie z popularnym powiedzeniem kamera nie kłamie.

Taśma przewinęła się, ale Whitlock tym razem już nie uruchomił przycisku PLAY. Gapiąc się na pusty ekran, znowu pozwolił myślom błądzić bezładnie, tak jak to robił ostatnio, poczynając od odlotu z Nowego Jorku. Przez cały lot nie odzywał się w ogóle, ku zdziwieniu Sabriny, z którą zwykle gadał bez przerwy przy takich okazjach. Bardzo mu na niej zależało, nie potrafił jednak zdobyć się na zwierzenia. Nie umiał się zwierzać nikomu. Problemy z Carmen miały tak osobisty charakter, że sami musieli znaleźć ich rozwiązanie. Podczas rozmowy przed wyjazdem, Whitlock usiłował wyjaśnić jej swój punkt widzenia w sobie właściwy, flegmatyczny sposób. Gdy Carmen zaczęła krzyczeć oskarżając go, że bardziej zależy mu na pracy niż na niej, flegma go opuściła i przez krótki moment chciał ją uderzyć. Wpadł z mieszkania trzaskając drzwiami. To było dwadzieścia godzin temu. Chciał zadzwonić do żony, lecz złość i gorycz jeszcze go nie opuściły i jedno niewłaściwe słowo mogło odnowić awanturę. Zadzwoni później.

Usłyszał ostre pukanie do drzwi.

– Wejść – zawołał.

Wszedł Van Dehn. Jego twarz była blada, a ubranie wymięte, jakby w nim spał. Whitlock to skomentował.

– Chciałbym, aby tak było – powiedział Van Dehn przecierając przekrwione oczy. – Nie spałem w samolocie ani chwili. Przyjechałem tu prosto z lotniska, nawet nie byłem jeszcze w domu.

– Poinformował pan żonę o powrocie?

– Na szczęście nie ma jej teraz. Nie chciała zostać sama, więc pojechała do matki do Deventer i będzie tam do końca tygodnia. Profesor Broodendyk powiedział mi, że chce się pan ze mną zobaczyć.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań.

– Mogę najpierw zamówić sobie kawę?

– Proszę bardzo – Whitlock wskazał telefon stojący na półce przy ścianie.

Van Dehn zatelefonował i usiadł naprzeciwko Whitlocka. – Pański kolega Graham sądzi, że jestem winien, widzę to w jego oczach. Nie dziwię mu się. Jestem jedynym człowiekiem, który towarzyszył obrazowi przez cały czas, od momentu opuszczenia muzeum. Ja również na jego miejscu miałbym podejrzenia.

Whitlock zignorował jego uzalanie się nad sobą.

– Jednym z warunków postawionych przez Rijksmuseum było filmowanie wszystkich operacji i przenoszenia obrazu. Linie KLM, które organizowały transport międzynarodowy, spełniły ten warunek. Nasi agenci przestudiowali wszystkie nakręcone filmy i podobnie jak ja, niczego nie zauważyli. Pozostaje tylko jeden ciemny obszar – czas, w którym obraz przebywał w strzeżonych samochodach.

Ktoś zapukał do drzwi – weszła kelnerka z kantyny i postawiła przed Van Dehmem tacę z kawą. Van Dehn nalał trochę kawy do filiżanki, dodał nieco mleka i delikatnie zamieszał. – Pan też sądzi, że jestem winny?

– Niech pan postawi się na moim miejscu. Zostało dokonane poważne przestępstwo i ja wraz z kolegami muszę ustalić, kto to zrobił. Nie mam zamiaru przeproszać nikogo za deptanie po piętach, jeśli to mnie doprowadzi do prawdy.

Van Dehn opadł na krzesło. – Przepraszam. Mam poczucie, jakby jakieś złe siły zawzięły się na mnie. Co pan chce wiedzieć o samochodach transportujących obraz?

– Z raportów zrozumiałem, że poszczególne kraje zapewniały policyjną eskortę między dworcem lotniczym a galerią.

– Nie tylko – dodał Van Dehn – każdy kraj dostarczał również dwóch uzbrojonych strażników, którzy siedzieli razem ze mną w wozie podczas jazdy.

– Czy ci strażnicy byli zatrudniani przez galerię, czy też byli pracownikami wynajętych przez nie prywatnych firm?

– Wszyscy pochodzili z prywatnych firm.

– Z wyjątkiem Rijksmuseum?

– Nie, my też wynajęliśmy prywatną firmę.

– Użyliście tylko ich personelu. Muzeum miało swój własny opancerzony pojazd, zbudowany specjalnie na tę okazję – powiedział Whitlock, spoglądając w leżące przed nim dossier.

– To był pomysł profesora Broodendyka. Chciał nadać sprawie jak największy rozgłos. I to mu się udało, miliony widzów zobaczyły ten pojazd na ekranach, razem z napisem reklamującym muzeum.

– A kto wybrał firmę do zapewnienia ochrony!

– Profesor Broodendyk, on ją wybrał.

– A dlaczego wybrał akurat firmę Keppler?

– Zaoferowali się zrobić to za darmo.

– A co z tego mieli? Ani reklamy, ani pieniędzy.

– Wprost przeciwnie. W wielu gazetach o zasięgu krajowym, umieścili swoje reklamy, wszystkie sygnowane przez Broodendyka, informując o tym, że to oni właśnie nadzorują transport Nocnej straży na dworzec lotniczy. Było to lepsze niż obrazki ich własnego samochodu pokazywane na całym świecie, gdzie i tak mają dosyć klientów. Myślę, że od tego czasu podwoili obroty. Więc zarówno muzeum, jak i Keppler mieli reklamę taką, jaką chcieli.

– A kto wybierał strażników?

– Horst Keppler, szef firmy. – Van Dehn ryknął trochę kawy i zmusił się do słabego uśmiechu. – Wiem, do czego pan dąży, panie Whitlock. Pan myśli, że mogłem wejść w porozumienie z dwoma strażnikami. Muszę pana rozczarować, ale właśnie ze względów bezpieczeństwa Keppler wyznaczył ludzi do pilnowania obrazu wewnątrz pojazdu dopiero w ostatniej chwili przed odjazdem na lotnisko. Wcześniej nikt, nawet szef policji, nie wiedział, kto to będzie.

– Keppler osobiście prowadził samochód. To chyba nie jest czymś zupełnie normalnym?

– Chciał uniknąć jakiegokolwiek ryzyka przy tak bezcennym ładunku. – Van Dehn dokończył kawę i odstawił filiżankę na spodek. – Kiedy sprawdzi pan Kepplera, a na pewno pan to zrobi, myślę, że znajdzie pan dowody uwalniające go od podejrzeń o jakikolwiek udział w kradzieży.

– Dowody? – Whitlock był zaskoczony.

– Jest to jeden z najbardziej znanych i poszukiwanych doradców do spraw bezpieczeństwa w Amsterdamie. Wątpię, czy osiągnąłby taką reputację, gdyby nie był bezwzględnie wiarygodny.

Van Dehn wstał powoli. – Nie ukradłem tego obrazu, panie Whitlock. Nie zrobiłbym nic, co by zaszkodziło mojemu muzeum. Musi mi pan uwierzyć.

Whitlock nic nie odpowiedział. Van Dehn opuścił pokój nerwowym krokiem.

Whitlock był zadowolony z przebiegu rozmowy. W dossier sprawy znalazł odpowiedzi na większość pytań, a na pozostałe odpowiedź mógł uzyskać od Broodendyka. Zgodnie z wcześniejszym zamiarem, pozwolił Van Dehnowi się wygadać, między innymi po to, aby móc go poobserwować na jego własnym terenie. Van Dehn rozpoczął dość nerwowo, ale gdy doszedł do przekonania, że Whitlock nic nie wie, przeszedł do ofensywy, popadając nawet w nadmierną

pewność siebie, aż wreszcie przy końcu rozmowy poczucie winy niespodziewanie pojawiło się znowu. Whitlock zawsze wierzył w informacyjne znaczenie fizjonomii, a jego konkluzje w tym zakresie były przeważnie trafne. Teraz był już pewien, że Van Dehn jest w to zamieszany. Sądził również, że zamiana została dokonana w tylnym pomieszczeniu samochodu, w drodze z muzeum na Schiphol Airport, a jeśli tak, to Keppler i jego dwaj ludzie również musieli brać w tym udział. Whitlock miał w dossier kartotekę Kepplera i zgodnie ze słowami Van Dehna, były tam same komplementy pod jego adresem. Czy Keppler był mózgiem całej operacji? Czy był ktoś jeszcze, ktoś, kto zaplanował akcję, nie biorąc w niej bezpośredniego udziału? I kto teraz ma oryginał? Keppler? Tajemniczy projektodawca? Whitlock znał siebie i wiedział, że teraz mógł spekulować godzinami i do niczego konkretnego nie dojść. Musiał udowodnić winę Van Dehnowi. Ale jak? Odpowiedź musiała być na wideokasiecie.

Wziął do ręki zdalny sterownik i jeszcze raz wcisnął przycisk PLAY.

* * *

Maartens miał rację, Jan Lemmer był dobrze znany w dzielnicy Jordan. Jego dwudziestopięciometrowa łódź cumowała w perspektywie Zachodniego Kościoła. Wskutek wielomiesięcznego zaniedbania, zielona i żółta farba odpadała od burt płatami jak szpetne strupy. Łódź sprawiała wrażenie opuszczonej.

Zaciskając w kieszeni dłoń na pistolecie, Graham zbliżył się do łodzi i pochylił zaglądając do środka przez okienko. Odblask słońca uniemożliwił obejrzenie wnętrza.

– Czego chcesz? – Nastolatka mówiąca z niemieckim akcentem wyszła nagle z kabiny na pokład.

– Szukam! Jana Lemmera – powiedział Graham.

– Nie znam go. Idź sobie.

Z kabiny wyszedł mężczyzna około trzydziestu pięciu lat. Jego twarz zeszpecił kiedyś okrutnie młodzieńczy trądzik. Tatuaż na karku przedstawiał dwa skrzyżowane, zakrwawione noże, poniżej czerwone litery układały się w napis gevaar („niebezpieczeństwo”).

– Ty jesteś Lemmer? – spytał Graham.

– Tak. Czego chcesz?

– Pogadać.

– To gadaj.

– Nie przy twojej córeczce.

– Nie jestem jego córeczką – zaprotestowała nastolatka biorąc Lemmera za rękę.

Lemmer odtrącił ją i wyszczerzył zęby do Grahama. – Podoba mi się twoje poczucie humoru, amerykańcu.

- Pomyśl o tym, co teraz powiem. Albo rozmawiasz z nami, albo z policją.
- Lepiej wejdźcie na pokład. – Lemmer zwrócił się do nastolatki: – A ty idź się przejść.
- Ale, Jan...
- Powiedziałem, idź się przejść, Heidi. I żebym cię nie widział przez najbliższe pół godziny.

Zrozumiałaś?

Ponuro skinęła głową, zeskoczyła z burty na chodnik i skierowała się na Bloemstraat.

- Przecież to dziecko – Sabrina była zdegustowana.
- Osiemnastka – wyjaśnił Lemmer wzruszając ramionami.
- Raczej szesnastka – stwierdził Graham.
- A jej rodzice? Wiedzą, że ona jest tutaj? – spytała Sabrina.
- Ona uciekła z domu. Z Berlina. To co... O czym chcecie rozmawiać?
- O kradzieży – odpowiedział Graham.

Lemmer wprowadził ich do kabiny, której wnętrze przypominało szambo. Porozrzucone poduszki, wypełniające stół puste butelki, brudne szkło i przepełnione popielniczki. Koło przesuwanych drzwi wałały się resztki jedzenia.

– Było u mnie kilkoro przyjaciół wczoraj wieczorem – powiedział Lemmer tonem wyjaśnienia.

Oboje zdążyli zauważyć strzykawkę i saszetkę pełną heroiny, zanim Lemmer przykrył je poduszką, po czym usiadł trzymając na niej rękę. – To co z tą kradzieżą, panie... nie dosłyszałem pańskiego nazwiska. Pani również.

– Nie, nie dosłyszałeś – potwierdził Graham. – Dwa i pół roku temu z domu przy ulicy De Clerq skradziono obraz o wielkości piętnastu stóp kwadratowych. Pamiętasz?

– Sądzisz, że miałem z tym coś wspólnego? – Lemmer okazał rozbawienie.

Graham, który do tej pory spacerował wzdłuż kabiny, zatrzymał się przed Lemmerem. – Mamy świadka gotowego przysiąc przez sądem. Mamy również nieletnią uciekinierkę, która mieszka w tej łodzi. W końcu, mamy paczkę heroiny pod tą poduszką. Będziesz miał fart, jeśli opędzisz się dziesięcioma latami w pudle.

Lemmer rzucił się na Grahama, otwierając sprężynowy nóż, który wyjął z kieszeni chwilę wcześniej. Sześciocalowe ostrze przecięło kurtkę Grahama i obaj mężczyźni zwałili się na podłogę. Sabrina chwyciła berettę i przystawiła ją Lemmerowi do skroni w pobliżu lewego ucha. Lemmer, wyczuwając jej obecność, odwrócił głowę. W tym momencie otrzymał cios. Rękojeść pistoletu trafiła go cal od oka. Zawył jak ranione zwierzę. Z rany trysnęła krew. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, Sabrina uderzyła jeszcze raz, tym razem za uchem. Nóż wypadł z wiotczącej dłoni Lemmera, który runął bez przytomności na Grahama.

Chluśnięcie w twarz lodowatą wodą przywróciło Lemmerowi przytomność. Potrząsnął głową, lecz nie udało mu się poruszyć – obie ręce, a także nogi, miał przywiązane do

drewnianego krzesła sznurem, który Graham znalazł w sypialni pod pokładem. Rzucił się z furją chcąc się uwolnić, ale ból odebrał mu ochotę do szarpaniny. Ucieszył go widok czerwonej pregi w poprzek kurtki Grahama – a więc jednak dosięgnął go!

Graham jakby czytał w jego myślach. Przykucnął przed nim. – To twoja krew, spójrz na swoją kamizelkę – wyjaśnił.

– Skurwiel! – wycharczał Lemmer, spojrzawszy na swoje zakrwawione ubranie.

– Dla kogo ukradłeś ten obraz?

– Idź do diabła, kurwo!

Sabrina wzruszyła ramionami. – Nikt nie powie, że nie próbowałam.

Graham wskazał na rękę Lemmera. – Nie ma nakłuć.

– Ja się nie kłuję.

– Dostawcy rzadko się kłują – Graham wziął strzykawkę do ręki. – Chyba wiesz, co to jest „złoty strzał”?

Krew odpłynęła z twarzy Lemmera.

– Jestem pewien, że wiesz. Na pewno go stosowałaś, aby się pozbyć kłopotliwych klientów. Czym zastępujesz wtedy heroinę? Strychniną? Kwasem akumulatorowym? – Graham pokiwał głową widząc przerażenie na twarzy Lemmera. – W maszynowni znalazłem trochę sproszkowanego kwasu akumulatorowego, akurat wystarczy. Słyszałem, że agonia jest nie do zniesienia. Problemem jest tylko znalezienie żyły.

Lemmer zamrugał, gdy pot spłynął mu z czoła do oczu. – Nie zrobisz tego!

– Jeszcze jako żołnierz nauczyłem się, że nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika – mówił Graham pocierając skórę w okolicy łokcia prawej ręki Lemmera. – Za chwilę znajdziemy żyłę.

– Dla kogo ukradłeś ten obraz? – powtórzyła pytanie Sabrina.

– Znalazłem – oświadczył Graham i przystawił igłę strzykawki do żyły.

– Okay, powiem! – wrzasnął Lemmer z przerażeniem, wpatrując się w strzykawkę. – Nazywa się Hamilton. Terence Hamilton.

– A gdzie możemy znaleźć pana Terence’a Hamiltona?

– Kalverstraat. W pobliżu Madame Tussaud. Ma tam galerię.

– Dlaczego chciał mieć ten obraz?

– Nie wspominał – odpowiedział Lemmer. Miał sucho w ustach, toteż mówienie przychodziło mu z pewną trudnością.

Graham przebił mu skórę igłą strzykawki. – Nie wiem, przysięgam, nie mam pojęcia! – zaskamlał Lemmer. – Wszystko, co powiedział, to że będę z tego miał tysiąc guldenów. Pięćset dla moich kumpli. Rąbnęliśmy ten obraz i zanieśliśmy do jego galerii. On zapłacił, a myśmy sobie poszli. Nie wiem, co się działo potem. Uwierzcie mi!

Graham zabrał strzykawkę, włożył Lemmerowi do ust zwiniętą chusteczkę do nosa

i skierował się w stronę drzwi, w których stała już Sabrina. Przed wyjściem spojrzął na Lemmera.
– Nie przejmuj się, twoja „córka” zaraz powinna wrócić.

Oczy Lemmera były pełne nienawiści.

– To była dość tania sztuczka, z tym talkiem w roli sproszkowanego kwasu akumulatorowego – zauważyła Sabrina, gdy już opuścili łódź Lemmera. – Na szczęście on nie zauważył bluffu.

Graham wzruszył ramionami. – Gdyby miał umrzeć, to by umarł.

– Ale przecież talk jest nieszkodliwy.

– Owszem, talk jest nieszkodliwy – odparł Graham i zajął się przywoływaniem taksówki.

* * *

Sabrina podała adres taksówkarzowi, następnie zamknęła pleksiglasowe okno, oddzielające ich od kierowcy i ze złością zwróciła się do Grahama. – Okłamałeś mnie, Mike. Kiedy wreszcie zaczniesz mi ufać? Czy oczekuję zbyt wiele?

Graham rozważał jej słowa gapiąc się przez szybę na taksometr. – Ależ ufam ci, Sabrino. Gdyby tak nie było, dawno już złożyłbym prośbę o przeniesienie.

Jego spokój zaskoczył ją. – Więc dlaczego ciągle mnie oszukujesz, jeżeli ufasz mi tak, jak mówisz?

– Czy naprawdę nie rozumiesz?

Jej złość zmieniła się nagle w poczucie winy.

– Nie – odpowiedziała z oporem.

– Wiesz chyba, że po porwaniu Mickeya i Carrie musiałem przejść psychoterapię?

Skinęła głową, nie spuszczając wzroku z jego twarzy. Graham dawał jej rzadką, z pewnością bardzo krótką, okazję do wejrzenia w jego myśli.

– Wiesz pewnie również, że odmówiłem w swoim czasie współpracy z kimkolwiek. Popadłem w całkowitą negację wobec ludzi. – Uśmiechnął się do siebie. – Sądzę, że stanowiłem wówczas pokazowy przypadek dla studentów psychiatrii w Princeton.

– Miałeś swoje powody – miękko wtrąciła Sabrina.

– Tak, a jeden z nich dotyczył właśnie zaufania. Byłem w Delcie przez jedenaście lat i miałem wówczas mnóstwo przyjaciół, zwłaszcza gdy poślubiłem Carrie. Święta Bożego Narodzenia spędzaliśmy zawsze z naszymi rodzinami, ale Nowy Rok to już sprawa Delty. Wynajmowaliśmy do tego celu pewną farmę w Kansas, gdzie mogliśmy hałasować ile weszło. Stanowiliśmy w Delcie jedną wielką rodzinę. I nagle to porwanie! Ktoś z naszych, a być może kilku, wygadał się na temat akcji w Libii. I nie jest nawet ważne, czy było to zamierzone czy też nie. Tak czy inaczej, moje zaufanie do kolegów, budowane przez jedenaście lat, rozpadło się

w jednej chwili. Tak więc gdy rozpocząłem pracę w UNACO, musiałem zacząć wszystko od początku. Jak już powiedziałem, wierzę ci, ale tylko do pewnego stopnia. To samo dotyczy C.W. I teraz to będzie długa droga, zresztą podobnie jak w Delcie.

– Ale już nie może być jak w Delcie, czy tego nie widzisz?

– Tak, ale teraz potrzebuję czegoś w rodzaju łaski dla inwalidy, a wszystko, co mam, to Delta – Graham gapił się przez szybę na ulicę. – Co byś zrobiła, gdyby w tej strzykawce był naprawdę kwas, a nie talk?

– Nie pozwoliłabym ci posunąć się za daleko. Jesteś nieobliczalny, nie jestem pewna, czy nie byłbyś w stanie naprawdę wstrzyknąć mu trucizny.

– Mógłbym to zrobić bez zmrużenia oka.

– Zamordować z zimną krwią?

Ze smutkiem skinął głową. – Bardzo się różnimy. Mógłbym bez mdłości zniżyć się do poziomu Lemmera, aby tylko wydobyć z niego potrzebną mi informację. Ty, oczywiście, robiłabyś to w jedwabnych rękawiczkach.

– To nieprawda – zaperzyła się – nienawidzę typków w rodzaju Lemmera podobnie jak ty, ale branie na siebie roli sędziego, przysięgłych i kata nie jest rozwiązaniem. Przestępcy powinni być oddawani sprawiedliwości.

– Sprawiedliwość? A tak, sprawiedliwość jest wtedy, gdy sprzedawca narkotyków taki jak Lemmer dostaje dziesięć lat za zniszczenie dziesiątek istnień, a po pięciu latach wraca na ulicę, żeby dalej robić to samo. Ta sama sprawiedliwość wsadza na dożywocie terrorystę za morderstwa popełnione na niewinnych ludziach w imię jakiejś idei, której anarchistyczny bękart nawet nie rozumie, a i tak tylko po to, by go wkrótce wypuścić, gdy jego kumpel weźmie innych niewinnych ludzi jako zakładników. Dlaczego nie zapytasz rodzin ofiar, co myślą o takiej sprawiedliwości?

– Wiem, co masz na myśli, Mike, ale jeżeli jesteś gotów do mordowania ludzi z zimną krwią, to nie różnisz się niczym od innych morderców.

– Nie zgadzam się. Oni postępują wbrew prawu, a ja działam zgodnie z nim. To jest pewna różnica.

– Granica jest cienka, bardzo cienka.

– Będę kroczył po tej granicy dopóty, dopóki wymiar sprawiedliwości nie zacznie poświęcać więcej uwagi ofiarom, zamiast szukać bezsensownych wytłumaczeń dla przestępców.

Taksówka się zatrzymała i kierowca zapukał w okno, wskazując na budynek galerii. Budynek ten musiał kiedyś należeć do bogatego holenderskiego szlachcica. Data jego zbudowania, 1673, widniała na szczytowej płycie kamiennej, umieszczonej nad oknami drugiego piętra. Ponad wyrzeźbioną w kamieniu datą umieszczono czarny napis: DE TERENCE HAMILTON GALERIA.

– Ja to załatwię – powiedziała Sabrina i otworzyła drzwi samochodu.

– Martwisz się, że mógłbym zrobić krzywdę temu Hamiltonowi?

– Nie tylko – odpowiedziała wskazując krew na kurtce Grahama. – To mogłoby wzbudzić czyjeś niezdrowe zainteresowanie.

– No tak, chyba masz rację – burknął Graham i opadł z powrotem na siedzenie.

Sabrina poprosiła taksówkarza, aby poczekał, przeszła przez ulicę i weszła do galerii Hamiltona.

Przez chwilę przyglądała się wiszącym na ścianach obrazom. Galeria wyraźnie specjalizowała się w kopiach malarzy holenderskich – od piętnastowiecznych wątków biblijnych Boscha i Geertgena do dwudziestowiecznych modernistów jak Modrian i ekspresjonistów jak Kruyder.

– *Kan ik u helpen?* (Czy mogę w czymś pomóc?) – usłyszała za sobą pytanie.

– Owszem – odpowiedziała z uprzejmym uśmiechem. – Chciałabym się widzieć z panem Hamiltonem.

– Czy jest pani umówiona? – spytała sprzedawczyni nienagannym angielskim.

– Obawiam się, że nie, ale jestem pewna, że pan Hamilton zechce ze mną rozmawiać. Mamy wspólnego znajomego, pana Jana Lemmera.

Sprzedawczyni przeprosiła i wróciła po minucie. – Pan Hamilton prosi panią do swego biura. To jest tam, na szczycie tych drewnianych schodów.

Sabrina weszła na górę i stanęła przed fornirowanymi drzwiami z napisem: T. HAMILTON – DIRECTEUR. – Zapukała.

– Proszę wejść.

Za czarnym biurkiem siedział człowiek około sześćdziesiątki, o wyrazistej twarzy. Wokół biurka stały obrazy Braque'a i Picassa, na ścianie wisiała powiększona reprodukcja *Shooting Gallery* Kocha.

– Chciała pani ze mną rozmawiać? – uprzejmie i zwrócił się do niej Hamilton, wskazując wymanikiowaną dłoń w kierunku skórzanego fotela stojącego naprzeciw biurka. – Proszę usiąść, panno... moja asystentka chyba nie przekazała mi pani nazwiska przez telefon.

– Rzeczywiście nie przekazała. Jestem pewna, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem, panie Hamilton, więc od razu przejdę do rzeczy. Dwa i pół roku temu człowiek nazwiskiem Lemmer wraz z dwoma pomocnikami włamał się do domu przy ulicy Clerq i ukradł bezwartościowy obraz mało znanego siedemnastowiecznego malarza Johana Seegersa. Następnie przyniósł obraz do pana. Chcę wiedzieć, co się dalej działo z tym obrazem.

Hamilton dotknął krawata i uśmiechnął się. – Obawiam się, że nie wiem, o czym pani mówi. I jak pani już zauważyła, jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Tak więc, proszę wybaczyć... – powiedział wskazując drzwi.

Sabrina zdecydowała się na rozgrywkę w stylu Grahama. Wzięła do ręki leżący na biurku nóż do krojenia papieru i zrobiła nim głęboką rysę na najbliższym stojącym obrazie Picassa *Akrobata i młody Arlekin*.

– Mój Boże, co pani robi? – wrzasnął Hamilton zrywając się na równe nogi.

– Siadaj! – ostro rzuciła Sabrina. Hamilton usiadł bezwładnie, przenosząc wzrok z noża na pocięty obraz i z powrotem.

– Masz dwie możliwości – powiedziała. Pierwszą, to zadzwonić na policję i zażądać aresztowania mnie za wandalizm. Drugą, to współpracować ze mną.

Hamilton spojrzał na aparat telefoniczny.

– Zadzwon, lecz pamiętaj, że Lemmer już cię wsypał. Nawet jeśli wyjdiesz z tego cało, twoja kariera handlarza dziełami sztuki będzie skończona. To ci mogę obiecać.

– Kim pani jest?

Nie odpowiedziała.

– W porządku – wykrztusił w końcu Hamilton nie patrząc jej w oczy. – Pamiętam ten obraz Seegersa.

– Kto go potrzebował?

– Falszerz nazwiskiem Toysgen.

Toysgen? Nie było takiego nazwiska na liście UNACO.

– On nie jest znany na Zachodzie. Jego obrazy były i są nadal niezmiernie popularne w podziemnych kręgach artystycznych Moskwy. Krąży nawet plotka, że jeden z jego Rembrandtów wisi na Kremlu.

– Mów dalej – zachęciła go Sabrina z trudem ukrywając podniecenie.

– On się specjalizuje w siedemnastowiecznych Holendrach. Widziałem go dwa razy, raz w Moskwie, a drugi raz tutaj, gdy przyjechał zbierać obrazy Seegersa.

– Gdzie go mogę znaleźć?

– Nie wiem. Jak mówiłem, w Amsterdamie widziałem go tylko raz. Można popytać na terenie Jordana, który jest dzielnicą artystycznej bohemy Amsterdamu. Proszę spróbować w „Bohemer”, barze przy ulicy Laurier, gdzie stale przesiadują młodzi artyści. Większość z nich nie ma grosza przy duszy i kilka guldenów powinno ich łatwo nakłonić do mówienia.

– Jak wygląda Toysgen?

– Nieco po pięćdziesiątce, niski, łysiejący.

Sabrina zostawiła Hamiltona zapatrzonego w zniszczony obraz Picassa i wróciła do taksówki.

– Nie straciłaś czasu – Graham wyczuł jej nastrój, gdy usiadła obok niego.

– Owszem – odpowiedziała i podała dyspozycję taksówkarzowi. Podczas jazdy opowiedziała wszystko Grahamowi, tym razem już nie ukrywając swego przejęcia.

* * *

Z budki telefonicznej w pobliżu baru Bohemer Sabrina zadzwoniła do Whitlocka, informując go o dotychczasowych odkryciach. W tym czasie Graham zdobył bez większego trudu adres Toysgena za kilka drinków. Toysgen mieszkał przy Eikenhoutstraat, niecałe pół mili od baru, w którym był stałym, choć niezbyt towarzyskim bywalcem. Czwórka młodych artystów, od których Graham uzyskał informacje, nigdy z poszukiwanym nie rozmawiała. Adres znali tylko dlatego, że jeden z nich, wiedziony ciekawością, kiedyś poszedł za Toysgenem. Nawet barman wiedział o nim tylko tyle, że kazał się nazywać „Mick”. Zawsze w tym samym niemodnym ubraniu, przychodził codziennie o wpół do czwartej po południu, siadał zawsze w tym samym rogu baru i wypijał kieliszek jałowcówki, poprawiając kuflem piwa Lambek. Wychodził dokładnie za piętnaście czwarta. Zanim Sabrina skończyła rozmowę z Whitlockiem, Graham miał gotowy wizerunek Toysgena – nieufny samotnik, który rozwijał swój talent tylko po to, aby sobie samemu udowodnić, że jest kimś lepszym niż inni.

Na Eikenhoutstraat poszli piechotą. Mieszkanie Toysgena mieściło się na najwyższym piętrze szesnastowiecznego budynku z czerwonej cegły, który kiedyś pewnie był magazynem. Na poziomie dachu nadal sterczał wysięgnik dźwigu, całkowicie zardzewiały od wieloletniego nieużywania. Parter budynku znajdował się na poziomie brukowanego chodnika.

Drzwi do mieszkania były otwarte. Toysgen leżał na gołej podłodze, jego oczy patrzyły na drzwi niewidzącym wzrokiem. Gardło miał poderżnięte od ucha do ucha.

Na końcu korytarza trzasnęły drzwi. Graham polecił Sabrinie rozejrzeć się po mieszkaniu, sam zaś, wyciągając pistolet z pochwy, puścił się biegiem wzdłuż korytarza. Nie dbając o bezpieczeństwo pchnął drzwi prowadzące na metalowe schody; ktoś zbiegał na dół. Graham ruszył w pogoń. Trzasnęły drzwi na parterze; Graham dobiegł do nich w kilka sekund później i wypadł na zewnątrz. Znalazł się na małej uliczce – była pusta. Na lewo Eikenhoutstraat, na prawo inna ulica. Zdecydował się biec w lewo lecz po kilku krokach usłyszał za sobą warkot samochodu. Odwrócił się – jasnoniebieski ford granada właśnie skręcił zza rogu i jechał wprost na niego. Za kierownicą siedział Lemmer. Graham szybko się rozejrzał – było za późno na ucieczkę. Oddał dwa strzały w stronę samochodu. Lemmer schylił się, choć pociski zaledwie liznęły przednią szybę. Graham rzucił pistolet na ziemię, uchwycił się parapetu najbliższego okna i podciągnął na rękach, podkurczając nogi. Lemmer skierował wóz w jego kierunku. Boczne drzwi otarły o mur sypiąc iskrami, dach samochodu musnął kolana Grahama bez żadnego uszczerbku. Gdy Graham skoczył na ziemię i podniósł berettę, samochód znikł w Eikenhoutstraat. Pobiegł do wylotu uliczki, lecz fordzie nie było już śladu. Zaklął ze złością, schował pistolet i wrócił do mieszkania Toysgena.

Pokróćce opowiedział Sabine, co zdarzyło przed chwilą.

– Skąd on mógł wiedzieć, że zmierzamy do Toysgena? – spytała, gdy Graham skończył relację.

Graham wzruszył ramionami i zakreślił ręką łuk w powietrzu. – Znalazłaś coś?

– Nie, ale jeszcze nie sprawdziłam atelier. Oboje weszli do atelier i rozejrzeli się. Wzdłuż przeciwległej ściany rozciągał się warsztat z mnóstwem pędzli, palet, butelek, słoików i dziesiątkami tubek po farbie olejnej. Wiele na wpół wykorzystanych tubek walało się po podłodze, a wyciśnięta z nich farba tworzyła na drewnianych deskach osobliwą mozaikę. Po prawej stronie stało pięć zabryzanych farbą sztalug. Cztery były puste, na piątą naciągnięte płótno zasłaniał kawałek białego, poplamionego farbą sukna. Sabrina zdjęła zasłonę i ich oczom ukazała się nie dokończona reprodukcja *Koronczarki* Venneera. „Czyżby ten falsyfikat miał być także użyty do zamiany, jak w wypadku *Nocnej straży*?” – przemknęło jej przez myśl.

– Sabrino, spójrz.

Sabrina podeszła do Grahama, który pochylał się nad stertą płócien. Część z nich odłożył już na bok, a teraz wskazywał leżące na wierzchu. To była perfekcyjnie wykonana reprodukcja *Nocnej straży*, tyle że o wymiarach osiem na osiem stóp. Sabrina przyjrzała się uważnie werblowi – kropka na jego środku była czerwona.

– Znaleźliśmy naszego fałszerza – powiedziała.

Graham skinął głową i ruszył w stronę drzwi. – Tracimy tu czas. UNACO może przysłać ludzi do zabrania tych płócien.

– A dokąd idziemy?

– Do łodzi Lemmera.

– Jeśli on tam jest.

– Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Chodźmy.

* * *

Kordon policji w promieniu stu jardów bronił dostępu do łodzi Lemmera. Przed nią stał ambulans i dwa samochody policyjne, na zacumowanym obok kutrze patrolowym siedziało kilku nurków gotowy do akcji.

– Co się stało? – zapytała Sabrina mężczyzny z fajką.

– To okropne, okropne – odrzekł mężczyzna, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Znałem ich oboje, nasza łódź stoi niedaleko stąd.

– Ale co się stało?

– On ją zabił. Miała ledwie szesnaście lat. Nigdy nie był dla niej dobry, ale ona nie chciała słuchać niczyich rad. Świata poza nim nie widziała. Myślę, że traktowała go trochę jak ojca. Wie

pani, ona uciekła z domu.

– Jak umarła? – zapytała Sabrina zdając i sprawę z niestosowności pytania.

– Słyszałem, jak policjant mówił, że miała poderżnięte gardło. To straszne, była jeszcze dzieckiem.

– Czy policja go złapała?

– Nie, uciekł. On tu nie wróci, nie ośmieli się.

Graham trącił Sabrinę łokciem; odeszli rozglądając się za taksówką, aby dojechać do Rijksmuseum.

* * *

Whitlock właśnie zatrzymał taśmę, gdy i Sabrina weszli do pokoju. – No, co wyciągnęliście od Toysgena?

– Niewiele, nie żyje – odrzekł Graham podchodząc do telefonu. – Wszystko, co nam powiedział, to jedynie to, że w tym muzeum jest ktoś związany ze sprawą. Chwilę później umarł i nie zdążył wymienić nazwiska.

Sabrina spojrzała na Grahama ze zdumieniem, ale ten szybko położył palec na ustach i wziął do ręki leżące przy telefonie wieczne pióro – w jego nasadce tkwił miniaturowy nadajnik.

– Dziś wieczorem spotkam się z człowiekiem, który wie, kto to jest. – Graham odłożył ostrożnie pióro i skierował się do drzwi. – Chodźmy coś zjeść.

Gdy już zeszli do foyer, Sabrina ujęła Grahama pod rękę. – Skąd wiedziałeś o nadajniku?

– Możesz to nazwać przecuciem. Inaczej jak Lemmer mógłby dobrać się tak szybko do Toysgena? – Graham przyjaźnie klepnął Whitlocka po plecach – Nie bądź taki przygnębiony. Nie mogłeś go zobaczyć, nie wiedziałeś, że tam jest.

– Ty draniu! – powiedziała ze złością Sabrina. – Specjalnie kazałeś mi zadzwonić do C.W. i powiedzieć o Toysgenie! Wiedziałeś, że Van Dehn założył podsłuch i chciałeś sprawdzić, jak zareaguje na wiadomość. Zdaje się, że jesteś zadowolony.

– Jestem zadowolony. Założę się, że Van Dehn poci się teraz w swoim pokoju. Założę się również, że wie, gdzie podziewa się Lemmer. Zaraz więc wykona kolejny telefon, a tym razem celem będę ja.

– Chcesz, żeby Lemmer przyszedł po ciebie?

– A jaki mamy z niego pożytek, dopóki ukrywa się w jakimś zapchlonym hoteliku na przedmieściach? Toysgen nie żyje, a Hamilton jest tylko paserem Lemmer jest jedyną osobą, która może wskazać nam van Dehna. Musimy go wyciągnąć z kryjówki.

– A skąd masz pewność, że on zastosuje się do twojego kiepskiego scenariusza? – ostro rzuciła Sabrina. – Zabił już dwa razy, nie ma nic do stracenia.

– Chodzi nie tylko o to, co może stracić, ale również o to, co może zyskać. Na przykład: układ z prokuratorem generalnym i zmniejszenie wyroku, jeśli dostarczy dowodów.

– Nie mamy żadnych wejść do prokuratora generalnego, Mike.

– My to wiemy, C.W., ale Lemmer nie wie.

Sabrina pokręciła głową, najwyraźniej sfrustrowana. – Mike, czy nie obchodzi cię fakt, że Toysgen nie żyje przez twoje sztuczki i podwójną grę?

– Na wojnie zawsze są ofiary.

– Ale ta śmierć była całkiem niepotrzebna...

– Dość! – przerwał Whitlock podnosząc ręce. – Jeśli chcecie skoczyć sobie do gardeł, to róbcie I prywatnie. Teraz chodźmy na lunch.

– Straciłem apetyt – burknął Graham. – Po: tym chciałbym uważnie się przyjrzeć temu opancerzonemu pojazdowi. Tam może być coś bardzo ważne; Może coś znaleźć.

Whitlock był zadowolony z zawieszenia broni. – Zobaczymy się tutaj za trzydzieści minut.

Graham wziął z sekretariatu Broodendyka klucze do samochodu i poszedł w kierunku tylnego dziedzińca muzeum. Było tam dziesięć garaży wzdłuż zwirowanej alejki dochodzącej do Museumstradt. Otworzył drzwi z numerem 10 i zapalił światło. Z pewnym zdziwieniem stwierdził, że garaż jest wystarczająco obszerny, aby bez przeszkód obejść pojazd naokoło. Była to biała toyota z siatką ochronną nad szybą czołową i wzmocnionymi ścianami bocznymi o grubości czterech cali. Graham otworzył pozbawione okien tylne drzwi. Wnętrze samochodu było puste, jeśli nie liczyć kilku lin i zaczepów rozłożonych na metalowej podłodze. Wszedł do środka i kilkakrotnie uderzył ręką w ściany – były solidne. Wyszedł z samochodu, zamknął drzwi i wsunął się pod podwozie. Znowu nie znalazł niczego podejrzanego. Wrócił do muzeum, oddał klucze sekretarce. Kiedy znalazł się w pokoju, przewinął taśmę na początek filmu. Wziął do ręki urządzenie do zdalnego sterowania i wcisnął przycisk PLAY.

Gdy oglądał film po raz czwarty, weszli Sabrina i Whitlock. Sabrina położyła paczuszkę przed Grahamem. – Pomyślałam, że teraz możesz już być głodny.

Był to pomysł Whitlocka na zakopanie wojennego topora.

– O, dziękuję – powiedział Graham nie odrywając oczu od ekranu.

– Zobaczyłeś coś? – spytał Whitlock.

– Nie – odparł Graham zaczepnie. – Może mógłbym, gdybyście dali mi spokojnie pooglądać.

Whitlock już chciał zareagować, gdy Graham trącił go wskazując na nadajnik. Odprowadził ich na drugi koniec pokoju.

– Zdaje się, że coś odkryłem – mówił Graham ledwo słyszalnym szeptem. – Ale Van Dehn nie może niczego podejrzewać. On musi być przekonany, że jedynym sposobem zdemaskowania go jest to moje nocne spotkanie z tajemniczym informatorem.

Wszyscy wyszli z pokoju, cicho zamykając drzwi za sobą.

– Więc co? – zazaądał wyjaśnienia Whitlock. – Oglądałem to wideo z piętnaście razy i przysięgłbym, że tam nie ma nic sugerującego, że zamiany dokonano w Amsterdamie.

– Zgodziłbym się z tobą, gdybym nie oglądał samochodu.

– Znalazłeś coś w samochodzie? – spytała Sabrina.

– Nic oczywistego – Graham spojrzał na Whitlock'a. – Byłem w stanie poruszać się swobodnie w wnętrzu samochodu. Tymczasem na filmie jeden z agentów musiał się przeciskać, aby zapiąć pasy mocujące skrzynię w przedniej części pojazdu. Może to był efekt kąta widzenia kamery. Sądzę, że warto się temu przyjrzeć bliżej.

– Co masz na myśli? – spytał Whitlock.

– Wezwiemy tych ludzi i odtworzymy procedurę ładowania obrazu. W ten sposób sprawdzimy, czy falsyfikat był już przymocowany do ściany.

– Czego użyjesz zamiast obrazu? – spytała Sabrina.

Graham był nieco zmieszany. Whitlock podniósł palec. – O ile mi wiadomo, muzeum na wszelki wypadek zbudowało dwie skrzynie o tych samych wymiarach. Nie sądzę, aby tę drugą wyrzucili.

– Możesz porozmawiać o tym z Broodendykiem, C. W.? – poprosił Graham. – Załatw to na jutro rano.

– Oczywiście – odrzekł Whitlock i zbiegł na dół w kierunku gabinetu Broodendyka.

– A co my mamy zamiar zrobić? – spytała Sabrina.

– Ty masz zamiar oglądać ten film i dobrze się z nim zapoznać. A ja mam zamiar zjeść to, co mi przyniosłaś. Umieram z głodu.

Przy kolacji rozmawiali wyłącznie o pracy, poczynając od domniemanych wyników jutrzejszej wizji lokalnej związanej z załadunkiem Nocnej straży do samochodu, a kończąc na przypuszczeniach dotyczących losów wyprawy Grupy Operacyjnej nr 2 do Libii.

Graham dopił kawę i wytarł usta serwetką. – Okay, jestem gotów.

Whitlock napisał na rachunku numer swego pokoju. Wyjął z kieszeni miniaturowy nadajnik w kształcie guzika i położył go na stole. – Ma zasięg pięciuset jardów. Weź to pod uwagę.

Graham schował nadajnik. – Daj mi kilka minut, Lemmer nie może zauważyć, że ktoś za mną idzie.

– Zgodziliśmy się co do tego – powiedział Whitlock.

– O ile Lemmer rzeczywiście czyha na niego – dodała Sabrina.

– Na pewno przyjdzie. Dla Van Dehna to zbyt dobra okazja, aby ją przepuścić.

Wyszli z restauracji i pojechali windą na trzecie piętro. Ich pokoje sąsiadowały ze sobą.

Whitlock zatrzymał się przy swoich drzwiach. – Zsynchronizujmy zegarki.

– U mnie jest ósma dwadzieścia cztery – oznajmił Graham.

Wyregulowali wskazówki.

– Masz trzy minuty – powiedział Whitlock.

– Trzy minuty – powtórzył Graham i zniknął w swoim pokoju.

Graham z przyzwyczajenia sięgnął po kurtkę z kapturem, ale przypomniał sobie o krwi, wyjął więc z szafy drugą, pożyczoną wcześniej od Whitlocka. Odbezpieczył berettę i włożył ją do kieszeni. Mimo że przywykł już do broni, na którą namówiła go Sabrina, nadal tęsknił za coltem 45, którego używał w Wietnamie, a potem również w Delcie. Słabą stroną tej silnie bijącej broni była jednak mała pojemność magazynka. Beretta mieściła piętnaście pocisków. Osiem pocisków różnicy nieraz już miało swoją wagę w poprzednich akcjach.

Winda zjechała na parter. Graham oddał klucz do recepcji i szybko wyszedł na ulicę. Jasno oświetlone Rijksmuseum widniało zaledwie o sto jardów. Sprawdził zegarek – minęło już dziewięćdziesiąt sekund. Wyjął nadajnik z kieszeni i przyjrzawszy się przechodniom obrał za swój cel człowieka w średnim wieku o wyglądzie businessmana, niosącego skórzaną torbę. Zrównał się z nim i udając potknięcie, włożył mu nadajnik do kieszeni kurtki. Natychmiast przeprosił za swoją niezręczność, na co mężczyzna uśmiechnął się i poszedł dalej – akurat w kierunku, w którym jak sądzili Whitlock i Sabrina, on powinien pójść. Teraz Graham wsunął rękę do kieszeni i spiesznie podążył w kierunku przeciwnym, do Stadshouderskade. Nie mógł znieść poczucia, że jest prowadzony jak jakiś oswojony gołąb, wolał dać szansę Lemmerowi – taki już był Mike Graham.

Udawał, że gapi się na wystawy, chcąc ustalić czy jest śledzony. Lemmer tego po nim oczekiwał. Mimo że nie zauważył Lemmera, był przekonany, iż Holender jest gdzieś za nim. Przy skrzyżowaniu z Hoofstraat opuścił Stadshouderskade i skierował się do Vondelpark, pełnego trawników i sadzawek. Odtwarzał w ten sposób swój popołudniowy spacer, który zrobił pod pretekstem nabrania apetytu. Odnalazł magazyn przy Burchstraat, jednej z wielu bocznych uliczek odchodzących od P.C. Hoftstraat. Magazyn przypominał budynek, w którym mieszkał Toysgen, z tą tylko różnicą, że był całkowicie opuszczony. Graham popatrzył na jego zarys, groźnie wyglądający w przyćmionym świetle mało uczęszczanej ulicy. Końcami palców pchnął drzwi wejściowe, które otworzyły się skrzypiąc rozdzierająco. Przez okna budynku, dawno już wybite, wdzierało się słabe światło, rysując na pomazanych ścianach dziwne kształty. Wyjął berettę z kieszeni i zaczął ostrożnie zmierzać do schodów po przeciwnej stronie hali. Poręcz była złamana, a schody zbutwiałe. Postanowił ich nie próbować.

Nagle dostrzegł kątem oka cień za sobą, lecz zanim zdążył się odwrócić, Lemmer wskoczył przez okno i chwycił go za szyję ramieniem. Beretta wypadła Grahamowi z ręki, gdy obaj runęli na schody, które załamały się do reszty pod ich ciężarem. Graham wyrwał kawałek poręczy, lecz zanim zdążył uderzyć, Lemmer zadał mu dobrze wymierzony cios w przeponę. Graham padł na ścianę, na głowę posypał mu się tynk z sufitu. Lemmer czując, że przeciwnik słabnie, zadał dwa

następne ciosy. Pałka wypadła z dłoni Grahama, następny cios, tym razem w tył głowy, rzucił go na kolana. W dłoni Lemmera znalazł się długi, zardzewiały łańcuch; szybko owinał nim szyję Grahama, który chwycił łańcuch ręką, ale nie mógł już zapobiec duszącemu uściskowi. Zaczął tracić świadomość. Teraz Lemmer, trzymając oba końce łańcucha w jednej ręce, wyjął z kieszeni nóż sprężynowy i otworzył go. Opuścił nieco łańcuch odsłaniając szyję Grahama i gdy już zamachnął się, aby przeciągnąć ostrzem po gardle, nagle znajdujące się za nim drzwi wyfrunęły z zawiasów pod wpływem potężnego kopnięcia. Sabrina strzeliła dwa razy – Lemmer zakołysał się przez krótką chwilę i padł na ziemię, wbijając się na własny nóż. Zza Sabriny wysunął się Whitlock, przytknął lufę browninga do szyi Lemmera i zaczął badać mu puls. Lemmer nie żył. Sabrina schowała berettę i podbiegła do Grahama leżącego z łańcuchem na szyi. Zdjęła ostrożnie łańcuch. Mimo że ogniwa przecięły skórę w kilku miejscach, krwi było niewiele. Posadziła go przy ścianie i ścierała krew chusteczką, czekając aż odzyska przytomność.

Whitlock kucnął obok, opierając lekko rękę na jej ramieniu. – Co z nim?

– Dojdzie do siebie – odpowiedziała ponuro. – Ale przez kilka tygodni będzie się czuł trochę potłuczony.

Graham gwałtownie zakaszłał. Sięgnął do gardła, lecz Sabrina odsunęła jego rękę, żeby nie rozdrapał sobie rany. Oddychał nierówno. Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć oszołomienia, i spojrzał na Sabrinę, potem na Whitlock'a, wreszcie na Lemmera leżącego na podłodze twarzą do ziemi.

– Nie żyje. – Whitlock potrząsnął głową ze złości. – To miałeś być ty. Podziękuj swej szczęśliwej gwiazdzie, że Sabrina cię przejrzała. Przewidziała, że wytniesz jakiś numer. Dlatego nie spuszczałeś cię z oczu od momentu, gdy opuściłeś hotel. Mike, co cię napadło, żeby wymyślać takie szalone akcje? Jesteśmy twoimi partnerami, do ciężkiej cholery! Czy to naprawdę zbyt wiele oczekiwać, że będziesz pracował z nami, a nie przeciwko nam?

Sabrina położyła dłoń na ramieniu Whitlocka. – Zostaw go teraz, C.W. Potem będzie czas na oskarżenia.

Whitlock wstał i wyciągnął rękę do Grahama. – Chodź, zabieramy cię do hotelu.

– Sam... dam sobie radę – wychrypiał Graham.

– Wiecznie niezależny – burknął Whitlock i skierował uwagę na ciało Lemmera leżące pod zgruchotanymi schodami.

– Mój pistolet – jeszcze raz zachrypiał Graham wskazując w bliżej nieokreślonym kierunku. Whitlock rozejrzał się i znalazł berettę w pobliżu drzwi. Włożył ją do kieszeni i wyszedł w poszukiwaniu taksówki, z którą wkrótce wrócił. Graham, mimo niepewnego kroku, nie przyjął pomocy i sam wszedł do taksówki. Whitlock i Sabrina wymienili spojrzenia i również wsiedli do samochodu.

Whitlock wszedł do pokoju, zrzucił obuwie i włączył telewizor. Pop musie. Zmienił kanał – dyskusja w studio. Okienko u góry ekranu informowało w języku holenderskim i angielskim, że na trzecim kanale jest emitowany program BBC. Wcisnął odpowiedni klawisz – film *Carry On*. Zdegustowany zostawił jednak film i rozejrzał się dokładnie w poszukiwaniu urządzeń podsłuchowych, co było w UNACO standardową procedurą, gdy pokój zostawał bez ochrony nawet przez bardzo krótki czas. Podeszedł do łóżka, poprawił poduszkę, położył się i sięgnął po „Herald Tribune” leżącą na stoliku obok. Odnalazł krzyżówkę, wziął pióro do ręki i przeczytał pierwsze hasło. Gdy bez sukcesu dotarł do piątego hasła, rzucił gazetę m podłogę i przetarł oczy. To był długi dzień... Umysł miał ciągle zajęty czymś innym niż banalna krzyżówka.

Dwadzieścia pięć minut krążył po Amsterdamie, próbując znaleźć nocną aptekę i kupić jakiś środek przeciwbólowy tylko po to, by po powrocie dowiedzieć się, że Graham już śpi i lek przestał być pilnie potrzebny. Martwił go Graham ze swoją gotowością ryzykowania życia, chęcią podkreślenia swojej niezależności. Gdyby powiedział o tym Kolczyńskiemu, Graham miałby poważne kłopoty. Kolczyński musiałby zdać raport Philpotowi, który już w przeszłości bywał zmuszony do udzielania Grahamowi reprimend, na razie tylko ustnych, za jego anormalne zachowania podczas akcji. Kolejna nagana musiałaby już być złożona na piśmie, a to z kolei musiałoby dotrzeć do Sekretarza Generalnego ONZ. Co prawda, szef rzadko wtrącał się do UNACO, ufając całkowicie Philpotowi, niemniej miał pełne prawo zawiesić każdego agenta w czynnościach w celu ponownego sprawdzenia jego dalszej przydatności.

Zadzwoił telefon. Whitlock podniósł słuchawkę.

– Halo?

– C.W.? Tu Siergiej.

Spuścił nogi z łóżka i zrelacjonował wypadki całego dnia, włącznie z walką Grahama z Lemmerem.

– W jakim stanie jest Graham?

– Ma trochę pokierszowaną szyję, to wszystko.

– Ale jeśli był, jak powiedziałaś, prowadzony, to dlaczego zajęło wam tyle czasu przyjście mu z pomocą?

To było pytanie, którego Whitlock obawiał się najbardziej. Czy powiedzieć prawdę, zresztą dla dobra Grahama, jeśli uwzględnić jego skłonność do fatalnych błędów? Czy powinien kryć kolegę, którego przecież szanował i uważał za jednego z najlepszych w UNACO? Nagle przyszło mu do głowy, że jeśli powie prawdę, to Graham prawie na pewno zostanie i zawieszony i wszystko będzie zależało od fanaberii jakiegoś polityka oddalonego o pięć tysięcy mil. Whitlock nigdy by sobie tego nie darował.

– To była moja wina – powiedział Whitlock po chwili milczenia. – Sądziłem, że razem z Sabriną powinniśmy się trzymać z daleka, aby Lemmer nas nie zauważył. Źle oceniłem

odległość.

– To błąd nie w twoim stylu, C.W.

– Jestem tylko człowiekiem, Siergiej. Najważniejsze, że zdążyliśmy.

– Jesteś pewien, że nic poza tym cię nie gnębi? Pułkownik był tobą zaniepokojony przed waszą wyprawą.

Whitlock w myślach przeklinał Grahama. – Nie, ze mną wszystko w porządku. Wszyscy popełniamy błędy, ja, ty, a nawet pułkownik.

– No, chyba tak... – mamrotał Kolczyński.

– Jakie wiadomości z Libii?

– Sekretarz Generalny miał dziś rano prywatne spotkanie z ich ambasadorem.

– I co?

– Nic wesołego. Libijczycy odmawiają jakichkolwiek negocjacji.

– I nadal nie wiedzą, kim oni są i dla kogo pracują?

– Nie.

– Kiedy wysyłasz Grupę Drugą?

– Czekamy na sygnał od Sekretarza Generalnego. On chce najpierw wyczerpać wszystkie kanały dyplomatyczne.

– Cholerni politycy, siedzą tylko na dupie i...

– Przestań, C.W. – Kolczyński przerwał mu ostro. – My tu jesteśmy też mocno sfrustrowani tą sytuacją, ale jak na razie mamy związane ręce. Stary uważa, że robi, co należy.

– Tak samo uważał Chamberlain w 1938 – warknął Whitlock.

– Nie rozwikłamy tego teraz przez telefon. Nie możemy zrobić ruchu bez przyzwolenia Generalnego.

– Przylecisz jutro do Amsterdamu?

– Chyba będę tu przykuty do biurka. – Kolczyński westchnął ciężko. – Ale kto wie?

W końcu Sekretarz Generalny musi przecież coś postanowić.

– Zadzwoń jutro.

– Świetnie. Gdyby coś nawalało, doślę wam Jacquesa Rusta z Zurichu.

Telefon umilkł.

Whitlock odłożył słuchawkę, położył się z powrotem na łóżku z rękami pod głową i zapatrzył w sufit niewidzącym wzrokiem. Dobrze wiedział, co czuje teraz Martin Cohen i jego koledzy z Grupy Operacyjnej nr 2 – złość, tonowaną przez frustrację i niepewność. Dla Sekretarza Generalnego szukanie rozwiązań dyplomatycznych było rzeczą dość naturalną, ale to nie jego przyjaciele siedzieli w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi więzieniu. Obecna sytuacja nie była dla C.W. czymś nieznanym. Dwa lata wcześniej, gdy Jacques Rust był jeszcze członkiem jego grupy, ich trójka była trzymana w podobnym pogotowiu, podczas gdy Generalny

próbował wynegocjować uwolnienie funkcjonariusza UNACO z marokańskiego więzienia, gdzie ten był trzymany za zabicie chińskiego podwójnego agenta. Po siedemdziesięciu godzinach Generalny skapitulował i Grupa nr 3 została wysłana do Maroka z zadaniem odbicia kolegi. Misja zakończyła się pełnym sukcesem. Był to chrzest bojowy Sabriny. Uwolniony wówczas agent został wkrótce awansowany na wysokie stanowisko w Centrum Treningowym.

Myśli o Nowym Jorku sprowadziły pełne poczucia winy wspomnienie Carmen. Obiecał jej zadzwonić tego wieczora. Ale co będzie, jeśli jeszcze nie przeszła jej złość?! Jeśli znowu usłyszy cierpkie słowa, jak przed odjazdem? Jedynym sposobem uzyskania odpowiedzi na te pytania był telefon do niej. Już miał zamiar zadzwonić do domu, gdy przypomniał sobie, że tego dnia Carmen do późna pracuje w przychodni.

– Dobry wieczór, gabinet pani doktor Whitlock – w słuchawce odezwał się kobiecy głos.

– Lauro, tu C.W. Czy moja żona jest jeszcze?

Podobnie jak Carmen, Laura Dos Santos pochodziła z Puerto Rico. Od siedmiu lat była recepcjonistką Carmen.

– Tak, jest tutaj, panie Whitlock. Przełączę pana.

Podniesiono drugą słuchawkę. – Halo, tu doktor Carmen Whitlock.

– Hej, to ja. Możesz mówić?

– Jestem sama, jeśli o to ci chodzi – jej głos był chłodny i odległy.

– Jak się masz?

– Dziwię się, że jeszcze się przejmujesz wczorajszą awanturą.

Z trudem pohamował złość. Po jaką cholere do niej dzwonił? Było jasne, że kłótnia będzie podjęta w tym punkcie, w którym została przerwana.

– Carmen, nie mam ochoty ciągnąć tego dalej przez telefon.

– Oczywiście, zrób to lepiej osobiście. Nie dzwoń do mnie, C.W. Pogadamy, jak wrócisz do Nowego Jorku.

– Dlaczego nie teraz?

– Lepiej zajmij się sobą – powiedziała podniesionym głosem i rzuciła słuchawkę.

– Carmen, jesteś tam? – wrzasnął.

Odłożył słuchawkę na widełki. Wziął kąpiel. Zapowiadała się bezsenna noc.

Rozdział VI

Deszcz padał przez całą noc, ustąpił dopiero nad ranem. Trzy godziny później ciężkie chmury nadal groziły ulewą, więc wszyscy przechodnie mieli ze sobą płaszcze przeciwdeszczowe lub parasole.

Van Dehn nie był wyjątkiem, lecz siedząc w swoim fordzie fiesta trochę żałował, że nie zdjął gabardynowego płaszcza przeciwdeszczowego przed wyjściem z pracy. Zatrzymał samochód na czerwonym świetle przy skrzyżowaniu Hemersstraat i Stadshouderskade. Otarł dłonią pot z czoła.

Bał się. Lemmer powinien był zadzwonić około północy, potwierdzając, że zabił tajemniczego informatora Grahama. Telefonu nie było. Co się stało? Czy informator był martwy? Czy może Lemmer już nie żył, a może uciekł przez belgijską granicę, tak jak wczoraj groził? Może został aresztowany? Najbardziej niepokojące było pytanie, czy informator przeżył i jakich dowodów mógł dostarczyć Grahamowi. Jeśli tak, powinien oczekiwać aresztowania natychmiast po dotarciu do muzeum. Tego rodzaju pytania nie dały mu spać przez całą noc. W pewnym momencie nawet zaczął się pakować z zamiarem natychmiastowej ucieczki z kraju, ale w końcu logika wzięła górę i odstąpił od tej myśli. Gdyby Graham miał coś konkretnego przeciwko niemu, to przecież aresztowałby go natychmiast. Po co czekałby do rana, nie mając pewności, czy Van Dehn zjawi się w pracy? Ta myśl nieco go uspokoiła, nawet pozwoliła przespać się godzinę.

Skręciwszy do muzeum, Van Dehn ujrzał opancerzony samochód, którym przewożono *Nocną straż*, stojący tyłem do schodów, dokładnie tak samo jak w dniu, gdy obraz jechał na lotnisko. Jego początkowa niepewność natychmiast wyparowała. Po co odtwarzaliby procedurę załadunku, gdyby wiedzieli coś konkretnego? Van Dehn zaparkował, wysiadł z samochodu, zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz.

Graham, Whitlock, Sabrina i Broodendyk obserwowali z dogodnego punktu, jak czterej ludzie, ci sami co wówczas, już po raz trzeci ładowali skrzynię na samochód.

Jeden z nich spojrzął na dyrektora. – Chcecie, żebyśmy zrobili jeszcze raz to samo?

– Dokładnie to samo – potwierdził Graham.

Jedna strona skrzyni została podniesiona do poziomu podłogi samochodu, następnie cała skrzynia wjechała do środka. Teraz dwaj mężczyźni trzymali ją w pionie, podczas gdy dwaj pozostali przymocowywali za pomocą sznurów i zaczepów. Gdy skończyli, szef brygady spróbował potrząsnąć skrzynią i stwierdziwszy, że jest dobrze przymocowana, uniósł kciuk do góry w geście zadowolenia.

Graham spojrzął na Broodendyka. – Sam pan powiedział, że w tym miejscu stała kamera wideo. Myślę, że to, co pan widział, mówi samo za siebie.

Broodendyk pokręcił głową z niedowierzaniem i spojrzał na Van Dehna. – Mils, dlaczego? Pieniądze?

Van Dehn drgnął nerwowo. – Profesorze Broodendyk, chyba nie sądzi pan... – przerwał w pół zdania, gdy Graham nagle obrócił się w jego kierunku. Pręgi na jego szyi były wyraźnie widoczne.

– My nie sądzimy, my wiemy. – Graham zauważył, że Van Dehn uporczywie wpatruje się w jego szyję. – Ładne, prawda?

– Jak...

– Jak? – powtórzył Graham z sarkazmem. – Lemmer!

Van Dehn spojrzał na Broodendyka w nadziei zachowania choć jednego sojusznika. – Kto to jest Lemmer? O co tu chodzi?

– Powiem, o co chodzi – wycedził Graham, gdy Broodendyk nie zdradzał ochoty na wyjaśnienia. – Wczoraj sprawdzałem samochód i stwierdziłem, że w środku mogę się poruszać całkiem swobodnie. Ale oglądając film wideo zauważyłem, że tamten człowiek musiał się z trudem przeciskać, aby zabezpieczyć skrzynię od przodu. Nie wiedziałem, czy to ma jakieś znaczenie, dlatego wziąłem dziś tych samych ludzi, aby odtworzyli załadunek. Dziś rano jeszcze raz obejrzelśmy film w czwórkę, a potem trzykrotnie odtworzyliśmy załadunek, za każdym razem z tym samym rezultatem. Człowiek, który mocował skrzynię w środku, miał tyle samo przestrzeni co ja. Dlaczego więc na wideo było inaczej? Ponieważ dodatkowa przegroda była umieszczona nieco w skos osi samochodu, tworząc fałszywą perspektywę, której kamera nie mogła wykryć. Pan był zamknięty w środku, razem z dwoma strażnikami, przez czas jazdy stąd na lotnisko. Ze względu na policyjną eskortę, zamiany skrzyń można było dokonać tylko w środku pojazdu. Zgadza się?

Van Dehn rzucił się do swego samochodu, ale gdy drzwi wozu się nie otworzyły, pobiegł w stronę Singelgracht. Za późno – Graham już go dogonił i wymierzył mocny cios w żołądek. Van Dehn padł na ziemię, trzymając się za brzuch.

– Mike, dosyć! – Whitlock odciągnął Grahama. Graham strząsnął rękę Whitlocka ze swego ramienia. – Nie lubię facetów posyłających za mną morderców.

Sabrina zauważyła, że czterej tragarze zbliżają się z minami nie wróżącymi nic dobrego. – Niech pan ich stąd zabierze – powiedziała do Broodendyka.

Broodendyk się ociągał.

– Chce pan, żeby się dowiedzieli o kradzieży?

Broodendyk podszedł do robotników, którzy po chwili wrócili do samochodu, by odprowadzić go do garażu.

Whitlock pomógł Van Dehnowi przejść do foyer muzeum, gdzie Broodendyk nagle oznajmił, że przesłuchanie może odbywać się w jego gabinecie.

– A pan dokąd pójdzie? – zapytał Graham.

Broodendyk był zaskoczony.

– Pan nie ma uprawnień do uczestniczenia w przesłuchaniu – wyjaśnił Graham.

– Ale jestem odpowiedzialny za obraz. Mam prawo wiedzieć, co się z nim stało. – Broodendyk spojrzał na Sabrinę i Whitlocka oczekując poparcia, ale oboje pokręcili głowami. – Kto mógłby mi dać to uprawnienie?

Sabrina wzruszyła ramionami. – Może wasz premier.

– Pojmuję. – Broodendyk podniósł ręce do góry w geście poddania. – Jak długo będzie wam potrzebny mój gabinet?

Sabrina powiedziała coś cicho Grahamowi i zwróciła się do Broodendyka. – Doceniamy pańską propozycję, ale wolimy skorzystać z tego pokoju, z którego korzystaliśmy do tej pory.

– Czy potem powiecie mi coś o rezultacie przesłuchania?

Sabrina spojrzała na Grahama i Whitlocka prowadzących Van Dehna wzdłuż korytarza. – Nie mamy prawa informować pana o czymkolwiek. Raport ze śledztwa zostanie przesłany waszemu premierowi i tylko do niego będzie należeć decyzja, komu go udostępnić.

Van Dehn podniósł głowę, gdy Sabrina weszła do pokoju. Siedział na drewnianym krześle, ręce trzymając na stole przed sobą. Whitlock opierał się o parapet jedyne w tym pokoju okna, Graham zaś, obracając w rękach wieczne pióro, patrzył w przestrzeń gdzieś nad głową Van Dehna, marząc w duchu o tym, aby ten znowu spróbował ucieczki. Ciągle jeszcze było w nim sporo złości, którą podświadomie chciał wyładować.

– Jesteście gotowi, chłopaki? – spytała Sabrina.

Graham skinął głową i rzucił pióro na stół przed Van Dehmem. – Twoje, jak mi się zdaje?

Van Dehn wziął pióro do ręki, obejrzał je z uwagą i potrząsnął głową. – Nigdy go przedtem nie widziałem.

Graham chwycił Van Dehna za kołnierz, siłą postawił na nogi i rzucił o ścianę. – Dość tego. Będziesz z nami współpracował, ja ci to obiecuję!

Van Dehn patrzył na niego wyzywająco. – Nic nie masz na mnie i wiesz o tym dobrze. Twoja teoria nie utrzyma się w żadnym sądzie.

– Ale zeznanie Lemmera wystarczyłoby – rzekł Whitlock stając za Grahamem.

– On nawet nie zna mojego nazwiska – wyrzucił z siebie Van Dehn i zachnął się, zrozumiawszy, co właściwie powiedział.

Whitlock się uśmiechnął. Podeszedł do drugiego krzesła, ustawił je tyłem i usiadł opierając ręce na poręczy.

Van Dehn usiadł ponownie i zapatrzył się w telefon. – Chcę, żeby tu przyszedł mój adwokat, zanim powiem cokolwiek.

– Możesz zażądać adwokata, gdy będziesz miał do czynienia z policją – odpowiedział mu

Whitlock.

– Mam prawo mieć tu adwokata, i to zaraz! – upierał się Van Dehn.

Whitlock przytaknął. – Masz rację, ale zanim go zawołasz, miej na uwadze, że my przekazemy policji relację z tego, co tu będzie powiedziane. Jest naszą sprawą, co im powiemy, a co zostawimy dla siebie. Oni nie wiedzą, kto zabił Toysgena, my wiemy. Oni nie mają narzędzia zbrodni, my mamy. Oni nie wiedzą o powiązaniach między tobą i Lemmerem, my wiemy. Nieujawnienie twojej odpowiedzialności za morderstwo oznacza różnicę między dziesiątakiem a dożywociem.

– A co z zeznaniem Lemmera? Policja wie o powiązaniu, kiedy porówna zeznania.

– Nie ma żadnego zeznania Lemmera. On nie żyje. – Whitlock wytrzymał długie spojrzenie Van Dehna. – Jak widzisz, opłaci ci się współpracować z nami.

– A co was powstrzyma przed złamaniem słowa, kiedy wszystko opowiem?

– Nic – odpowiedział Whitlock z rozbijającą szczerością. – Ale to twoja jedyna szansa.

– Będę współpracował – powiedział w końcu Van Dehn zdecydowanym głosem.

Sabrina wyjęła miniaturowy magnetofon z torebki i położyła go na stole pomiędzy Whitlockiem i Van Dehmem.

– Kto cię wynajął do kradzieży obrazu?

– André Drago.

Whitlock spojrzał na Grahama i Sabrinę, ale oni też nigdy nie słyszeli tego nazwiska. – Co o nim wiesz?

– Tylko tyle, że jest osobistym sekretarzem multimilionera Martina Schradera.

– Schrader? – Whitlock się zamyślił. – Coś mi to mówi...

Sabrina przymknęła oczy i machinalnie zacisnęła sobie nozdrza palcami, również nie mogąc sobie przypomnieć, skąd zna nazwisko: Schrader.

– Macie krótką pamięć – powiedział Graham. – Pamiętacie ten wielki skandal w środowisku europejskiego businessu, parę miesięcy po wybuchu wojny w Afganistanie w 79 roku? Celnicy odkryli, że Hecht, niemiecka firma zbrojeniowa, sprzedawała broń chemiczną Rosjanom, którzy używali jej przeciwko Mudżahedinom. Rada nadzorcza firmy musiała złożyć rezygnację, a właściciel, Martin Schrader, był zmuszony sprzedać firmę o wiele poniżej jej rynkowej wartości. Ostatnio słyszałem, że wyjechał z kraju. – Graham spojrzał na Van Dehna. Gdzie on teraz mieszka?

– W Rio de Janeiro.

– Spotkałeś się z nim kiedykolwiek?

– Nie, wszystko załatwiał Drago.

– Dlaczego wybrał ciebie, a nie na przykład Broodendyka albo kuratora Geysera?

– Broodendyka w ogóle nie brano pod uwagę. Jest zbyt uczciwy. Geysler w każdy weekend

nieźle popija z paroma kolegami i mógłby coś wygadać. Ja prawie nigdy nie piję i nie mam wielu znajomych.

– A kto wybrał Toysgena?

– Schrader, chociaż nigdy go osobiście nie widział. Jak już powiedziałem, Drago wszystko załatwiał. Toysgena przeszmyglowano z Rosji tylko dla tego jednego celu – aby namalował replikę *Nocnej Straży*. On był najlepszy w Moskwie, a Rembrandt zawsze był jego ulubionym malarzem.

– Czy Drago wynajął również Hamiltona i Lemmera?

– Nie, ja ich wynająłem. Drago powierzył kontrolę nad całą operacją na terenie Amsterdamu. Pierwszym moim zadaniem było znalezienie malowidła odpowiedniego do naszych potrzeb. Poszedł z tym do Hamiltona i on wpadł na pomysł z obrazem Seegersa, zresztą znakomity.

– Czy Hamilton wiedział, do czego był ci potrzebny obraz Seegersa? – spytała Sabrina.

– Nie, wiedział tylko, że potrzebny mi obraz o określonych rozmiarach. Toysgen zaakceptował pomysł z obrazem Seegersa i kazał mi go zdobyć, ale ja nie znałem żadnych złodziei – to Hamilton podsunął mi Lemmera, który często pracował dla niego. Nigdy Lemmera nie widziałem osobiście... – Van Dehn przerwał na chwilę i spojrzał na Whitlocka. – Rozmawialiśmy tylko przez telefon, używając pseudonimów. To był pomysł Drago, on chciał, żeby jak najmu ludzi wiedziało, o co tu naprawdę chodzi.

– Czyim pomysłem było zamordowanie Toysgena? – zapytał Graham.

Van Dehn nerwowo przeczesał włosy ręką. – Wpadłem w panikę, gdy stwierdziłem, że jesteście na jego tropie. Musiałem go uciszyć, bo na pewno by gadał, gdybyście go dopadli. Naprawdę nie chciałem go zabijać, uwierzcie mi.

– Więc kazałeś Lemmerowi go zabić? – raczej stwierdził, niż spytał Whitlock.

Van Dehn skinął głową, lecz Whitlock wskazał palcem na magnetofon. – Tak – wymamrotał.

– A jak zwerbowałeś Kepplera? – spytała Sabrina.

Van Dehn wpatrywał się przez chwilę w obracające się szpule magnetofonu, nagle spojrzał ostro na Whitlocka. – Wytniecie wszystko, co łączy mnie z morderstwem? Obiecaliście!

– Odpowiedz na pytanie – warknął Graham groźnie, pochylając się w stronę Van Dehna.

– Drago go zwerbował.

Whitlock pokiwał głową przypominając sobie rozmowę z Van Dehmem z wczorajszego dnia.

– A on zapewnił sobie kontrakt oferując transport za darmo.

– Więc dokonałeś zamiany razem z dwoma strażnikami podczas jazdy z muzeum na dworzec lotniczy. Po wylądowaniu falsyfikat na lotnisku Keppler nie miał już eskorty policji, kiedy prowadził samochód z powrotem do muzeum. Było wiele możliwości, aby po drodze zabrać oryginał z samochodu. Mam rację?

– Tak – odpowiedział Van Dehn nie patrząc na Grahama.

– Ile ci zapłacono? – spytała Sabrina.

– Obiecano mi dziesięć milionów dolarów, jeśli operacja się uda.

– A ile dostałeś na początek?

– Drago wpłacił milion na moje konto w banku szwajcarskim. Resztę miałem dostać, gdy falsyfikat wróci do muzeum.

– Ile otrzymali pozostali?

– Toysgen dostał pół miliona, ale to był raczej gest niż zapłata. On nie dbał o pieniądze. Lemmera i Hamiltona opłaciłem z konta operacyjnego, które Drago otworzył dla mnie tu, w Amsterdamie. Nic nie wiem o Kepplerze i jego ludziach, chyba Drago zapłacił im osobiście.

Graham przysiadł na brzegu stołu. – Półtora miliona dolarów za jeden z bezcennych obrazów na świecie. Powiedziałbym, że Schrader trafił niezwykłą okazję.

– Dziesięć i pół miliona plus wydatki – poprawił Van Dehn.

Graham popatrzył na Van Dehna z pogardą. – Jesteś naiwny. Drago podsunął ci ten milion tylko dla wzbudzenia apetytu. Nie miał zamiaru płacić ci reszty. Zbyt wiele wiesz.

Van Dehn spojrzał na Whitlocka, który skinął głową twierdząco. – Zgadzam się z tym. Gdyby grał uczciwie, wpłaciliby co najmniej połowę sumy.

Van Dehn obserwował swe trzęsące się ręce. – Jak mogłem być tak ślepy? Cały czas robił ze mnie pajaca, prawda?

– Czy Drago wie, że fałszerstwo zostało odkryte? – Sabrina przerwała milczenie.

Van Dehn pokręcił głową. – Nie. Powiedział, że jeśli zamiana wyjdzie na jaw, to będzie to wiadomość dnia we wszystkich telewizjach i gazetach. Nie przewidział tajnego śledztwa.

Graham się uśmiechnął. – Uwielbiam zbyt pewnych siebie przeciwników. Zawsze robią błędy.

Jego słowa przypomniały Sabrinie pułkownika Smylie z Centrum Szkoleniowego, który określił ją i jako impulsywną i nadmiernie pewną siebie. Była ciekawa, czy Graham pośrednio nie miał jej na myśli. Ale przecież nie była jego przeciwnikiem. Tylko czy on był tego pewny?

– I nigdy nie przyszło ci na myśl zadzwonić do Drago? – zapytał Whitlock.

– I zaryzykować utratę dziesięciu milionów dolarów?

– Czy wiedziałeś o błędzie w falsyfikacie?

– Tak, wiedziałem. Był to rodzaj „podpisu”. Wielu fałszerzy stosuje ten chwyt. Robią to w celu wniesienia indywidualnego akcentu do obrazu. Drago też o tym wiedział, ale żadnemu z nas nie udało się nakłonić Toysgena do zrobienia poprawki.

– Czy twoja żona wiedziała o zamianie obrazów? – zapytał Whitlock.

Van Dehn gapił się na magnetofon. – Nie, miałem zamiar ją porzucić i rozpocząć nowe życie z tą forszą. Nasze małżeństwo już dawno było skończone. Ona nie przejęłaby się tym zbytnio.

– Opisz Drago – zażądał burkliwie Whitlock, któremu odpowiedź Van Dehna przywiodła na

myśl jego własne problemy z Carmen. Postanowił jedna skoncentrować się na pracy.

– Niewiele po trzydziestce. Chętnie ubiera się na białe, co pasuje do jego włosów, mocno rozjaśnionych i krótko ostrzyżonych. Ma podłużną twarz i okulary w metalowej oprawie. Często się uśmiecha, ale jego oczy pozostają bez wyrazu, całkiem jakby prześwieślał nimi rozmówcę. To... odbiera odwagę. – Van Dehn wskazał na telefon. – Powiedziałem wszystko, co wiem. Czy zadzwonicie teraz na policję?

– Na tym etapie nie będą wciągnięci do sprawy. – wyjaśnił Whitlock. – Pozostaniesz w domowym areszcie, dopóki nie odzyskamy obrazu. Dopiero wtedy władze zajmą się tobą.

– To niezgodne z prawem! – wykrzyknął Van Dehn.

– Teoretycznie tak – przyznał Whitlock.

– Mój adwokat zrobi z tego aferę, przetrzymywanie mnie wbrew mojej woli w moim własnym domu jest przestępstwem.

– Nie ułatwiasz sobie życia – zasmucił się Whitlock. – Myślałem, że zawarliśmy umowę.

– Tak, ale wy ją naginacie do swoich celów.

Graham przechylił się nad stołem i pokiwał palcem tuż przed nosem Van Dehna. – Tylko zacznij jakieś gry z nami, a przekonasz się, że wyrok dostałeś jeszcze przed znalezieniem się w więzieniu.

Van Dehn przetarł czoło dłonią. – Zrobię, jak chcecie.

Graham i Whitlock wyprowadzili Van Dehna z pokoju. Sabrina zatelefonowała do Pietera de Jongha, który obiecał zapewnić natychmiastowy całodobowy nadzór w domu Van Dehna. Odłożywszy słuchawkę, wybiegła za nimi.

* * *

Cessna 340, na której pokładzie Jacques Rust wylądował na lotnisku Schiphol w Amsterdamie, formalnie należała do jednego z kilku przedsiębiorstw będących przykrywką UNACO w Zurychu. Czarny mercedes czekał już na pasie startowym, by zabrać Rusta do hotelu Park.

Rust był Francuzem, miał 42 lata. Po czternastu latach błyskotliwej kariery w French Service de Documentation Exterieur et de Conter-Espionage przeniósł się do UNACO, gdzie początkowo pracował razem z Whitlockiem. Potem budżet Philpota został zwiększony do tego stopnia, że można było zwiększyć siły operacyjne z dwudziestu osób do trzydziestu. Philpot i Kolczyński przeorganizowali je wówczas; wtedy właśnie pojawiła się koncepcja trójosobowych grup operacyjnych. Do Whitlocka i Rusta dołączono Sabrinę, którą w ciągu pół roku koledzy wyszkolili do tego stopnia, że Grupa Operacyjna nr 3 została powszechnie uznana za najbardziej profesjonalną ze wszystkich dziesięciu. Rust uważał, że nadal jest to prawdą. Graham, pomimo

swojej dziwacznej niezależności, był godnym następcą.

W rok po powstaniu, Grupa Operacyjna nr 3 została wysłana do Marsylii w celu rozpracowania międzynarodowego gangu handlarzy narkotykami, działającymi między Francją i Algierią. W dokach portu w Marsylii Rust z Sabriną dostali się pod silny ogień bandytów. Postrzelony w kręgosłup Rust był od tamtej pory sparaliżowany od pasa w dół. Po opuszczeniu szpitala zaczął pracować w Centrum Dowodzenia jako starszy doradca, lecz gdy wkrótce potem szef wydziału europejskiego zginął w wypadku drogowym, został jego następcą, ku zdziwieniu pracowników, którzy spodziewali się awansu Kolczyńskiego. Philpot wiedział jednak dobrze, że jedną z głównych przyczyn, dla których Kolczyński chętnie przeszedł do UNACO, była niechęć do pracy biurowej, jaką wykonywał na Łubiance; zdecydowanie wołał być agentem operacyjnym. Tymczasem dla Rusta działalność operacyjna skończyła się nieodwołalnie, nie pozostało mu więc nic innego poza sprawdzeniem się w dowodzeniu, na co zresztą od dawna miał ochotę. Przy swojej inteligencji, świetnym rozpoznaniu spraw europejskich i rozległych kontaktach na całym kontynencie znakomicie się nadawał na to stanowisko. Dziś, po roku kierowania oddziałem, przekonał wszystkich mu niechętnych swoim profesjonalizmem, zaangażowaniem i ujmującym sposobem bycia.

Mercedes podjechał pod hotel Park. Kierowca wysiadł, otworzył bagażnik i wyjął składany fotel na kółkach, wykonany specjalnie dla Rusta. Złożył go szybko i pchnął w kierunku tylnych drzwi samochodu. Odźwierny hotelu rzucił się biegiem do samochodu i otworzył drzwi.

– Czy mogę panu pomóc, sir?

Rust cofnął się, zasłaniając rękami. – Nie jestem niedołągą!

– Przepraszam, sir.

Rust uśmiechnął się smutno. – *Non*, nie musisz przeproszać. Chciałeś dobrze, ale sam daję sobie radę. Dziękuję.

Rust podparł się rękami o siedzenie i przesunął w kierunku otwartych drzwi. Sięgnął do poręczy fotela, ale ledwie ją trącił, fotel, mimo że miał zaciągnięty hamulec, odjechał kawałek. Rust zaklął pod nosem. Odźwierny zrobił krok w kierunku fotela, lecz kierowca odsunął go, każąc nie przeszkadzać. Rust wysunął się jeszcze bardziej z samochodu i złapał, tym razem pewnie, poręcz fotela i przerzucił swoje ciało na siedzenie. Po chwili wsunął się w głąb fotela i wyszczerzył zęby z zadowolenia. Jego twarz była czerwona z wysiłku. Po chwili za pomocą zdalnego sterowania umieszczonego w poręczy uruchomił zamontowany pod siedzeniem silnik, zwolnił hamulce i obrócił fotel w kierunku hotelu.

– To jest łatwiejsze, niż z boku wygląda – powiedział do odźwiernego.

Odźwierny nie bardzo mu wierzył. Uchylił z szacunkiem czapkę i rzucił się do taksówki, która właśnie zatrzymała się tuż za mercedesem.

– Nie powinienem być tu długo – powiedział Rust do kierowcy, biorąc od niego aktówkę.

– Tak jest, sir – odpowiedział kierowca i usiadł za kierownicą.

Rust podjechał do automatycznych drzwi hotelu, które rozstały się przed nim, wjechał do foyer i wybrał najładniejszą spośród recepcjonistek, którą spytał o numer pokoju Sabriny. Podała mu numer i zaalarmowała portiera, aby pomógł Rustowi w windzie.

– *Non, non* – zaprotestował Rust i sięgnął do bocznej kieszeni fotela, skąd wyciągnął plastikową pałeczkę, za pomocą której wcisnął guzik.

Od windy do pokoju Sabriny było niedaleko. Rust zapukał do drzwi jeden raz. Sabrina otworzyła.

– *Bonjour, chérie, comment vas-tu?*

Pocałowała go w oba policzki i usunęła się na bok, dając mu przejście. – *Tres bien, et toi?*

– *Ah, bien, bien.* Zawsze, gdy cię widzę.

– Pochlebca – odparła z udawaną przyganą. – Jaki miałeś lot?

– Bez przygód, na szczęście – podjechał do małej lodówki stojącej za telewizorem i wyjął puszkę pepsi. – A jak tam nasz nieustraszony duet?

Zaśmiała się. – Zawołam ich.

Pierwszy wszedł Graham. Podali sobie ręce. Rust odchylił kołnierz Grahama i obejrzał blizny na jego szyi. – To wygląda okropnie, Mike.

Graham wzruszył ramionami. – Takie jest ryzyko w tym interesie.

– Nie przypominaj mi – mruknął Rust. Rozległo się pukanie do drzwi. – To pewnie C.W. Zawsze gentleman.

– Wejdz, C.W. – zawołała Sabrina. Whitlock wszedł do pokoju, uśmiechając się od ucha do ucha. – Jacques, jak się masz?

– Jak zwykle, C.W., jak zwykle.

Po uściśnięciu rąk, Whitlock przysiadł na brzegu podwójnego łóżka. – Widzę, że Siergiej wpuścił cię w ten interes?

– Rzeczywiście. Powinniście zobaczyć teleks, który mi przysłał dziś rano. – Rust otworzył aktówkę, wyjął tekturowy segregator i odstawił teczkę na podłogę, koło swego fotela. – Podczas zbierania materiałów dla was odkryliśmy ciekawe powiązania. Horst i Keppler był szefem bezpieczeństwa w firmie Hecht. A jego firma ochroniarska w Amsterdamie jest własnością Schradera.

– Nie można oskarżać Schradera o złe planowanie – zauważyła Sabrina.

– A co z tymi dwoma strażnikami biorącymi udział w kradzieży obrazu? – spytał Graham. – Jest coś o nich?

– Owszem. – Rust pogrzebał w segregatorze. – Ernest de Vere, trzydzieści dwa lata. Udział w napadzie na bank. Przesiedział siedem lat z dwunastoletniego wyroku. Keppler go zatrudnił dwa lata temu.

– Kryminalista w biurze ochrony? – grymas pojawił się na twarzy Whitlocka. – Mózg staje.

– Jest lepiej, niż myślałem – Rust znowu pogrzebał w papierach. – Drugi gagatek to Rudi Oosterhuis, trzydzieści pięć lat. Udział w napadzie na pancerny samochód przewożący forszę. Z osiemnastoletniego wyroku odsiedział dziewięć lat. Zatrudniony przez Keplera jedenaste miesiące temu, w cztery dni po wyjściu z pudła.

– Musieli już w więzieniu wiedzieć, że Kepler ma dla nich robotę po wyjściu.

– Dokładnie na to wygląda, *cherie*, zgodził się Rust. – Według raportów z więzień obaj zaczęli odsiadki jako ostre kozaki, a potem, zupełnie nagle, stali się wzorowymi więźniami. Oosterhuis posunął się nawet do tego, że zdecydował się na kapowanie. Sprawa ich wcześniejszego zwolnienia była czystą formalnością. Gubernator stwierdził, że system penitencjarny odniósł wielki sukces w obu wypadkach,

– Naiwnych nie sieją – burknął Graham pogardliwie.

– Zajęliśmy się Lemmerem i Toysgenem. Ich ciała wrócą na miejsce przed rozprawą. Zniknięcie Lemmera na pewno nikogo nie dziwi, policja uważa, że on nadal się ukrywa. Myślę, że Toysgena też nikt nie będzie poszukiwał, bo był to prawdziwy dziwak i samotnik. Nasz człowiek będzie miał oko na jego mieszkanie przez kilka dni, na wypadek, gdyby pojawiło się pod jego drzwiami jakieś mleko czy gazety.

– Znam kogoś, kto zauważył brak Toysgena – stwierdził Graham i opowiedział o barmanie z baru Bohemer.

Rust zrobił notatkę z relacji Grahama. – Zajmiemy się tym, Mike, ale nie sądzę, aby z tej strony groziły jakieś kłopoty. Nawet jeśli ów barman zgłosi zaginięcie Toysgena, nie ma sposobu, aby Schrader dowiedział się o tym.

Zadzwoił telefon. Sabrina podniosła słuchawkę.

– Sabrina?

– Tak.

– Tu Pieter de Jongh. Czy Jacques jest u ciebie?

– Zaczekaj – zakryła słuchawkę ręką i powiedziała Rustowi, kto dzwoni.

Rust zmarszczył brwi i podjechał do telefonu. Po chwili jego twarz spochmurniała; odłożył słuchawkę, podziękowawszy de Jonghowi za telefon.

– Van Dehn nie żyje.

– Nie żyje? – powtórzyła Sabrina. – W jaki sposób?

– Samobójstwo. Powiesił się na prysznicu. Oczywiście przeprowadzimy wewnętrzne śledztwo, w jaki sposób przesznuł krawat do łazienki, ale w pewnym momencie powiedział do strażnika coś, co może tłumaczyć jego motywację. Powiedział, że jest przerażony pójściem do więzienia w sytuacji, gdy jest „naznaczony”. Co on mógł mieć na myśli?

– Stawiał się, gdy mu powiedziałem, że będzie przebywał w areszcie domowym.

Powiedziałem mu więc, że jeśli nie będzie z nami współpracował, to do więzienia trafi ze specjalnymi „referencjami”. – Graham wstał i podszedł do okna. – Chciałem go tylko przestraszyć.

– No i się przestraszył – wpadł mu w słowo Rust.

– Muszę to powiedzieć, Jacques – zwrócił Whitlock do swego eks-partnera. – Punkt 4b nasz regulaminu mówi: „Agent operacyjny ma prawo umieścić podejrzanego w areszcie domowym, jeżeli podejrzany może w jakikolwiek sposób zagrozić powodzeniu misji”. Nie mamy w pełni legalnych środków realizacji tego punktu, musimy więc stosować metody będące pod ręką. Nie czepiaj się nas o to. Alternatywą jest wmieszanie się jakiegoś bezwzględnego prawnika, który zacznie skrzeczeć o sprawiedliwości i doprowadzi do ujawnienia naszej agencji.

– Nie czepiam się ciebie, C.W. Znam dobrze problemy związane z punktem 4b. Kiedyś też byłem operacyjny, pamiętasz? Niepokoi mnie tylko reakcja pułkownika na raport, który będę musiał mu przedstawić. Wiesz, że on jest już dość uczulony na metody stosowane przez Mike’a.

– A czy on musi wiedzieć? – spytała Sabrina, patrząc na Rusta. – Van Dehn miał skłonności samobójcze, on nie myślał normalnie. Kto wie, co rozumiał przez to „naznaczenie”?

– Nie potrzebuję chować się pod jakąś przykrywką – warknął Graham ze złością. – Powiedz mu całą prawdę, nie mam nic do ukrycia.

– Przestań być taki uparty, Mike. – Rust rozważał pomysł Sabriny. – Rozumiem twój punkt widzenia, *cherie*. Pomyślę o tym pisząc raport.

– Co znalazłeś na Schradera i Drago? – spytał Whitlock przerywając ciszę.

Rust pociągnął długi łyk pepsi. – Widzę, że to właśnie Mike doprowadził do wpadnięcia na trop Schradera. No dobrze, mam tu przygotowany dla was bardziej wyczerpujący opis, który przeczytacie sobie w samolocie. Co do Drago, to przepuściliśmy jego nazwisko przez wszystkie nasze komputery i nie uzyskaliśmy absolutnie niczego. Całkiem jakby nie istniał. Zwróciliśmy się więc do Langley w nadziei, że coś mają. I rzeczywiście, okazuje się, że Drago był specjalistą od kodowania w czeskim wywiadzie, zanim pięć lat temu prysnął na Zachód. Po sprawdzeniu przez CIA pojechał do Rio i już cztery lata pracuje u Schradera. Wasz kontakt w Rio powie wam znacznie więcej – ona jest osobistą przyjaciółką Schradera.

– Ona? – spytał Graham podejrzliwie.

– Nazywa się Siobhan St Jacques.

– Brzmi egzotycznie – zauważył Whitlock.

– Jest egzotyczna pod każdym względem. Ale jest pewien kruczek. Wypożyczyliśmy ją z CIA.

– Wspaniale! – wykrzyknął Graham z ironią. – Czy nie mamy nikogo, kto byłby naszą wtyczką w Rio?

– Mieliśmy, ale zginął w wypadku łodzi motorowej w zeszłym roku.

– Ramirez. Tak, pamiętam. Ale dlaczego pułkownik nie zastąpił go kimś?

– Nie było nikogo odpowiedniego, Mike. Potrzebny był ktoś, kto obraca się w tych samych sferach, ale nikt nie pasował. Wtedy zainteresował się Siobhan. Oczywiście, ludzie w CIA nie byli zachwyceni i odmówili. I nic dziwnego, bo to chyba ich najlepsza agentka w Ameryce Południowej. Wtedy pułkownik poszedł do Sekretarza Generalnego, który zwrócił się do prezydenta USA, a ten z kolei zaprosił dyrektora CIA do Białego Domu. Mówiąc krótko, Siobhan pozostaje agentką CIA, lecz jest do naszej dyspozycji, gdy jej potrzebujemy. Ta sprawa popsowała nasze stosunki z Langley, ale to w końcu nic nowego. W każdym razie pułkownik się nie przejął, dostał, co chciał.

– Widziałeś ją kiedyś?

– A kiedyż ja miałem okazję być w Rio, Mike? Nie, nie znam jej. Ale jest na pewno dobra. Profesjonalistka.

– Jeśli tak, to powinna być warta podróży pułkom wnika, by ją zwerbował.

– Już z nią o tym rozmawiano, co nie znaczy, że wy macie podejmować z nią ten temat. Ona ma tylko wprowadzić was do Schradera, nic więcej.

– Chcesz powiedzieć, że ona jest przede wszystkim człowiekiem CIA i w kontaktach z nią mamy zachować maksymalną ostrożność?

Dobór słów Grahama rozśmieszył Rusta. – Ostrożność, Mike, ale nie niechęć. Ona jest po naszej stronie.

– Kiedy wyjeżdżamy? – spytał Whitlock.

– Dziś wieczorem o szóstej. – Rust otworzył teczkę i wyciągnął z niej trzy zapieczętowane koperty. – Lot KLM numer 730 do Dakaru i Rio. Będziecie jutro rano. Pamiętajcie, że czas w Brazylii jest o cztery godziny spóźniony względem europejskiego. Zatrzymacie się w „Meridien”, miejsca są zarezerwowane. Nie wiem, jak pułkownik to załatwił, bo tam jest właśnie karnawał.

– Dlaczego taki drogi hotel? – zapytał Graham.

– Ponieważ będziesz grał bogatego nowojorskiego businessmana. – Rust przerwał na chwilę dla nabrania oddechu przed tym, co miał właśnie powiedzieć. – Sabrina będzie twoją żoną. Jesteście w podróży poślubnej. Przepraszam, Mike, ale to najlepszy sposób. Wiem, że po tym, co się stało z Carrie...

– Za co, do cholery, przepraszasz, Jacques? – Graham nerwowo zareagował na imię żony. Spojrzał na Sabrinę. – Przecież to tylko praca. I nic więcej.

Sabrina skinęła głową.

– Siobhan będzie udawać twoją dawno nie widzianą przyjaciółkę – zwrócił się do Sabriny. – To powinno wystarczyć do zaproszenia was do klubu Riviera, należącego do Schradera. Wejście tylko na zaproszenia. Ona również wspomniała Siergiejowi coś o dorocznym przyjęciu

karnawałowym Schradera, ale sama opowie wam o szczegółach, gdy przyjdziecie do Rio.

– A jaka jest moja rola? – zapytał Whitlock.

– Zabezpieczasz tyły, *mon ami* – Rust zawahał się ujrawszy złość w oczach Whitlocka.

– Zawsze to samo, nie? Dobry stary wujek C.W. jak zwykle zabezpieczy tyły. Jemu jest wszystko jedno. Otóż nie jest mi wszystko jedno, czy bierze się mnie serio, czy nie. – Whitlock wstał i wyszedł z pokoju.

– Rust popatrzył za nim. – Co z nim? Przecież zawsze zabezpieczał tyły. Jest w tym najlepszy.

– Może w tym właśnie problem – powiedział Graham. – Pozostały mu cztery lata, a potem już tylko papierkowa robota w Centrum Dowodzenia. Czy nie przyszło ci na myśl, że chciałby coś samemu sobie udowodnić, zanim będzie za późno?

– Ale C.W. nigdy nie był taki ambitny.

– W twoim rozumieniu – nie, ale każdy jest ambitny na swój sposób.

– Myśląc o słowach Grahama, Rust pogrzebał w teczce, wyjął z niej małe pudełko i wręczył je Sabine.

Sabrina otworzyła pudełko. W środku była osiemnastokaratowa obrączka ślubna. – Jest śliczna – powiedziała miękko.

– To tylko rekwizyt – zaznaczył Rust.

Sabrina rozumiała jego niechęć do „rekwizytu”. Podobnie jak Graham, Rust stracił jedyną kobietę, w życiu kochał. Teresę Mardin spotkał, gdy opracował w SDECE. Była świadkiem w sprawie narkotyki i Rust miał za zadanie ochraniać ją podczas trwania procesu. Od razu zaczęli się umawiać, po sześciu miesiącach Teresa przeprowadziła się do niego. Nawet porzuciła dobrą pracę w paryskiej filii Muzeum Lafayette i przeniosła się z nim do Nowego Jorku, gdy rozpoczął pracę w UNACO. Żadne z nich nie chciało ślubu, ale mieszkali razem przez następne osiem lat. Gdy Rust został ranny, Teresa odsunęła się od niego, nie chcąc zaakceptować życia z inwalidą, wróciła do Francji, a ostatnio słyszał, że mieszka w Lucernie razem ze szwajcarskim narciarzem.

Sabrina zauważyła, że Rust przygląda się jej. Uśmiechnął się smutno. – Myślałaś o Teresie, *n'est-pas*?

– To przez tę obrączkę.

– Ja też. – Rust klasnął w rękę. – Dość na ten temat. Musicie przygotować się do podróży, a ja chciałbym wrócić jak najszybciej do Zurychu. Grupa Operacyjna nr 2 powinna już być w Algierii.

– Więc jednak pojechali? – przerwała Sabrina z przejęciem.

– Myślałem, że Siergiej wam powiedział.

– Gdy C.W. dzwonił ostatnio do Nowego Jorku, telefon odebrał nocny oficer dyżurny. Od wczoraj nie mieliśmy kontaktu z Siergiejem.

– Odlecieli wczoraj wieczorem. Planują dziś w nocy przekroczyć granicę i odbić tamtych jutro lub pojutrze. – Rust uruchomił swój fotel na kółkach. – Życzę wam szczęścia, aczkolwiek nie słyszałem, abyście go do tej pory specjalnie potrzebowali.

– Mimo to przyjmujemy życzenia – Sabrina pocałowała Rusta w policzek.

Rust podał rękę Grahamowi. – Przepraszam za Sabrinę w roli twojej żony, Mike.

– Nie ma problemu, Jacques. Naprawdę.

Sabrina otworzyła drzwi przed Rustem, który zatrzymał się przy niej. – Pożegnaj C.W. w moim imieniu. Jeśli coś mu przyjdzie do głowy, to wie, gdzie mnie szukać. – Rust zniknął w korytarzu.

Sabrina odwróciła się i zastała Grahama wpatrującego się w nią intensywnie. Poczula się dziwnie; z trudem znosząc jego wzrok. – Mike, co jest?

– Właśnie staram się sobie wyobrazić, co Carrie by na to powiedziała.

– No...

– Byłaby zazdrosna jak diabli. – Graham wyszedł na korytarz i spojrzał na nią przez ramię. – Ale myślę, że zaakceptowałyby w końcu...

Graham poszedł do swego pokoju. Sabrina jeszcze przez chwilę stała w drzwiach. Co by zaakceptowała? Ją? Czy to, że będzie tylko udawać żonę?

Zamknęła drzwi, rozebrała się i wzięła gorącą kąpiel. Gdy w pewnym momencie otarła parę z lustra, zauważyła, że bezwiednie uśmiecha się do samej siebie.

Rozdział VII

Samolot wylądował na lotnisku Galeao International w Rio de Janeiro o drugiej trzydzieści nad ranem. Wynajęli taksówkę i pojechali do trzydziestoośmiopiętrowego hotelu Meridien, stojącego u stóp góry Sugar Loaf, w pobliżu plaż Copacabana. Graham zapłacił taksówkarzowi, który pomógł im wnieść bagaże do foyer hotelu, i podszedł do recepcji.

Recepcjonista wstukał jego nazwisko do komputera.

– Pan i pani Graham z Nowego Jorku?

– Tak.

– Moje gratulacje, sir.

– Dziękuję – odparł Graham bez przekonania.

Recepcjonista wręczył mu do wypełnienia kartę meldunkową.

– Czy mógłbym zobaczyć paszporty państwa?

Graham wyjął paszporty i położył na kontuarze. Wypełnił formularz i podał recepcjoniście.

– Początkowo przeznaczaliśmy dla państwa niewielki pokój dla plażowiczów, bo tylko tym dysponowaliśmy wczoraj, gdy przyszło zamówienie państwa. Ale dziś całkiem niespodziewanie odwołano rezerwację apartamentu dla nowożeńców. Damy państwu ten pokój za tę samą cenę.

Graham nie mógł ukryć niechęci.

– Czy coś nie w porządku, sir?

– Nie, nie – Graham zmusił się do uśmiechu. To bardzo uprzejmie z waszej strony, że oddajecie apartament za cenę zwykłego pokoju.

– Wraz z wyrazami sympatii od dyrektora naczelnego, sir.

– Proszę podziękować mu w moim imieniu. – Graham przywołał Sabrinę, gdy urzędnik poszedł po klucz do apartamentu. Mieliśmy mieć mały pokój na dole, a dali nam, cholery, apartament dla nowożeńców.

Sabrina z trudem stłumiła śmiech. – Przykro mi, Mike, ale musisz przyznać, że jest w tym coś wesołego.

– Cieszę się, że tak myślisz.

Recepcjonista wrócił z kluczem i zapieczętowaną kopertą. – Zostawiono to dla państwa.

Graham otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę papieru.

Mike, C.W., Sabrina

Mam nadzieję, że lot z Amsterdamu minął wam przyjemnie. Będę tu o godzinie dziesiątej jutro rano. Do zobaczenia.

Siobhan

Oddał list Sabine, która po przeczytaniu podała go Whitlockowi.

Graham położył rękę na ramieniu Whitlock'a. – Do rana. Teraz czas do łóżka.

– Śpijcie dobrze. Oboje.

Nocny portier wziął dwie walizki i poprowadził ich do windy. Apartament dla nowożeńców był na siódmym piętrze, składał się z dwu pomieszczeń – salonu i sypialni.

Graham kazał portierowi zostawić walizki w salonie.

– Ty weź łóżko. Ja się prześpię na jednej z tych kanap – zwrócił się do Sabriny, gdy portier zamknął za sobą drzwi.

Zgodziła się. Wzięła swoją walizkę i zniknęła w sypialni.

– Mike, czy chcesz iść do łazienki pierwszy?

– Tak, bo ty pewnie ją zajmiesz na pół nocy.

– Dziękuję – powiedziała z przekąsem. Nagle jej twarz spoważniała. – Słuchaj, niepokoję się o C.W. On nie jest sobą. Był wyjątkowo małym w drodze do Amsterdamu, ale to jeszcze nic w porównaniu z dzisiejszym lotem. Gdyby leciał innym samolotem, rozmowa z nim byłaby taka sama. Przecież zawsze był gadatliwy w podróży. A co myślisz o incydencie przy Jacquesu? Nigdy nie widziałam C.W. tak wściekłego.

Co się z nim dzieje?

– Carmen – bez namysłu odpowiedział Graham.

– Rozmawiał z tobą o tym?

– Nie.

– To skąd wiesz?

– Rozpoznaję po symptomach. Miałem ten sam problem z Carrie.

Sabrina usiadła na brzegu łóżka. – To pogadaj z nim.

– Nie! – rzucił gwałtownie. – To jego prywatne sprawy i sam musi dać sobie radę.

– A jeśli nie potrafi?

– To niech mu Bóg pomoże! – powiedział Graham i zamknął za sobą drzwi do łazienki.

Przypomniała sobie nagle słowa Martina Cohena. „Coś go gryzie. Uważaj na niego, Sabrino, dla jego własnego dobra”.

Przyrzekła sobie, że będzie uważać, dla dobra C.W.

Graham wstał pierwszy. Po dwudziestominutowej gimnastyce owinał ręcznik wokół szyi i wyszedł na balkon sypialni. Wylał pot z czoła, wszedł do sypialni, skąd – dla zachowania pozorów miodowego miesiąca – zamówił śniadanie dla dwóch osób na dziewiątą trzydzieści. Obudził Sabrinę. Zdziwił się niepomnie, gdy pięć minut później zastał ją ubraną i w pełni gotową. Tymczasem przyniesiono śniadanie. Graham posmarował masłem gorący obwarzanek i zasiadł do czytania „Latin American Daily Post”, o który poprosił razem ze śniadaniem.

Dokładnie o dziesiątej trzykrotnie zadzwonił telefon, co było umówionym sygnałem od Siobhan, oznaczającym, że czeka na zewnątrz hotelu. Sabrina zadzwoniła do Whitlocka i po chwili zjechali windą na parter: Whitlock już tam był. Oddali klucze i skierowali się do drzwi.

– Sabrina? – zawołał z tyłu kobiecy głos, gdy tylko wyszli na ulicę. – Sabrina Carver?

Sabrina odwróciła się do tyłu z wyrazem zdziwienia na twarzy. Zaskoczenie szybko zmieniło się w uśmiech radości. – Nie wierzę własnym oczom! Siobhan!

Objęły się bardzo serdecznie, potem przez dłuższą chwilę, trzymając się za ręce, kręciły głowami z niedowierzaniem.

Siobhan była uderzająco atrakcyjną trzydziestolatką o miodowej cerze, mocno kontrastującej z białą bluzką wsuniętą w obcisłe džinsy. Strój podkreślał figurę tak fantastyczną, że nawet Sabrinę wprawiało to w zazdrość. Jej długie, sięgające do połowy pleców czarne włosy, w które wplotła szereg srebrnych i złotych wisiorów, były zaczesane do tyłu. Siobhan spoglądała na Grahama i Whitlocka, więc Sabrina przedstawiła jej obu mężczyzn.

– Ty, mężatka? – wykrzyknęła ze zdumieniem Siobhan, składając ręce na piersiach.

– To nasz miesiąc miodowy – odpowiedziała Sabrina uśmiechając się szeroko i wsunęła rękę pod ramię Grahama.

– To fantastyczne! No to jestem szczęśliwa razem z tobą – Siobhan odwzajemniła uśmiech. – To jeszcze do mnie nie dociera, tak wpaść na siebie po tylu latach!

– Mamy sporo do pogadania. Chodźmy gdzieś na kawę.

– Znam dobre miejsce. To niedaleko.

Gdy oddalili się od hotelu, Graham dotknął ramienia Siobhan. – Okay, przedstawienie skończone. Jaki mamy plan? – zapytał nie maskując niechęci.

Siobhan zaprowadziła ich na wyludnioną ulicę.

– Mogę zrozumieć twoje uprzedzenie, Mike. Jestem pewna, że Sabrina i C.W. mają podobne myśli, choć tylko ty wyrażasz je tak otwarcie. Nie wiem, co wam powiedziano o mojej działalności w Rio, ale zasadą jest, że pracuję wyłącznie dla CIA. Wasz układ z Langley przewiduje, że pomogę UNACO tylko w szczególnych okolicznościach. Moje instrukcje są proste – wprowadzić was do posiadłości Schradera. To wszystko, reszta jest waszą sprawą. Więc przynajmniej spróbujmy, nawet jeśli to będzie niemiłe, zawieszenia broni. Co wy na to?

Whitlock i Sabrina wymienili spojrzenia i skinęli głowami. Graham miał większe opory. – Zobaczymy – wykrzesał z siebie. – Nie odpowiedziałś na moje pytanie.

– Zaraz zabiorę was na szczyt Sugar Loaf. Stamtąd obejrzycie sobie część posiadłości Schradera. Wieczorem pójdziecie wraz z Sabriną do klubu Riviera jako moi goście. Schrader na pewno tam będzie. Niedaleko stąd wsiądziemy do autobusu i pojedziemy do Sugar Loaf. To znacznie taniej niż taksówką.

Siobhan przepuściła kilka autobusów, wreszcie zatrzymała autobus z napisem URCA który,

jak wyjaśniła, dowiezie ich do stacji kolejki linowej. Weszli do autobusu; Siobhan poprowadziła ich do przodu, gdzie usiedli. Po opłaceniu biletu Siobhan odwróciła się na krzesło do Sabriny i Grahama. – Co wam o mnie opowiedziano?

– Nic – odparł Whitlock. – Sądzę, że ty nam opowiesz.

– Dobrze. Chyba się domyślacie, że Siobhan St Jacques nie jest moim prawdziwym nazwiskiem. Jestem Mary Smethurst. Moją matką jest *carioca*. Ojciec był dyplomata w amerykańskim konsulacie. Zginął w wypadku samolotowym, gdy miałam dwanaście lat.

– Kto to jest *carioca*? – spytał Graham.

– Ktoś, kto się urodził i wychował w Rio. Gdy miałam osiemnaście lat, rozpoczęłam pracę jako modelka. Wtedy zasugerowano mi zmianę nazwiska. Siobhan to imię mojej babki, a Raymond St Jacques to mój ulubiony aktor. Rok później pojechałam do Paryża, żeby pozować dla „Voque” i „Cosmopolitan” i mimo że nieźle mi szło, zateęskniłam za słonecznym niebem i wróciłam do Rio. Zrobiłam reklamę dla VARIG, brazylijskiej linii lotniczej, i nagle moja twarz stała się powszechnie znana. Grałam w kilku filmach, ale do dziś wszyscy mnie pamiętają dzięki tej reklamie. Większość ludzi nie zna mojego nazwiska, mówią na mnie „dziewczyna VARIG”.

– A jak się dostałaś do CIA? – zapytał Graham.

– Po raz pierwszy zwrócili się do mnie po sukcesie z tą reklamą, gdyż zaczęłam być zapraszana na wielkie przyjęcia, które jak pewnie wiecie, na całym świecie są ulubionym miejscem spotkań wyższych oficerów KGB. A gdy mi udowodnili, że KGB maczało palce w wypadku, w którym zginął mój ojciec, zaczęłam już z przekonaniem trzymać uszy otwarte na wszystko, o czym Rosjanie mówili, zwłaszcza po kilku głębszych. Postawiłam tylko jeden warunek – że nie będę spać z tymi skurwysynami, żeby czegoś się od nich dowiedzieć. Zgodzono się. To pięć lat temu. Powszechnie jestem uważana za wiernie oddaną wielkiej sprawie socjalizmu. To świetna przykrywka. – Siobhan wstała i przycisnęła dzwonek. – To już nasz przystanek.

Wysiedli przednimi drzwiami. Siobhan przystanęła koło małego kramiku, gdzie kupiła słomkowy kapelusz i ciemne okulary, aby uniknąć niepotrzebnego rozpoznania przez przechodniów. Doszli do stacji kolejki linowej przy Estracao de Teleferico w pobliżu Pasteur Avenue. W kapeluszu i okularach niewielu ludzi by ją rozpoznało, tym bardziej, że większość stanowili turyści, którzy nigdy nie widzieli tamtej reklamy.

Kolejka zwykle jeździła co dwanaście minut, ale teraz co dziesięć ze względu na zwiększony ruch. Ustawili się po bilety i po dwudziestu pięciu minutach dotarli do wejścia. Whitlock wyjął portfel, żeby zapłacić; obce pieniądze zawsze przyprawiały go o ból głowy. Siobhan z uśmiechem przyszła mu z pomocą, wyciągając odpowiednią sumę i wsuwając ją przez okienko kasy. Kasjer patrzył na tę operację ze znużeniem kogoś, kto widział podobny obrazek już z tysiąc razy. Siobhan przeliczyła resztę i rozdała im bilety.

– Są dwie góry – zaczęła opowiadać Siobhan, gdy weszli do wagoniku. – Najpierw jest Moro de Urca, mniej więcej dwa razy niższa od Sugar Loaf, czy raczej Pao de Acucar. Na Moro de Urca jest restauracja, do której możemy pójść pogadać, gdy obejrzymy posiadłość Schradera.

Początkowa chęć Sabriny, by wysiąść z wagoniku, teraz gdzieś znikła wobec widoku, który roztaczał się przed nimi. Po prawej stronie rozpościerało się miasto, z tej perspektywy wyglądające trochę jak makieta sporządzona na polecenie bogatego ojca dla zaspokojenia zachcianki zepsutego dziecka. Jachty – symbole bogactwa – pstrzyły niezmacone wody zatoki Botafo – go jak miniaturowe plastikowe zabawki przyklejone do ultramarynowej planszy. Na lewo zębate góry, pokryte zielonym aksamitnym dywanem, wcinały się w Atlantyckie wybrzeże. Sabrinę prawie ogarnął lęk, że góry mogą się rozpaść na kawałki, gdy jakieś niesforne dziecko rzuci kamieniem. Teraz spojrzała na linię horyzontu, gdzie grupka chmur stykając się z odległymi szczytami sprawiała wrażenie, że artysta namalował je tylko po to, aby zakłócić monotonię wszechobecnego błękitu nieba. Nagle poczuła za sobą czyjąś obecność. Odwróciła się szybko i ujrzała Grahama stojącego z rękami w kieszeniach swych szerokich, białych spodni.

– Pięknie tu, prawda? – znowu zapatrzyła się w przestrzeń.

– Tak – mruknął Graham z powątpiewaniem. – Chodź, C.W. zajął lunetę bandzie jakichś Niemców i obawia się, że nie utrzyma jej długo bez naszej pomocy.

Sabrina zachichotała, podeszła do Grahama i wzięła go pod rękę. Graham spojrzał na nią, ale ręki nie cofnął.

Whitlock patrzył w dół przez lunetę i nawoływał Sabrinę do pośpiechu. – Czekamy na ciebie, pospiesz się!

Sabrina uśmiechnęła się promiennie do czterech małżeństw w średnim wieku stojących cierpliwie za Siobhan, przeprosiła po niemiecku za opóźnienie i obiecała zwrócić lunetę jak najszybciej. Twarze Niemców rozpromieniły się na dźwięk rodzimego języka i jeden z mężczyzn odpowiedział, że może sobie oglądać tak długo, jak zechce. Podziękowała i pochyliła się nad teleskopem, dostosowując go do swego wzroku. W pierwszym momencie zobaczyła tylko skalistą górę wznoszącą się nad brzegiem oceanu. Po chwili dostrzegła jednak w skale coś, co odbijało światło słoneczne i odgadła, że jest to okno, ogromne okno o długości chyba stu stóp. Nie, to były dwa okna, z przerwą około dwudziestu stóp między nimi. Zauważyła jakiś ruch – motorówka wyłoniła się jakby wprost ze skały! Przyjrzała się uważniej – tak, tam była podziemna pieczara. Więcej nic już nie mogła dostrzec. Przekręciła soczewkę teleskopu psując ostrość, a następnie niby przypadkiem trąciła teleskop, przesuwając go nieco tak, aby Niemcy nie mogli wiedzieć, co było obiektem jej zainteresowania.

Wracając do kolejki powiedziała, co widziała przez lunetę.

– Nie zauważyłem żadnej pieczary – odpowiedział Graham.

– Ani ja – dodał Whitlock i zwrócił się do Siobhan – czy jest tam coś takiego?

Siobhan skinęła głową. – Pieczara jest naturalna. Schrader zbudował w niej molo. Powiedział mi kiedyś, że tam jest dość miejsca, aby pomieścić „Golcondę”, jego prywatny jacht zazwyczaj zacumowany w zatoce Botafogo.

Nadjeżdżający wagonik przerwał rozmowę. Podczas jazdy Siobhan miała nadzieję pokazać im „Golcondę”, ale akurat nie było jej w zatoce. Nie myślała o tym więcej. Wagonik zatrzymał się na Morro de Urca i większość pasażerów wysiadła, kierując się do restauracji.

– Chyba zrezygnujemy – powiedział Whitlock wskazując na tłum – nigdy nie dostaniemy tu miejsca.

– Ale nie zakładaj się o to – Siobhan zdjęła słomkowy kapelusz i okulary słoneczne, oddała je Whitlockowi i zniknęła w restauracji. Po chwili ukazała się znowu przywołując ich ręką.

Odezwały się niechętnie pomruki wśród czekających w kolejce turystów.

– Wygląda na to, że trzeba mieć ładną buzię i okrągłą pupę, żeby tu wejść – powiedział jakiś Amerykanin patrząc to na Siobhan, to na Sabrinę.

Graham podszedł do niego i wbił wzrok w towarzyszącą dowcipnisiowi kobietę. – Jeżeli tak, to ty będziesz tu tkwił do usranej śmierci!

Sabrina chwyciła Grahama za rękę i odciągnęła gwałtownie, zanim tamten zdążył zareagować. – To nie było w porządku, Mike.

Graham się zachnął. – Pewnie nie, ale to go nauczy trzymać mordę na kłódkę następnym razem.

Wskazano im stolik przy brzegu sali. Siobhan uśmiechała się tryumfalnie – czasem nieźle jest być gwiazdą.

Graham wymierzył w nią palec. – Nigdy więcej nie wciągaj mnie w takie sytuacje.

– Wciągać cię? – z rozbawieniem zdziwiła się Siobhan.

– Nadużywasz swojej pozycji, aby uzyskiwać to, co chcesz. Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że ludzie, których denerwujesz w takich sytuacjach, to ci sami, którzy dali ci tę pozycję? Byłabyś niczym bez nich.

– Wiem, co masz na myśli, ale czy nie sądzisz, że każdy z nich robiłby to samo, gdyby był na moim miejscu?

– To nie jest żadne wytłumaczenie – Graham wziął kartę potraw do ręki – o ile rzeczywiście wiesz, co mam na myśli.

– Świetnie – zakończyła Siobhan, zaglądając do menu. – Kto co chce?

– Co polecasz? – spytał Whitlock.

– Zależy, jak bardzo jesteś głodny.

Sabrina spojrzała na zegarek. – Trochę wcześniej na jedzenie.

– Owszem – zgodził się Graham. – Wezmę tylko coś do picia. Coś zimnego.

– Polecam więc chopinho lub matę, stosownie do gustu. Chopinho to piwo z beczki, a matę

to taka lemoniada. Jedno i drugie jest zimne.

Wszyscy zgodzili się na matę i Siobhan zamówiła pełny dzbanek napoju.

– Możemy teraz przejść do naszych spraw? – spytał Graham, gdy kelnerka się oddaliła.

– Co wiecie o Schraderze i Drago?

– Mamy niezłe dossier Schradera do momentu, gdy wyjechał z Niemiec – powiedziała Sabrina. Ale to, co wiemy o Drago, da się zapisać na znaczku pocztowym.

– A co wiecie?

– Że przed ucieczką na Zachód był niskiej rangi szyfrantem w czeskim wywiadzie.

– I wiemy to z Langley – dodał Whitlock.

– Mnie opowiedzieli tę samą historyjkę – skrzywiła się Siobhan.

– Historyjkę? – zdziwiła się Sabrina. – Nie wierzysz w to?

– Osobiście, nie – uśmiechnęła się Siobhan. – Nie zrozumcie mnie źle, nie krytykuję ich, muszą mieć swoje powody.

– Więc Drago jest czymś więcej, niż na to wygląda? – spytał Whitlock.

– Według mnie, tak.

Wróciła kelnerka z dzbanem matę i czterema szklankami. Rozstawiła naczynia i odeszła zostawiając rachunek. Sabrina napełniła szklanki.

Siobhan wypła łyk. – Schrader przyjechał do Rio dziesięć lat temu z pięćdziesięcioma pięcioma milionami dolarów ze sprzedaży Hechta. Będąc businessmanem z krwi i kości, szybko doszedł do wniosku, że jest coś do zrobienia na rynku posiadłości w Rio i okolicy, więc zainwestował pieniądze w budowę Leblonu, dzielnicy bogaczy. Był to rzeczywiście interes, który nie mógł nie wypalić. Sfinansował budowę apartamentów, hoteli, restauracji, parków rozrywki – wyraźnie znał się na tym. Obecnie, będąc właścicielem większości Leblonu, jest powszechnie uznany za jednego z największych przedsiębiorców w mieście.

– Ile jest teraz wart? – zapytał Whitlock.

Siobhan podniosła ręce w geście bezradności. – Odpowiedź jest chyba niemożliwa. To musi iść w miliardy.

Whitlock gwizdnął przeciągle. – Nieźle jak na syna frankfurckiego brukarza.

– Jego obsesja na punkcie pieniędzy jest powszechnie znana. Ale jest i druga strona – filantropia. Założył kilka fundacji, żeby pomóc *favelados*.

– *Favelados*? – spytał Graham.

– Mieszkańcy slumsów. Dwa miliony ludzi, przeważnie przybyłych z północy w przekonaniu, że tu drogi są wybrukowane złotem. Szczególnie tragiczny jest los dzieci. Niedożywione, ubrane w szmaty, wiele z nich przy braku jakichkolwiek perspektyw staje się kryminalistami.

Schrader był wstrząśnięty warunkami życia dzieci *favelados* i postanowił im pomóc. Na

pomoc dla nich przeznaczają setki tysięcy dolarów rocznie. Jego apele do innych milionerów zwykle nie odnoszą skutków, oni patrzą na slumsy tylko jak na coś nieprzyzwoitego w pięknym mieście. Więc on organizuje bale dobroczynne, na których wszystko jest niezwykle drogie i wszystkie pieniądze przekazuje do swych fundacji. Mówi, że to jedyny sposób, aby zmusić finansjerę do pomocy dla *favelados*.

– Czy jest jakaś skaza w jego aureoli?

– Widzę, że umiesz patrzeć sercem, Mike. Owszem, są skazy. Łapówki, jakie daje urzędnikom miejskim, o wiele przewyższają to, co daje na biednych. Do takiego wniosku doszedł pewien dziennikarz po czterech miesiącach poszukiwań. Niestety, akurat utonął w zatoce Guanabara na tydzień przed publikacją swego materiału. Śledztwo policyjne było kpina. W końcu, na dzień przed zaplanowaną publikacją artykułu, wydawca zrezygnował, oznajmiając, że przedstawiony materiał jest „zbyt spekulatywny”.

– Więc nie został opublikowany? – spytał Whitlock.

– Nie, ale ja zdobyłam kopię manuskryptu. Kosztowało mnie to fortunę, ale było warte swej ceny. Były tam nazwiska najwyższych dostojników z władz lokalnych, którzy siedzą w kieszeni Schradera.

– Jaką funkcję pełni Drago?

– Jego oficjalny tytuł to: szef ochrony osobistej. Czyli goryl, inaczej mówiąc.

– W Amsterdamie przedstawiał się jako osobisty sekretarz Schradera – powiedziała Sabrina.

– Zawsze tak się przedstawia, gdy negocjuje jakiś interes dla Schradera. Schrader wierzy mu mniej więcej w takim samym stopniu, w jakim ja go nie znoszę. Nigdy go nie nakryłam na nadużyciu tego zaufania. Stanowi znakomite tło dla Schradera – patologicznie pracowity, nie lubi pokazywać się w pełnym świetle. Schrader odwrotnie, najszcześniejszy jest wtedy, gdy stanowi centrum zainteresowania tłumu złożonego z takich, jak on sam.

Gdy Schrader zatrudnił Drago, dał mu za zadanie obniżyć przestępczość wśród *favelados*. Pół roku później miał oddział złożony z półtorej setki wywodzących się z *favelados* najbardziej zahartowanych kryminalistów, całkowicie lojalnych dzięki pensjom, jakie im płacił. Wałęsali się po ulicach, egzekwując sprawiedliwość dość swoiście rozumianą. Poszły w ruch noże, pistolety, maczety, łańcuchy, żelazne pręty, kije baseballowe, jeden nawet nosi ze sobą piłę łańcuchową. Stali się szwadronem śmierci, całkowicie ponad prawem. Policja do niczego się nie miesza, udając, że wierzy, iż oni rzeczywiście ograniczają przestępczość, która wydawała się czymś nie do opanowania.

Opinia publiczna została podzielona mniej więcej równo. Jedni uważali Drago za dobroczyńcę miasta, pozostali za gangstera, który na rzucił *favelados* własne prawa.

– A ty uważasz go za gangstera?

– Ja wiem, że jest mordercy. Mam listę czternastu osób, które Drago prawie na pewno

zamordował osobiście w ciągu czterech ostatnich lat. Wszyscy mieli jeden postrzał w samo serce, za każdym razem z CZ 75. Drago zawsze nosi przy sobie taki właśnie pistolet. Lista jest w bagażniku mojego samochodu w hotelu. Są tam również dwie beretty i browning dla was.

Whitlock opróżnił szklanę.

– Okay, chodźmy.

Graham się podniósł. Będziemy mieli przyjemność poznać pana Drago dziś wieczorem w „Rivierze”?

Siobhan uśmiechnęła się. – Możecie być tego pewni.

Siobhan poczekała, aż cała trójka wejdzie do hotelu. Podeszła do ulicznego telefonu schowanego w żółtej kabinie. Znalazła w torebce żeton. Wykręciła numer prywatnego telefonu pierwszego sekretarza amerykańskiej ambasady, który był jej łącznikiem od początku pracy dla CIA.

Po drugiej stronie odezwał się głos: Casey Morgan, dzień dobry.

– Casey, tu Siobhan.

– Jak poszło?

– Zgodnie z przewidywaniami. Powiem ci więcej, gdy się zobaczymy. Gdzie się spotkamy?

– Tam gdzie zawsze. Za godzinę.

* * *

Zwykłym miejscem była drewniana ławka nad rzeką w Parque de Cidade, cichym parku położonym pomiędzy dzielnicami Sao Conrado i Leblon. Siobhan przyszła pierwsza i przykucnęła przy brzegu karmiąc kaczki chlebem, który przyniosła ze sobą.

– Pewnie są już zaprogramowane jak psy Pawiowa – odezwał się głos za nią. – Nie chciałbym być świadkiem tego, jak tu przyjdiesz bez chleba.

– Jestem pewna, że przeżyłyby ten szok, Casey – odpowiedziała z uśmiechem, podeszła do ławki i usiadła przy nim.

Casey Morgan był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną po pięćdziesiątce. W służbie dyplomatycznej pracował od trzydziestu lat, a od dwudziestu sześciu lat był również agentem CIA.

Morgan przypalił papierosa i schował paczkę do kieszeni. – No, to jak poszło z naszymi kuzynami z UNACO?

– Dokładnie tak, jak wczoraj ustaliliśmy. – Siobhan zrelacjonowała przebieg spotkania.

– Więc nie wspomnieli o kopercie?

Rzuciła garść chleba czterem kaczkom, które odważyły się podplłynąć do samego brzegu. –

Ani słowa. Co nie znaczy, że o niej nie wiedzą. To są zawodowcy, Casey.

– Nie wątpię w to. – Morgan zaciągnął się dymem. – Rozmawiałem z Langley dziś rano.

– I co?

– Są już pewni, że koperta przysłała razem z obrazem. Co więcej, Drago spotka się z kimś z KGB na przyjęciu u Schradera jutro wieczorem, aby przekazać mu tę kopertę. Musisz ją ukraść, to twoja jedyna szansa.

– Kogo KGB wysłała na spotkanie z Drago?

– Nie powiedzieli.

– Raczej nie chcieli powiedzieć! – warknęła Siobhan. – Nie udawaj dumia, Casey, jeśli w Langley wiedzą, że KGB kogoś tu wysłała, to muszą też wiedzieć, kto to jest. Dlaczego rozgrywają to z tak głupią ostrożnością?

– Nie jest naszą sprawą dociekać, dlaczego.

– Tak, naszą rzeczą jest słuchać ze ślepym oddaniem – odcięła się z irytacją w głosie. – Jutro mam wystawić się na niebezpieczeństwo, żeby zdobyć dla nich jakąś kopertę. Jeśli nie mają do mnie zaufania, to po jaką cholere w ogóle mnie zwerbowali?

– Rozumiem twoje złość...

– Jak możesz rozumieć. Nigdy nie byłeś agentem operacyjnym. – Szybko pożałowała swoich słów, ujęła go pod rękę. – Przepraszam, Casey, nie chciałam cię urazić. Ale ci z Langley czasami traktują mnie w taki sposób...

– Tylko czasami? To zaliczasz się do szczęśliwych wybrańców.

Uśmiechnęła się blado i rzuciła kaczkom kolejną garść chleba. – Mogę zrozumieć, gdy ukrywają zawartość koperty, ale co innego, gdy nie chcą powiedzieć, kogo KGB ma zamiar wysłać. A potem pierwsi skoczą mi do gardła, jeśli Drago przekaże kopertę, zanim ja ją dostanę. Jeżeli mam wykonać zadanie, to muszę wiedzieć, jak wygląda kontakt Drago. Czy ty to rozumiesz?

Morgan skinął głową. Rozumiem cię doskonale, Siobhan, ale nic na to nie poradzę.

– Zadzwoń do Langley, przemów im do rozumu.

– To nic nie pomoże, w całym departamencie nikt tego nie wie.

Zmarszczyła brwi, zaskoczona. Nie rozumiem.

– Decyzja o utrzymaniu nazwiska w tajemnicy zapadła na najwyższym szczeblu.

– Jak wysokim?

– Prezydent i dyrektor Agencji.

– To nie ma żadnego sensu – powiedziała zdezorientowana. – Nasi ludzie w KGB przecież na pewno wiedzą.

Pokręcił głową. – Nie, KGB również tę sprawę rozgrywa tylko na najwyższych szczeblach.

– Casey, co takiego jest w tej kopercie? Morgan rzucił niedopałek na ziemię i zgniótł go

końcem buta. – Wczoraj dowiedziałem się w najściślejszej tajemnicy. Będę skończony, jeśli dam przeciek. Ale przecież zawsze byliśmy całkowicie szczerzy wobec siebie, a przy tym ty jutro będziesz, jak słusznie powiedziałaś, narażać się dla przejścia tej koperty. – Morgan gapił się na czubki swoich butów, po czym powoli przeniósł wzrok na Siobhan. – Słyszałaś kiedyś o programie Alfa?

– Oczywiście. Jest dostępny tylko kilku osobom.

– Włączając w to prezydenta i dyrektora CIA.

– Mówisz, że...

– Wiem tylko tyle, że zawartość koperty dotyczy programu Alfa.

– Ale jak ktoś taki jak Drago mógł wejść w posiadanie takich informacji?

– Nic więcej nie wiem. – Morgan wstał. – A to, co wiem, i tak pochodzi z najwyższego szczebla.

– Jak wysokiego?

– Powiedzmy to tak – nigdy nie rozmawiałem osobiście z prezydentem – odpowiedział Morgan i odszedł w kierunku ulicy, przecinając trawnik.

Siobhan uśmiechnęła się do siebie i opróżniła torbę wysypując resztki chleba w sam środek stada kaczek.

Rozdział VIII

Graham kłął jak szewc, gdy taksówka podjeżdżała do klubu Riviera przy Avenida Vieira Souto, stojącego frontem do plaży Ipanema. Spojrzał na zegarek – ósma czterdzieści. A z Siobhan umówili się na ósmą trzydzieści. Przynajmniej trzymali się miejscowego obyczaju – carioca nigdy nie byli punktualni. Zapłacił taksówkarzowi i wysiadł z samochodu. Ubrany był w czarny wieczorowy garnitur, czarny krawat i białą koszulę od Cardina, co czyniło go jednym z najbardziej eleganckich gości wieczoru. Sabrina miała na sobie czarną suknię bez ramiączek i żakiecik w stylu bolero. Zdecydowała się nie wkładać zbyt wiele biżuterii, tylko diamentowe kolczyki w uszach i pasujący do całości naszyjnik. Z włosami zaczesanymi do góry prezentowała niewątpliwie najwyższy poziom smaku i elegancji.

– Nieźle wyglądasz – przyznał Graham pomagając jej wysiąść z taksówki.

– O, dziękuję – odpowiedziała uśmiechem, wiedząc że to już ostatni komplement Grahama tego wieczoru.

– Podaj mi rękę.

– Co? – zdziwiła się Sabrina.

Wyciągnął do niej dłoń. – Jesteśmy przecież świeżo po ślubie, nie pamiętasz?

Umundurowany odźwierny o posturze i twarzy boksera otworzył przed nimi szklane drzwi i zasalutował uprzejmie. Weszli do foyer. Graham podszedł do marmurowego kontuaru, gdzie recepcjonistka, po uprzejmym przywitaniu, zapytała o nazwisko i wprowadziła dane do komputera.

– Czy moglibyście państwo usiąść, zanim zawiadomię pannę St Jacques?

– Dziękuję – odpowiedział Graham.

Wrócił do Sabriny i już prawie usiedli, gdy w drzwiach restauracji na końcu korytarza pojawił się Drago. Przypomnieli sobie opis Van Dehna. Zgadzał się znakomicie – wąska twarz, okulary w metalowej oprawie i jasne, krótko ostrzyżone włosy. I jego zamiłowanie do białych ubrań. Miał na sobie białą marynarkę i jedwabny krawat, tylko spodnie były czarne.

Drago przedstawił się. Zgodnie z opisem Van Dehna uśmiech nie pasował do jego twarzy. – Bardzo proszę iść za mną, panna St Jacques czeka na państwa w kasynie. – Poprowadził ich po schodach pokrytych czerwonym dywanem.

– Czy państwu znana jest sztuka brazylijska?

Oboje pokręcili głowami.

Drago zatrzymał się w połowie schodów i wskazał ręką rząd obrazów wiszących na ścianie. – Mamy tu, między innymi, obrazy Pancettiego, Djaniry i Di Calvantiego. – Uśmiechnął się przelotnie. – Wszystko oryginały, oczywiście.

– Czy nie kusicie losu trzymając oryginały w tak publicznym miejscu? – zapytała Sabrina.

– Była próba włamania osiemnaście miesięcy temu. – Drago wskazał księgę gości leżącą na stoliku przy podwójnych czerwonych drzwiach. Czy byłby pan uprzejmy wpisać się, panie Graham?

– Czy włamywacza złapano? – pytała dalej Sabrina.

– Drago wyjął z marynarki złote wieczne pióro, zdjął nasadkę, podał Grahamowi i obrócił się do Sabriny. – Niestety, nadgorliwy strażnik zastrzelił obydwu. Takie tragiczne zmarnowanie życia ludzkiego!

Graham wpisał się do księgi i oddał pióro Drago, który otworzył drzwi i usunął się na bok przepuszczając gości. W pokoju dominowało drewno – ściany z norweskiej sosny i sufit z honduraskiego mahoniu. Zwłaszcza sufit zwracał uwagę swą misterną, geometryczną rzeźbą i wspaniałym, trójpoziomowym kandelabrem z czeskiego kryształu.

Drago podążył za ich spojrzaniem. – Krąży plotka, że ten sufit pochodzi z sali balowej letniego pałacu króla Pedro II w Petropolis. Wątpię, czy to się da potwierdzić, ale to niezła historia.

Zeszli po schodkach na poziom kasyna. Na lewo były stoliki do gry w kości i koła ruletki, na prawo stoliki do gry w karty. Bar był położony w drugiej, podniesionej części hallu, po przeciwnej stronie.

Siobhan pocałowała ich, zgodnie z brazylijskim obyczajem, w oba policzki i zwróciła się do Drago. – Pan Schrader prosił mnie o poinformowanie o przybyciu pana i pani Graham. Drago łypnął na nią niechętnie i szepnął coś na ucho człowiekowi siedzącemu tyłem. Zaczekał na odpowiedź i wrócił do baru. – Pan Schrader bardzo przeprasza, przyjdzie do państwa, gdy tylko skończy grę. Czy napiją się państwo czegoś?

– Dla mnie białe wytrawne wino – powiedziała Sabrina do barmana.

– Najzimniejsza w tym domu butelka wody Perrier – dodał Graham.

Schrader roześmiał się głośno, klepnął swego przeciwnika po ramieniu, następnie wstał od stołu i skierował się do baru. Był to potężnie zbudowany pięćdziesięcioletni mężczyzna, mocno opalony, o miękkich brązowych włosach, siwiejących na skroniach. Orli nos nadawał szczególną siłę jego ostro zarysowanej twarzy i Sabrina dobrze rozumiała kobiety, które garnęły się do jego towarzystwa.

Siobhan poczekała, aż Schrader pokona schodki, i przedstawiła mu Grahama i Sabrinę.

– Mam nadzieję, że André zajął się wami podczas mojej nieobecności – powiedział Schrader głębokim głosem, potrząsając ręką Grahama.

– Doskonały gospodarz – odpowiedział Graham spoglądając na Drago, który odsunął się dyskretnie do bariery i stał tam z rękoma splecionymi z tyłu.

– Świetnie. O, wasze drinki – Schrader podpisał swymi inicjałami bon i podał barmanowi. Więc kiedy się pobraliście?

– Wczoraj – odparł Graham.

– Wczoraj? – Schrader klasnął w ręce. – To wymaga uczczenia. Szampan!

Drago strzelił palcami na barmana. Butelka Roederer Cristal dla pana Schradera. Cztery kieliszki.

– Domyślam się, że ty i Siobhan jesteście starymi przyjaciółkami – powiedział Schrader do Sabriny.

Pochwyciła spojrzenie Siobhan i uśmiechnęła się do niej. Swoją dawną przyjaźń sfabrykowały tego popołudnia przy lunchu bardzo dokładnie. Po ustaleniu szczegółów starannie przepytaly się nawzajem, aby nie wypaść z roli.

– Spotkałyśmy się w Paryżu, gdzie pracowałyśmy jako modelki. To było całe wieki temu! Ile to lat, Siobhan, dziesięć?

– Siobhan w zamyśleniu kręciła jednym z paciorków w jej włosach. – Byłam w Paryżu... dziewięć lat temu. To musiało być dziewięć lat temu.

– Mieszkałyśmy na Lewym Brzegu przez rok, potem ja wyjechałam do Londynu, a Siobhan do Mediolanu. Obiecałyśmy utrzymywać kontakt, ale jakoś się zerwało...

– I teraz, po dziewięciu latach, ni stąd, ni zowąd wpadamy na siebie przy hotelu Meridien. – Siobhan ciągnęła opowieść trzymając dłoń na ramieniu Sabriny. – A w dodatku, ona właśnie przed chwilą wyszła za mąż!

Barman otworzył butelkę szampana, Graham położył dłoń na jednym z kieliszków. – Ja nie, pozostaję przy Perrier.

Schrader wręczył kieliszki Sabrinie i Siobhan i wzniosł swój do góry. – Za nowożeńców! Jest pan szczęśliwcem, panie Graham.

Graham uśmiechnął się powściągliwie. – O tak, pani Graham to bardzo szczególna dama.

Dwuznaczność nie uszła uwagi Sabriny. Mimo to musiała przyznać, że grał swoją rolę perfekcyjnie. Całkiem jakby naprawdę przed chwilą wziął ślub – ukradkowe spojrzenia, znaczące uśmiechy, przypadkowe dotknięcia – było to bardzo przekonujące. Siobhan mówiła mi, że działa pan w rybołówstwie.

– Tak, w Nowym Jorku – Graham wyjął wizytówkę i podał Schraderowi.

– „Mike Graham, Dyrektor Naczelny, Whitaker – Połowy Ryb” – przeczytał Schrader.

– Wykupiłem Joe Whitakera trzy lata temu, ale byłoby głupotą zmieniać nazwę firmy.

– Dobry ruch – pochwalił Schrader i podał wizytówkę Drago.

Graham tego właśnie oczekiwał. Drago sprawdzi dane w firmie i stwierdzi, że wszystko się zgadza, co doda mu wiarygodności. Whitaker był jedną z wielu przykrywek UNACO. Wszyscy agenci operacyjni mieli wizytówki przedsiębiorstw, z których większość była usytuowana w okolicach Nowego Jorku. W każdym z tych przedsiębiorstw personel był przygotowany do udzielania informacji odpowiednich do bieżących potrzeb działających w terenie agentów. Inną

korzyścią z działalności tych przedsiębiorstw były po prostu ich zyski, dyskretnie przelewane na konto UNICEF.

Graham nie wiedział, że Drago już wcześniej dokonał rozpoznania, natychmiast po tym, jak Siobhan zaprosiła Grahamów do klubu Riviera. Poprzez swój kontakt na Wall Street dowiedział się, że Whitaker jest solidną firmą o dobrej reputacji, wartą około pięciu milionów dolarów. Schrader zawsze nalegał na sprawdzenie finansowej pozycji swoich gości. W przypadku członków klubu dawało mu to podstawę do odróżniania przyjaciół od znajomych, w przypadku gości kwalifikowało (lub nie) na partnerów przy grach hazardowych.

Schrader dopił szampana i odstawił kieliszek na kontuar. – Lubi pan pograć, panie Graham?

– Zależy od stawki.

– Stawka zawsze jest do ustalenia. Pytam, bo przerwałem grę w oczko, aby powitać pana i pańską piękną żonę. Teraz się zastanawiam, czy nie zechcielibyście dołączyć do stołu?

– Dlaczego by nie?

– Świetnie – Schrader zwrócił się do Sabriny i Siobhan. – Serdecznie zapraszam do obserwowania gry.

– Oczywiście. – Siobhan spojrzał na Sabrinę. – To może być zabawne. Trzeba będzie to potem wyjaśnić Kolczyńskiemu. A że działają razem, Siergiej rozłoży winę po równo. Ale co mogła zrobić? Graham nigdy nie pójdzie za głosem rozsądku, zwłaszcza gdy to będzie jej głos.

– Sabrina?

Spojrzała na Siobhan. – Przepraszam, zamyśliłam się.

– Myślisz już o pieniądzach, które Graham wygra? – spytała z nieco złośliwym uśmiechem.

Sabrina posłała Siobhan wymuszony uśmiech, ujęła Grahama pod rękę i razem zeszli po schodkach do kasyna.

– Nie będzie wykładu? – szepnął jej do ucha z sarkazmem w głosie.

– Przecież i tak nie posłuchasz.

– Nie zapominaj, że muszę grać, żeby mieć szansę zaproszenia na jutrzejsze przyjęcie.

– Wiem również, że Siergiej wepchnie nas pod dywan, gdy wrócimy.

– Tylko wtedy, gdy przegramy.

Przy stole było sześć miejsc, z czego trzy już zajęte. Schrader przedstawił Grahama pozostałym graczom – majorowi Alonso z konsulatu Chile, miejscowemu businessmanowi Raoulowi Lajesowi i spoconemu Francuzowi o nazwisku Grenelle.

Drago przechylił się ponad ramieniem Schradera. – Krupier da panom tyle żetonów, ile sobie zażyczyacie. On też rozliczy się z panami od razu po odejściu od stołu.

– To zasady z Las Vegas, prawda? – wtrącił Graham nie patrząc na Drago.

– To prawda, ale to prywatny klub – odpowiedział Drago z kwaśnym uśmiechem. – Pan Schrader ma prawo określać swoje własne reguły, dopóki nie kolidują one z powszechnie

uznanymi zasadami.

– Czy pięciokartówki są tu honorowane?

– Tak.

Graham poczekał, aż Drago zajmie pozycję za Schraderem. – Jaka jest minimalna stawka?

– Tysiąc cruzeiros, maksymalna – piętnaście tysięcy.

Graham szybko przeliczył w pamięci – maksimum dwa tysiące dolarów. – Piętnaście tysięcy cruzeiros – powiedział do krupiera.

Sabriną zatrzęsło ze złości. Zawsze to samo! Graham nie potrafił nie podjąć wyzwania niezależnie od szkód, jakie mógł wyrządzić sobie lub całemu UNACO.

Krupier dał mu dwa niebieskie żetony po 5000 cruzeiros i pięć białych po 1000 cruzeiros.

Graham pchnął dwa niebieskie żetony na pole gry i gdy wszyscy dołożyli, krupier przed każdym z graczy położył po jednej karcie grzbietem do góry. Odwrócił swoją kartę – as. Rozdał znowu i odwrócił swoją kartę. Król, a więc oko. Dla pozostałych graczy runda stała się czysto akademicka, chyba że ktoś również miałby dwadzieścia jeden punktów – wówczas odzyskałby swoją stawkę. Nikt nie miał oczka, więc krupier zagarnął wszystkie stawki i karty.

Graham postawił pozostałe 5000 cruzeiros. Pierwszą kartą krupiera była piątka. Graham otrzymał damę i czwórkę. Schrader, Alonso i Lajes „pękli”, Grenelle oświadczył, że „zostaje” po trzeciej karcie.

– Monsieur? – zwrócił się krupier do Grahama.

– Wał pan.

Krupier podał mu kartę – dziesiątka. – Fura! – oświadczył Graham gburowato i odsunął karty.

Krupier „został” na dziewiętnastu punktach. Grenelle odkrył karty, mając króla i dwie piątki. Otarł pot z łysiejącego czoła i przysunął wygraną do siebie gestem kutwy.

Graham pochylił się w kierunku Schradera. – Zagrajmy na prawdziwe stawki.

– Z prawdziwą przyjemnością. Powiedzmy, pięćdziesiąt tysięcy cruzeiros?

– Powiedzmy, dwieście pięćdziesiąt tysięcy amerykańskich dolarów.

Szmer przeszedł przez grupkę obserwujących. Sabrina potrzęsła głową z niedowierzaniem. Był to już ten poziom hazardowego opętania, który natychmiast kwalifikował do kontroli medycznej. Jej pierwszą myślą było zacząć przekonywać Grahama, zanim nie było za późno. Ale właśnie ona nie mogła tego robić nie narażając misji. Pochwyciła uśmiech Siobhan.

– Myślisz, że to śmieszne? – spytała z niedowierzaniem.

– To podniecające – odparła Siobhan. – On naprawdę wprawił Martina w zakłopotanie.

– Chyba wie pan, że ręczę za stawkę, jeżeli zaprosił mnie pan do gry? – przerwał ciszę Graham.

Schrader miętosił palcami dolną wargę, rozważając propozycję. – Jedna gra?

– Jedna. Ja sam przeciwko bankowi. Schrader się uśmiechnął. – Sam pan tego chciał, panie Graham.

Wieść błyskawicznie obiegła salę i naokoło stolika zebrali się prawie wszyscy obecni łącznie z obsługą. Lajes i Alonso opuścili swe miejsca i wmieszcili się w tłum gapiów. Grenelle schował wygraną do portfela i ku zdziwieniu Grahama życzył mu powodzenia.

Drago kazał krupierowi opróżnić pojemnik z kartami i zaproponował Grahamowi, aby go obejrzał dla sprawdzenia. Następnie położył na stole trzy paczki nowych kart. Obejrzawszy je, Graham złamał pieczęcie.

Schrader zwrócił się do krupiera. – Henri, zaczynaj.

– *Qui, monsieur.* – Krupier wziął karty od Drago. Graham spojrzał do tyłu na Sabrinę. – Zachowaj swój wykład na później – powiedział miękko.

– Zostawię to dla pułkownika – szepnęła wściekle. – Jesteś szalony, Mike, wiesz, że on cię ukrzyżuje jak się dowie, co wyprawiasz.

– Tylko wtedy, gdy przegram. Mogłabyś mi życzyć szczęścia.

– A niech cię – wycofała się do Siobhan.

Krupier postawił przed Grahamem pudło z kartami i poprosił o potasowanie. Gdy Graham to zrobił, umieścił pudło w „bucie”. Schrader i Hrago stali po obu stronach krupiera, z rękami założonymi do tyłu.

– Gramy w oczko – oznajmił Schrader zebranym. – Zasady znane w tym domu. Pan Graham postawił dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. – Zwrócił się do Grahama poważnym głosem Henri głośno odczyta każdą kartę, aby wszyscy słyszeli. Czy ma pan jakieś obiekcje?

– Żadnych. – Graham spojrzał na krupiera. – Grajmy.

Krupier podał pierwsze karty. – Monsieur Graham, trójka. Bank – ósemka.

Graham odetchnął z ulgą – nie figura.

Henri rozdał drugą kartę. – Monsieur Graham, trójka. – Sobie położył grzbietem do góry.

– Dawaj – powiedział Graham.

– Monsieur Graham, dwójka.

Szmer podniecenia przewalił się przez tłum. Można było już spodziewać się pięciokartówki, ale decydująca będzie następna karta. Graham, świadom tego aż nadto, otarł z czoła krople potu końcami palców. Czuł suchość w gardle – teraz chętnie łyknąłby tego szampana. Oddalił jednak tę myśl. Napotkawszy pytający wzrok Henriego, skinął głową.

Henri wyciągnął kartę z „buta” i powoli odkrył jej wartość przed Grahamem. – Monsieur Graham, siedem.

Powietrze stało się ciężkie – piętnaście w czterech kartach. Pięciokartówka nadal była możliwa, lecz już mało prawdopodobna. Bank był w znacznie lepszej sytuacji. Wśród obserwującego tłumu zaczęły się prywatne zakłady. Sabrina z najwyższym trudem opanowywała

niepokój. Nie potrzebowała w tej chwili niczego na świecie, tylko tej jednej szczęśliwej karty. Nerwowo gryzła usta – on MUSIAŁ to zrobić. Graham, ignorując narastającą wokół niego niecierpliwość, pukał palcem w stół, wpatrując się w leżące przed nim karty. W końcu przeniósł wzrok na krupiera i skinął głową. Ani Schrader, ani Drago nie okazywali żadnych emocji, co dodatkowo wzmagало napięcie.

Henri położył kolejną kartę obok poprzednich czterech i chrząknął przed ogłoszeniem. – Monsieur Graham, jeden.

Spontaniczny aplauz przelał się przez tłum gapiów, zwłaszcza ze strony tych, którzy wygrali zakłady Sabrina i Siobhan padły sobie w objęcia jak uczennice, po chwili dopiero przyjęły na powrót godne pozycje. Zrobił się taki tumult, że nikt nie usłyszał, co powiedział Graham.

– Dawaj jeszcze jedną!

Schrader, Drago i Henri wymienili spojrzenia. Czy dobrze usłyszeli? Graham powtórzył żądanie.

– Panie i panowie – powiedział głośno Schrader podnosząc ręce do góry – gra nie jest skończona! Pan Graham poprosił o jeszcze jedną kartę!

Na sali zapadła cisza, a po sekundzie wybuchła wrzawa. Uczynili ją głównie ci, którzy uważali, że Graham powinien już skończyć grę. Dlaczego prowokował los, gdy jego szansa w tej chwili zmalała jeszcze bardziej? Inni argumentowali, że sądząc po dotychczasowej serii, miał rację licząc na układ sześciokartowy.

Sabrina odmówiła udziału w powszechnej debacie, woląc zachować swoje myśli dla siebie. Mimo że nie rozumiała Grahama do końca, była jedyną osobą na sali potrafiącą pojąć przyczynę jego postępowania. Tu nie chodziło tylko o emocje związane z hazardem. Podejmując ryzyko Graham udowodniał sam sobie, że jest psychicznie silniejszy od przeciwnika. Tego rodzaju imperatywy były obce Sabrinie, ale wiedziała, jak ważne to było dla Grahama. Jeszcze dziwniejsze było to, o czym Sabrina również wiedziała, że Graham, mając już poczucie zwycięstwa, potrafił niespodziewanie ustąpić, aby dać poczucie siły przeciwnikowi – słabość do wykorzystania w przyszłości. Właśnie teraz stosował tę strategię – pokonał już przeciwnika swym pięciokartem, a teraz był gotów przegrać grę.

Graham spojrzał na kelnerkę, która na polecenie Schradera przyniosła mu szklankę wody Perrier. Wypił pół szklanki jednym haustem. – Zagrajmy w następujący sposób – powiedział. – Henri da mi szóstą kartę zakrytą, natomiast sobie dołoży do sześciu. Jeżeli będzie miał furę, a ja dostanę szóstkę lub wyżej, ja wypłacam dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jeśli bank będzie miał furę, a ja piątkę lub niżej, bank mi płaci. To nada tej grze nieco smaku.

Schrader zgodził się i wytłumaczył obserwatorom zasadę. Znowu zaczęły się zakłady.

– Proszę o kartę.

Henri podał kartę i położył ją przed Grahamem grzbietem do góry. Następną kartę odkrył. –

Czwórka – ogłosił. Miał więc dwanaście punktów w dwu kartach, najgorszy z możliwych układów. Następna karta – dama. Fura, czyli „biust”.

Graham wziął do ręki pięć odkrytych już kart i powoli sięgnął po szóstą, zakrytą. Odkrył ją minimalnie tak, aby nikt poza nim nie widział, pokręcił głową, złożył razem wszystkie sześć kart i wręczył je Henriemu. Drago uśmiechnął się do siebie. Sabrina zamknęła oczy i cicho przekleła Grahama. Tym razem posunął się za daleko.

Henri odkrył wszystkie sześć kart, policzył je i rozłożył na stole. – Bank ma nadmiar – ogłosił. – Pan Graham w sześciu kartach ma dwadzieścia punktów. Zgodnie z zasadami tego domu panu Grahamowi należy się poczwórna stawka, która wynosiła dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Bank jest winien panu Grahamowi jeden milion dolarów.

Graham dostrzegł, jak uśmiech na twarzy Drago zamiera. Sięgnął po szklanekę i dopił ją jednym haustem.

Sabrina miała okrągłe oczy, gdy do niej podszedł.

– Myślałam, że przegrałeś!

– Taak? – odparł nonszalancko.

– Jest pan intrygującym człowiekiem, panie Graham – powiedział Schrader z półuśmiechem.

Po co pan stawiał na szóstą kartę?

– Powiedzmy, że to przeczucie.

Schrader przysiadł na taborecie obok Grahama i wyciągnął rękę do Drago, który podał mu oprawną w skórę książeczkę czekową. Wyjął z kieszeni złote pióro i zdjął skuwkę. – Czy przyjmie pan czek, czy życzy pan sobie w gotówce?

– Proszę odjąć żetony, które wzięłem na początku gry, a całą resztę przeznaczyć na cele charytatywne zgodnie ze swoim własnym przekonaniem. Jestem pewien, że panna St Jacques dopilnuje, żeby zostały właściwie zużytkowane.

Ręka Schradera zamarła w powietrzu; przeciągle przyjrzał się Grahamowi. – Zdziwiał mnie pan coraz bardziej, panie Graham.

– Nie rozumiem, dlaczego. Macie przecież sporo slumsów w Rio, w których te pieniądze na pewno znajdują właściwe zastosowanie, zwłaszcza jeśli pomogą one dzieciom.

– Jestem przewodniczącym fundacji, która zajmuje się wyłącznie dziećmi. Nazywa się Amanha, co znaczy „Jutro”. Myślę, że nazwa tłumaczy wszystko.

– To wspaniale – ucieszył się Graham. Schrader wypisał czek i wręczył go Siobhan. Wstał i uściskał dłoń Grahama. – Dziękuję, to wspaniały gest.

– Tylko o tyle, o ile dzieci odniosą z tego korzyść – powiedział Graham.

– Odniosą, zapewniam pana. – Schrader odwrócił się do otaczających ich ludzi. – Show się skończył. Wracajmy do stolików, bo muszę mieć jakiś dochód na pokrycie tego czeku!

Rozległ się huragan śmiechu, ludzie zaczęli się rozchodzić i podejmować przerwana grę.

– Pozwolicie państwo postawić sobie drinka? – Schrader zwrócił się do Sabriny i Grahama.

– Tę kolejkę my stawiamy. Potrzebny panu dochód, zapomniał pan? – odpowiedziała Sabrina z uroczym uśmiechem.

Schrader roześmiał się głośno. – Trzymam za słowo. – Podeszli razem do baru.

– Mike...

– Przestań – uciał ostro. – Pieniądze i tak pójdą do UNICEF.

– To były twoje pieniądze i ty o tym wiesz.

– Słuchaj, pieniądze tak zarobione nic dla mnie nie znaczą. Nie potrzebuję ich. Za to te dzieciaki potrzebują każdego centa. – Graham wstał. – Chodź, czekają na nas przy barze.

Zaproszono ich do stojącego przy barierce prywatnego stołu Schradera, skąd widać było całe kasyno. Schrader zaczekał, aż kelnerka odejdzie. – Urządzam jutro doroczne przyjęcie w moim domu, zawsze w pierwszy wieczór karnawału. Siobhan podała świetną myśl – może byście państwo przyszli? Jeżeli, oczywiście, nie macie innych planów.

Sabrina skinęła głową. – Chyba niczego nie planowaliśmy, prawda Mike?

– Nie. – Graham uśmiechnął się do gospodarza. – Przyjdziemy z największą przyjemnością, o ile nie sprawi to panu dodatkowych kłopotów.

– Ależ skąd! A więc ustaliliśmy. Jutro rano przyślę zaproszenie do hotelu. Samochód przyjedzie po państwa, powiedzmy, o ósmej trzydzieści wieczorem. Tylko jedna prośba – miejcie ze sobą zaproszenie. To ze względów bezpieczeństwa, na pewno państwo rozumiecie.

Kelnerka wróciła z drinkami i Graham zapłacił.

– Pójdę się odświeżyć. – Siobhan spojrzała znacząco na Sabrinę i oddaliła się od stołu. Po chwili Sabrina również przeprosiła i razem z Siobhan poszły do toalety.

Przechodząc pod łukowatym przejściem Siobhan delikatnie skierowała Sabrinę do jednego z pomieszczeń. Gdy weszły, wyjęła z torebki kopertę i podała Sabrinie. – Przez cały wieczór nie miałam okazji, aby wam to przekazać. Podobno mówisz po portugalsku?

– Trochę. – Sabrina wyjęła z koperty kartkę, na której nakreślone były trzy zdania ołówkiem. Przetłumaczyła cicho: „Duży zrzut narkotyków jest oczekiwany w Rio w ciągu najbliższych dni. Pan André Drago może być w to wmieszany. Musimy się pilnie spotkać”.

– Nie mogę w to wchodzić. Mogłoby mnie to zdekspirować.

– Czy rozmawiałaś już z twoim informatorem? – spytała Sabrina.

Siobhan pokręciła głową. – Dzwoniłam do niego, gdy tu przyszedłam, ale nie było go w domu. Mam zamiar zaraz znowu spróbować.

– Mogę poprosić C.W., aby to sprawdził. Ale czy twój informator będzie z nim rozmawiał?

– Mam pomysł – powiedziała Siobhan po chwilowym namyśle. – Mogę powiedzieć Carlosowi, że C.W. będzie miał ten list ze sobą jako dowód tożsamości, może też wybrać formę spotkania. Zadzwon do C.W. i wytłumacz mu sprawę, a ja wezmę taksówkę i zawiozę list do

hotelu.

- To można zrobić dopiero, gdy dodzwonisz się do twojego informatora.
- Powinien już być w domu – odrzekła Siobhan patrząc na zegarek. – A co z Mike'em?
- Potem mu powiem. Chodźmy.

* * *

Drago stał bez ruchu w pomieszczeniu ochrony w podziemiach klubu, wpatrzony w jeden z dziesięciu ekranów telewizyjnych wewnętrznego systemu, rozmieszczonych na półokrągłej ścianie. Jedna z kamer ukazywała Sabrinę i Siobhan i pomimo że fonii nie było, Drago był w stanie wylapać fragmenty rozmowy na podstawie ruchu ust. Umiejętność tę nabył jeszcze we wschodniej Europie. Zrozumiał prawie całą rozmowę łącznie z fragmentami listu. Był pewien, że pani Graham przeczytała lub przetłumaczyła list głośno, lecz zrozumiał tylko, że coś przybędzie do Rio i że on może być zamieszany. Ale czym było to „coś”? Narkotyki czy koperta? Kim są Grahamowie? Z CIA, jak Siobhan? Odkrył jej powiązania przed rokiem, co nie znaczy, że powiedział o tym Schraderowi. To był jego as w rękawie, do wyciągnięcia w razie potrzeby. Przerwał rozmyślenia, gdy Siobhan i Sabrina skierowały się do wyjścia. Podniósł słuchawkę telefonu i pokiwał palcem na jednego ze strażników. – Dawaj tu Lavallo'a, migiem! – Zadzwoił do recepcji.

– Marisa? – rzucił szybko, zanim recepcjonistka zdążyła się odezwać.

– Tak.

– Tu Drago. Jestem w pokoju ochrony. Jeżeli panna St Jacques lub pani Graham zadzwonią z telefonu w recepcji, chcę wiedzieć, do kogo dzwonią.

– Tak jest, proszę pana.

Rzucił słuchawkę na widełki, gdy do pokoju wszedł Jean-Marie Lavallo, człowiek o posępnej twarzy, około czterdziestki, ze starannie przyciętym czarnym wąsem, o ospowatych policzkach. Był kiedyś starszym oficerem w Tonton Macute, zanim musiał uciekać z Haiti po upadku dynastii Duvalierów w 1987. Tylko Drago o tym wiedział. Oficjalnie, Lavallo pełnił funkcję szefa ochrony klubu Riviera. Nieoficjalnie był najbardziej zaufanym człowiekiem Drago i jego łącznikiem z kontrowersyjnymi oddziałami vigilantes.

Drago wskazał mu na ekran monitora penetrującego foyer. Siobhan stała przy kontuarze recepcji przyciskając słuchawkę telefonu do ucha tak, jakby mówiła coś ostrożnym szeptem. Po odłożeniu słuchawki powiedziała coś do Marisy, która wyjęła spod kontuaru oprawną w skórę książkę. Drago wiedział, że jest to spis telefonów najczęściej używanych przez personel i gości. Siobhan znalazła numer, wykręciła go i wręczyła słuchawkę Sabine.

– Kim jest ta blondynka? – zapytał Lavallo.

– Właśnie chcę się tego dowiedzieć.

Sabrina odłożyła słuchawkę. Siobhan znowu powiedziała coś do Marisy, która dała jej firmową kopertę klubu. Siobhan wydostała z torebki otwartą kopertę, wyjęła z niej kartkę papieru, włożyła do firmowej koperty i zakleiła ją. Pożyczonym od Marisy piórem napisała coś na kopercie i skierowała się do drzwi.

Teraz Marisa zadzwoniła do Drago, który przez chwilę słuchał w milczeniu. – Czy znasz faceta o nazwisku Carlos Montero? – zwrócił się do Lavallo'a.

– Tak, sir. To mały oszust, zarabia głównie jako informator.

– To pasuje. Wygląda na to, że ten Montero przysłał list pannie St Jacques z prośbą o spotkanie. Ale nie ona się z nim spotka, tylko jakiś Whitlock. Spotkanie odbędzie się w Cafe Cana za godzinę. Chcę, żebyś zdjął tego Montero po spotkaniu i dowiedział się, co było w liście. Ale zrób to dopiero, gdy ten Whitlock się oddali. Jest ważne, żeby nie wiedział, że mamy go na muszce.

– Rozumiem, sir. Czy mam go śledzić?

– To niepotrzebne, wiem, gdzie on mieszka.

– Co mamy zrobić z Montero, jak już wszystko wygada?

– Normalnie, wrzucicie ciało do zatoki Botafogo. Rekiny zrobią resztę.

Lavallo wyszedł z pokoju.

Drago wrócił do obserwacji monitorów i patrzył, jak Sabrina i Siobhan idą z powrotem przez kasyno do baru. Teraz najważniejszą rzeczą będzie śledzenie Grahamów i tego Whitlocka. A gdy już będzie wiadomo, kim są, wtedy się ich usunie.

* * *

Whitlock spędził wieczór w pokoju. W głowie miał mętlik od natłoku myśli o Carmen. Chwilami był już gotów zadzwonić do niej, by szukać uspokojenia w jej głosie, jednak rozum podpowiadał mu, żeby tego nie robić, że tego rodzaju akt odsunie ich od siebie jeszcze bardziej. Ona potrzebowała czasu na przemyślenie spraw, co było jasne po ich ostatniej rozmowie. Jego niecierpliwość dwukrotnie już brała górę tego wieczora i dwukrotnie zaczynał już wykręcać numer, ale w ostatniej chwili tłumaczył sobie, że dla niego również jest to kwestia czasu, że jeszcze trochę i sam też da sobie z tym wszystkim radę.

Zadzwoniła Sabrina.

Aż podskoczył z radości na propozycję spotkania z informatorem Siobhan, dawało mu to bowiem możliwość uwolnienia się od dokuczliwych myśli o problemach małżeńskich. Pomimo upału włożył lekką marynarkę, aby móc ukryć kaburę z browningiem, odebrał z recepcji kopertę, która już tam na niego czekała, i wyszedł z hotelu rozglądając się za taksówką.

Cafe Cana była małą knajpką przy Avenida Presidente Vargas, najbardziej ruchliwej ulicy miasta. Whitlock opłacił taksówkę i wszedł do Cafe Cana. Przystanął w drzwiach na chwilę i rozejrzał się. Sabrina powiedziała, że Montero jest łysiejącym trzydziestolatkiem w okularach i że będzie siedział przy trzecim stoliku od drzwi. Był tam rzeczywiście, w jednej ręce trzymał filiżankę kawy, w drugiej pączek. Przed nim leżała gazeta. Whitlock podszedł do stolika i usiadł naprzeciw Montero.

– To krzesło jest zajęte – powiedział Montero nie podnosząc wzroku. – Oczekuję kogoś.

– Ten ktoś tu siedzi.

Montero spojrzał podejrzliwie. – To pokaż swoją kartę identyfikacyjną.

Whitlock położył kopertę na stole. Montero otworzył, spojrzał na swój list i oddał Whitlockowi. – Przepraszam, panna St Jacques powiedziała mi, że przyjdzie Anglik, no i oczywiście spodziewałem się...

– Sądziłeś, że przyjdzie biały?

Montero skinął głową przepraszająco. – Mam nadzieję, że pana nie uraziłem.

– W najmniejszym stopniu. – Whitlock spojrzał na przechodzącą kelnerkę. – Poproszę kawę.

– Powinien pan spróbować tych pączków – powiedział Montero z pełnymi ustami. – Tu są najlepsze w mieście.

– Nie, tylko kawa – powiedział Whitlock do kelnerki i zwrócił się do Montero. – Gdzie się pan nauczył angielskiego?

– Na kursach wieczorowych. Byłem przewodnikiem anglojęzycznych turystów, zanim znalazłem sobie bardziej dochodowe zajęcia. Dobrze, teraz powiem panu, co podsłuchałem wczoraj wieczorem. – Montero wziął następnego pączka i zaczął mówić z pełnymi listami. – Piłem właśnie drinka w barze na Pasteur Avenide, gdy weszło pięciu mężczyzn i usiadło przy stoliku obok.

Whitlock chwycił Montero za przegub, gdy ten chciał włożyć sobie do ust kolejnego pączka. – Albo jesz, albo mówisz, ale nie jednocześnie.

Montero odłożył pączka na talerz. Wróciła kelnerka i postawiła kawę przed Whitlockiem, zostawiając rachunek na brzegu stolika.

– Może te pączki rzeczywiście są ci niezbędne do życia – mruknął Whitlock. – Mów dalej.

– Ci faceci należą do szwadronu śmierci André Drago. Słyszał pan o nich?

Whitlock skinął głową.

– Po paru kolejnych cachacas stali się gadatliwi; cachacas to brazylijska tequilla. Nie byli hałaśliwi, ani się nie awanturowali, byli tylko gadatliwi. Słyszałem strzępy rozmowy, wystarczające, aby zrozumieć sens. Zrobiłem trochę notatek na serwetce. – Montero wyjął serwetkę z portfela i rozłożył ją. – Kolumbijski frachtowiec „Palmira”, zmierzający do Montevideo, znajdzie się w pobliżu Rio za parę dni. Gdzieś niedaleko brzegu ładunek heroiny

zostanie przeniesiony z „Palmiry” na „Golcondę”, jacht Schradera. Drago korzysta z jachtu, kiedy chce. „Golconda” nigdy nie będzie śledzona przez policję, więc przynajmniej teoretycznie ładunek może być przewieziony do posiadłości Schradera. To wszystko.

– Kilka pytań. Po pierwsze, jak to się stało, że ty ich znasz, a oni ciebie nie? Przecież musieliście się już kiedyś spotkać?

– Oni mnie dobrze znają, ale nie takiego, jaki jestem teraz. Nosilem długą brodę i włosy do ramion, dopóki nie trafiłem do więzienia. Wszedłem w zeszłym tygodniu, ale bez brody i długich włosów. Po drugie, rozmawialiśmy po angielsku, więc oni sądzili, że żadne z nas nic nie rozumie.

– Napisałeś w liście, że Drago może być wmieszany. Skąd ta niepewność?

– Słyszałem jego nazwisko tylko raz, ale nie dosłyszałem wyraźnie kontekstu.

– A co myślisz?

– Gdybym usłyszał nazwisko Schradera, przysięgłbym, że nie ma z tym nic wspólnego.

W przypadku Drago nie jestem taki pewien.

– Skąd taka pewność co do Schradera?

– Czy panna St Jacques nie mówiła panu o jego synu?

– W dossier UNACO nie było o tym wzmianki.

– Powiem w skrócie. Niedługo po przybyciu do Rio Schrader przeczytał w gazecie o dziesięcioletnim chłopcu ze slumsów, który stracił rodzinę w pożarze. Schrader tak się tym przejął, że adoptował chłopaka. Przez parę lat byli nierozłączni, ale chłopak, gdy dorósł, zaczął brać narkotyki. Schrader dowiedział się o tym dopiero podczas identyfikacji zwłok w kostnicy. Szczeniak przedawkował heroinę. Od tej chwili Schrader prowadzi prywatną wojnę przeciwko brazylijskim baronom narkotyków, zwłaszcza tym z Rio.

– A skąd niepewność co do Drago?

– Sposób, w jaki wypełniał instrukcje Schradera w *favelas* nie zyskał mu sympatii u mafii narkotykowych. Dopóki nie zorganizujemy sobie gdzieś własnej sieci dystrybucji, nie widzę dla niego większych możliwości w tym interesie.

– A kto tak sądzi?

– Tu właśnie jest niepewność. Nie wykluczałbym, że Drago ma zamiar przechytrzyć Schradera, zwłaszcza po plotce, jaką usłyszałem parę dni temu. Ktoś ze służby twierdził, że słyszał, jak Drago mówił przez telefon, że zostawi Rio niezapomniany prezent pożegnalny, zanim opuści Brazylię na zawsze.

– A tym prezentem mogłyby być narkotyki – wtrącił Whitlock.

– Mogłyby, ale dlaczego miałby opuszczać Brazylię na zawsze? To by znaczyło, że traci wszystko, czego się tu dorobił przez ostatnie cztery lata. To nie ma sensu.

Whitlock wyjął portfel. – Ile ci jestem winien?

– Nic. Panna St Jacques mi płaci. Ale dziękuję.

Whitlock dopił kawę, zapłacił rachunek i wstał.

Montero spojrzał na niego. – Może jestem kryminalistą, ale nie lubię narkotyków, tak jak i tego faceta. Niech go pan powstrzyma, dopóki nie jest za późno.

Montero patrzył przez okno, jak Whitlock zatrzymuje taksówkę i wziął do ręki gazetę. Dziesięć minut później wyszedł na zewnątrz. O tej porze ruch na Avenida Presidente Vargas był bardzo duży, więc zdecydował się jechać metrem. Pogwizdując, z rękami w kieszeniach skierował się w kierunku Central, najbliższej stacji metra. Nagle drzwi stojącego w pobliżu mercedesa otworzyły się i z samochodu wyszedł Lavallo. Montero spojrzał do tyłu dwaj ludzie Lavallo'a odcinali mu odwrót. Był nie uzbrojony, samotny i przerażony. Miał tylko jednej możliwość ucieczki – w poprzek ruchliwej ulicy. Wpadł na pierwszy pas ruchu, gdzie srebrny BMW minął go o centymetry, lecz gdy kierowca przycisnął hamulec, od tyłu wpadła na BMW ogromna ciężarówka. Dwaj mężczyźni spojrzeli na Lavallo'a oczekując instrukcji, lecz ten pokręcił tylko głową. Montero, który znajdował się teraz na drugim pasie ruchu, próbował uskoczyć przed nadjeżdżającym autobusem, lecz został zaczepiony wysięgnikiem bocznego lusterka. Silne uderzenie w plecy pchnęło go wprost pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Przypuszczalnie nie żył już w chwili, gdy wpadł pod kabinę kierowcy.

Lavallo wsiadł szybko do mercedesa i kazał zatrzymać się obok stojącej ciężarówce. Spojrzał na leżące pod samochodem ciało, zaklął i polecił wracać do klubu Riviera.

* * *

– Co o tym myślisz? – Sabrina spytała Whitlocka, gdy ten skończył relacjonować swoją rozmowę z Montero.

Ona i Graham wrócili do hotelu w godzinę po Whitlocku i poszli prosto do jego pokoju, aby omówić zdarzenia dnia.

– Pamiętasz, co Siobhan mówiła o „Golcondzie”? Tylko Schrader i Drago mogą jej używać. Po tym, co Montero powiedział o Schraderze, nie sądzę, aby ten maczał w tym palce. Zostaje więc Drago. Jest kilka znaków zapytania, ale jestem przekonany, że on za tym stoi.

– Zgadzasz się – powiedział Graham. – A to oznacza, że skończyło się dla ciebie „zabezpieczanie tyłów”. Jeśli ta heroina ma być przerzucona jutro w nocy, to twoją sprawą jest ich zatrzymać.

– Nie mogę zrobić tego sam.

– Zadzwoń do Siergieja, on aż podskoczy na możliwość wyjścia zza biurka – poradziła Sabrina.

– Zadzwoń teraz. – Graham wskazał telefon. – On teraz ogląda w telewizji *Jeopardy* albo

któryś z tych quizów.

– Zadzwońię przed położeniem się spać. Przy okazji złożę raport.

– Ja już teraz idę spać. – Graham tłumiąc ziewanie spojrział na Sabrinę. – Idziesz?

Skinęła głowę. – Zmęczyło mnie to kasyno.

– Zanim pójdziecie, chciałbym mieć jasność co do mojego planu na jutro. Mam się spotkać z tym facetem od Siobhan, Silva, który pracował dla Schradera i który zna jego prywatne galerie.

– Tak – zgodził się Graham. – Po prostu dlatego, że ty możesz tu wszędzie chodzić nie zwracając na siebie uwagi *favelados*. Biała skóra wciąż budzi ich wrogość. Za to wczesnym popołudniem ja umieszczę dla ciebie urządzenie sterujące na „Golcondzie”.

Obaj spojrzeli na Sabrinę. Wywróciła oczy. – Okay, cały dzień spędzę z Siobhan wybierając kostium na przyjęcie. Wcale nie mam na to ochoty.

– Mike, jak doszedłeś do tego, że ty wcale nie musisz się ubierać na te party? – spytał Whitlock.

– Tylko babskie stroje się liczą, na szczęście.

– W ramach równości płci – uzupełniła myśl Sabrina.

Sabrina i Graham powiedzieli „dobranoc” i udali się do swego apartamentu dla nowożeńców.

Whitlock rzucił się na łóżko. *Jeopardy*, ulubiony program jego żony. Dlaczego Graham o nim wspomniał? Cały jego ból obudził się ze zdwojoną siłą. Wykręcił numer swego mieszkania w Nowym Jorku, ale rzucił słuchawkę, gdy tylko usłyszał sygnał. Przetarł twarz ręką. Telefon nic nie da. Podniósł jeszcze raz słuchawkę i tym razem wykręcił numer kwatery głównej UNACO.

– Llewelyn i Lee, dobry wieczór – z automatycznej sekretarki odezwał się głos Sary. – Nasze biuro fest zamknięte, lecz jeśli po ustaniu sygnału pan będzie łaskaw podać swoje nazwisko i telefon, jeden z naszych dyrektorów zadzwoni do pana jutro rano.

– C.W. Whitlock, ID 1852963 – powiedział. Po chwili usłyszał „klik” i słuchawka została podniesiona.

– Dobry wieczór, panie Whitlock – powiedział uprzejmie oficer dyżurny.

– Cześć, Dave – powiedział Whitlock i zaczął nadawać zaszyfrowane zlecenie – potrzebny mi B3, G5 i piętnastofuntowe M8 załadowane na samolot w ciągu godziny.

B3 oznaczało łódź bagażową, G5 – przenośny dźwig, a M8 – samoprzyczepną minę.

– Jedna uwaga, panie Whitlock, wszystkie te rzeczy są zapakowane w magazynach.

– No to powiedz tym w magazynach, żeby ruszyli dupy i zrobili, jak mówię. A teraz połącz mnie z Kolczyńskim.

Whitlock złożył Kolczyńskiemu treściwy raport. Kolczyński, poruszony informacją o przerzucie narkotyków, błyskawicznie się spakował i po piętnastu minutach zbliżał się już do lotniska Kennedy’ego.

Rozdział IX

Dzielnica Rocinha jest największa spośród *favelas* i jak wszystkie slumsy Rio, położona jest na zboczu wzgórze w jego górnej części. Dzięki temu, dziwną ironią losu, mieszkańcy *favelas* mają o wiele lepszy widok na miasto i zatokę niż mieszkający poniżej multimilionerzy. To, co zobaczył Whitlock wjeżdżając taksówką do Rocinhii, już na pierwszy rzut oka było ekstraktem nędzy i cierpienia. Nędzne budy z kartonu, sklejki i pogiętej blachy, ułożone warstwowo na zboczu.

Taksówkarz zaparkował jak najbliżej budy, której adres podał mu Whitlock i zgodził się poczekać piętnaście minut. Nie dłużej. Przestrzegwał go również przed podejmowaniem jakichkolwiek rozmów z miejscowymi, gdyż obcy akcent mógłby sprowokować agresję. Turyści nie byli pożądanymi gośćmi w *favelas*. Whitlock podziękował za ostrzeżenie i skierował się w głąb wąskiej uliczki o nierównej powierzchni, pełnej śmieci i robactwa. Gromadka odzianych w szmaty dzieci, które na widok ubrania Whitlocka wybałuszyły oczy, obserwowała go z napięciem zza płotu wykonanego z pogiętych żelaznych prętów. Już miał zamiar dać im jakieś pieniądze, gdy przypomniał sobie ostrzeżenie kierowcy taksówki, tym bardziej że z pobliskiej budy wyłoniła się otyła kobieta, ubrana w kwiecistą sukienkę bez rękawów, i przyglądała mu się natarczywie. Czuć było od niej okropny smród dawno nie mytego ciała. Whitlock przyspieszył i wkrótce dotarł do będącej jego celem rudery. Lekko zapukał do drzwi, jakby w obawie, że pokrzywiona budowla zawali się od silniejszego pukania. Pojawiła się przed nim mała dziewczynka z buzią umazaną błotem, w sukience z rozdartym rękawem. Whitlock odważył się wypróbować na niej swój podejrzany portugalski.

– *Obrigada. Onde fica vossa paí?*

Dziewczynka przyglądała mu się nie mówiąc. Miał już zamiar powtórzyć pytanie, gdy z tylnego pokoju wyszedł siwowłószy mężczyzna.

– *Obrigado* – powiedział niechętnie.

– *Obrigado*. Czy pan jest Silva?

Mężczyzna uśmiechnął się promiennie. – Panna St Jacques mówiła mi, że pan przyjdzie. Proszę wejść. Whitlock był oszołomiony jego nienagannym angielskim. Było to coś zupełnie nieoczekiwanego w tym otoczeniu.

– Jestem Joao Silva – powiedział mężczyzna wyciągając rękę. Whitlock uściśnął ją silnie.

Silva położył dłoń na ramieniu dziewczynki. Moja córka Louisa jest głucha.

Whitlock przykucnął przy niej i wyciągnął przed siebie dłoń z kilkoma monetami. Twarz dziewczynki pojaśniała, błysnęły białe zęby silnie kontrastujące z ciemną skórą. Spojrzała na ojca w oczekiwaniu przyzwolenia. Ten skinął głową. Dziewczynka ostrożnie wzięła po kolei wszystkie monety i wybiegła z pokoju przyciskając swój skarb do piersi.

– Jest pan bardzo uprzejmy. – Silva wskazał jeden z dwu foteli. Oba były mocno zużyte, lecz czyste. – Pański akcent? – spytał Whitlocka, siadając naprzeciw niego. – Eton? Harrow?

– Nic takiego. Tylko Radley.

– Nie słyszałem. Jak pan wie, przez siedem lat byłem służącym pana Schradera i w tym czasie miałem kontakty z mnóstwem jego znajomych z całego świata.

– Więc co się stało? – spytał Whitlock rozglądając się wokoło.

– Oczywiście słyszał pan o André Drago.

– Kilkakrotnie.

– Drago i ja nie znosiliśmy się od dnia jego przybycia do Danae – to nazwa posiadłości pana Schradera. Był zazdrosny o to, że byłem bliżej pana Schradera niż on. Więc mnie wystawił. Podrzucił do mojego pokoju parę osobistych rzeczy pana Schradera, no i zostałem wylany z pracy. W dodatku Drago uprzedził mnie, że jeśli dostanę jakąkolwiek inną robotę, to on zadzwoni do pracodawcy i doniesie, że jestem złodziejem. I rzeczywiście, żadnej pracy nie mogłem utrzymać. W rezultacie porzuciła mnie żona i teraz wszystko, co mam, to Louisa.

– I to wszystko z tej zazdrości?

– Tak. Przyjął, że jestem dla niego zagrożeniem, – Silva smutno potrząsnął głową. – Ludzie uważali go za wybawcę. Widzieli tylko to, co chcieli widzieć.

Whitlock patrzył na łysy dywan. – Czy panna St Jacques powiedziała, czego od pana oczekuję?

– Tak. Mam tu wszystko. – Silva wręczył mu plik kartek. – To jest dokładny plan domu, tak jak go pamiętam. Oczywiście, pan Schrader mógł coś zmienić od tamtego czasu.

– A galerie?

– Dokładnie oznaczyłem „sanktuarium”.

– Sanktuarium?

– To jest galeria, w której pan Schrader potrafi siedzieć godzinami, zwłaszcza gdy coś go trapi. Tam się najlepiej odpręża i uspokaja. Ktoś z jego przyjaciół nazwał ją „sanktuarium” i tak się przyjęło. O ile wiem, z tyłu za „sanktuarium” jest jeszcze jedna galeria, ale pan Schrader nigdy nikogo tam nie wpuszcza.

– A czy wie pan, co on tam trzyma?

– Oryginały. Przynajmniej tak mi kiedyś powiedział.

– I tylko on ma dostęp?

– Tak. Wiem, że drzwi są zdalnie otwierane za pomocą urządzenia, które przechowuje w sejfie w sypialni. Oznaczyłem ten sejf na planie.

Whitlock przejrzał pobieżnie rysunki, następnie wyjął z kieszeni kopertę i podał Silvie. – Pięćdziesiąt tysięcy cruzeiros, tak jak pan uzgodnił z panną St Jacques.

Silva wziął kopertę z pewnym ociąganiem. – Nienawidzę samego siebie za to, że sprzedaję

pana Schradera, bo był dla mnie bardzo dobrym pracodawcą. Robię to tylko dla Louisy, ona tego bardzo potrzebuje.

– Dokąd się pan uda?

– Do Urugwaju. Mój kuzyn jest zarządcą na farmie niedaleko Tacuarembó. Już dawno mi mówił, że załatwi mi pracę, jedynym problemem były pieniądze na podróż. Wiem, że tam też nie znajdziemy się w raju, ale przynajmniej Louisa będzie mogła wychowywać się z dala od nędzy Rocinhii. Jaką miałaby tu przyszłość?

Whitlock życzył mu powodzenia i wrócił do taksówki.

* * *

Czerwony buick był tak stary i poobijany, że nawet w Rocinhii nie zwracał na siebie uwagi. Tego właśnie chciał Drago. Również dla zachowania anonimowości miał na sobie zielonkawą kombinezon, kapelusz panama i ciemne okulary. Larrios, osobisty kierowca Drago, oraz siedzący obok niego Lavallo mieli na sobie podobne kombinezony i baseballowe czapki. Wszyscy trzej byli uzbrojeni.

Larrios zatrzymał samochód, wyskoczył z niego i otworzył drzwi przed Drago. Lavallo nakręcił tłumik na lufę walera P5, wsunął pistolet do kieszeni i podążył za Drago wzdłuż szeregu tekturek chat. Drago otworzył zrobione ze sklejki drzwi jednej z nich i wszedł do środka. Na środku pokoju stała skórzana torba. Drago zaczął się jej przyglądać, gdy z sąsiedniego pomieszczenia wyszedł Silva. Stał jak wryty na widok Drago, spojrzał za siebie na Louise siedzącą tyłem do drzwi sypialni.

– Czego tu chcecie? zapytał cierpko. Nie jesteście tu mile widziani.

– Od kiedy to...

– W porządku – Drago przerwał Lavallo'owi – Joao nie może mi wybaczyć, że nakryłem go na kradzieży u pana Schradera.

– Kradzieży? – warknął Silva. Dobrze wiesz, że mnie wrobiłeś.

– Dziwne, że nikt ci nie uwierzył. – Drago trącił nogą torbę podróżną. – Wybierasz się gdzieś?

– Nie twój interes.

– Chyba nie – odparł Drago obojętnie. Opowiedz mi o tym Angliku, który był u ciebie dziś rano. A zanim zaprzeczysz, wiedz, że informacja od taksówkarza, który go tu przywiózł, jest tylko jedną z kilku, jakie mam na ten temat.

– Anglik przyszedł dowiedzieć się czegoś o panu Schraderze. Powiedziałem, że w niczym nie mogę mu pomóc, więc sobie poszedł.

– Po piętnastu minutach? Nie wygłupiaj się, Joao. Jak on się nazywał?

– Nie wiem – odpowiedział Silva zgodnie z prawdą.

Drago objął Silvę ramieniem i zaprowadził go do drzwi sypialni. – To jest śliczna mała dziewczynka. Byłoby straszne, gdyby coś się jej stało.

Złość znikła z twarzy Silvy. – Panie Drago, proszę, niech pan nie robi jej krzywdy.

– Ja na pewno jej nie skrzywdzę, ale Lavallo robił już z dziećmi takie rzeczy, że niedobrze mi się robi, gdy o tym pomyślę. Nie zmuszaj mnie do tego, żebym mu na to pozwolił.

Silva poczuł, jak pot spływa mu po plecach. – Odpowiem na pańskie pytanie, tylko nie ruszajcie jej.

Drago przysiadł na poręczy krzesła. – Kim był ten Anglik?

– Nie wiem, nie podał nazwiska. Proszę, panie Drago, musi mi pan uwierzyć.

– Wierzę ci, Joao – odparł z uspokajającym uśmiechem. – Kto zorganizował spotkanie?

– Panna St Jacques.

– Czego chciał?

– Planów Danae.

– Planów? – Drago był zaintrygowany. – Jakiego rodzaju?

– Planu budynku.

– A czego w szczególności?

– „Sanktuarium”.

– Interesujące. – Drago wstał i wskazał na torbę. – Więc sprzedałeś mu plan za pieniądze na wyjazd?

– Zrobiłem to dla Louisy, ona tego potrzebuje bardziej niż ja.

– Bardzo wzruszające. – Drago spojrzął na Lavallo'a. – Zabij go.

Lavallo wyciągnął pistolet i strzelił Silvie w samo serce. Silva przegiął się do tyłu i upadł ciężko na podłogę. Louisa odczuła wibrację upadku. Dziewczynka podeszła do drzwi, w jej oczach był strach i niepewność.

– Co z nią? – zapytał Lavallo starając się uniknąć wzroku dziecka.

– A co myślisz? Jest świadkiem. – Drago skierował się do wyjścia. – Przyślę ci ludzi, żeby pomogli sprzątnąć ciała.

Wrócił do buicka i kazał Larriosowi wieźć się do klubu Riviera. Po opuszczeniu Rocinhii zdjął kombinezon, kapelusz i okulary, zostając w białej koszuli i czarnych spodniach. Ze schowka przy kierownicy wyjął krawat i zawiązał go, następnie sięgnął do tyłu i wziął stamtąd marynarkę. Założył okulary w metalowej oprawie, tkwiące dotąd w kieszonce marynarki. Kazał Larriosowi zatrzymać się dwieście metrów od klubu Riviera, wysiadł i patrząc na swe odbicie w oknie wystawy, poprawił krawat. Resztę drogi do klubu pokonał pieszo.

– Dzień dobry, panie Drago – w foyer powitała go Marisa.

Skinął głową w odpowiedzi. Wziął egzemplarz „New York Timesa” ze sterty gazet leżących

na kontuarze. – Powiedz w barze, żeby mi przysłali piwo do biura i połącz mnie z Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. – Wszedł do swego biura na drugim piętrze, usiadł przy biurku i zaczął studiować wiadomości giełdowe.

Zadzwoił telefon. Drago podniósł słuchawkę.

– Metropolitan Museum na linii, panie Drago.

– Halo? Halo? – krzyknął do słuchawki Drago.

– Czym mogę służyć? – zapytał spokojnie kulturalny damski głos.

– Z Milsem Van Dehmem proszę.

– Przełączam do pana Armanda.

Ktoś podniósł drugą słuchawkę.

– Louis Armand, czym mogę służyć?

– Chciałbym mówić z Milsem Van Dehmem. Operatorka przełączyła mnie do pana.

– Obawiam się, że pana Van Dehna już tu nie ma. Wrócił do Amsterdamu kilka dni temu.

Niech pan zadzwoni do Rijksmuseum, zaraz podam ich numer...

Drago odłożył słuchawkę i zaczął kartkować notatnik. Znalazł numer i wykręcił go. – Poproszę z Milsem Van Dehmem – powiedział, gdy odezwało się Rijksmuseum.

– Chwileczkę, sir.

Drago sięgnął po paczkę papierosów i zapalił.

– Goedemiddag, profesor Hendrik Broodendyk.

– Próbuję znaleźć Milsa Van Dehna – powiedział Drago, czując narastającą złość.

– Obawiam się, że Milsa nie będzie w pracy przez parę najbliższych dni. Może chce pan zostawić wiadomość?

– Nie, dziękuję. – Drago odłożył słuchawkę i mocno – zaciągnął się papierosem. Dlaczego przełączyli do Broodendyka?

Pukanie do drzwi przerwało jego myśli. Wszedł kelner, niosący na tacy szklankę i butelkę piwa Brahma. Drago podpisał kwit i wykręcił domowy numer Van Dehna. Odpowiedzi nie było. Miał jeszcze jednego asa w rękawie – Van Dehn podał mu numer telefonu teściowej, do użytku tylko w szczególnych okolicznościach.

Telefon odebrała kobieta.

– Czy mogę mówić z Milsem?

– Nie ma go tu. Chce pan mówić z jego żoną? – wolno sączyła słowa z silnym holenderskim akcentem,

– To nie jest konieczne. Czy wie pani, gdzie on jest?

– Ameryka. Pojechał tam z obrazem...

– Dziękuję, bardzo mi pani pomogła – Drago skończył rozmowę.

Zatem instynkt dobrze mu podpowiadał – zamiana została zauważona.

Zatelefonował jeszcze raz, by zorganizować pomoc w usunięciu ciał z Rocinhi. Potrzebował Lavallo'a, żeby omówić szczegóły nocnej wyprawy „Golcondy”. Lavallo miał być nie tylko szypem „Golcondy”, miał również, reprezentować Drago wobec kapitana „Palmiry”, który według wszelkich przypuszczeń chciał naciąć go nieco na wielkości ładunku. Ładunek heroiny, który dziś miał być przekazany, został dwa miesiące wcześniej zakupiony u kolumbijskiego barona narkotyków za cztery miliony dolarów w gotówce, które Drago regularnie podkradał Schraderowi przez ostatnie dwa lata. Był więc zdecydowany uzyskać wszystko co do jednego grama. Po przeniesieniu na „Golcondę” towar będzie nieco sfalszowany i podzielony na porcje gotowe do sprzedaży. Wtedy heroina zostanie przerzucona do Miami, gdzie Schrader od lat udawał się po zakończeniu karnawału w Rio. I nikt nie domyślał się, że po wyładowaniu heroiny na ląd, Drago zniknie na zawsze. Kluczem do bram nowego życia będzie koperta. Życia, w którym nie będzie musiał się obawiać, że jego dawni koledzy z wywiadu są już gotowi do wykonania wyroku śmierci, wiszącego go nad nim stale od momentu ucieczki na Zachód. A wyrok ten podtrzymywała w stosunku do niego CIA. Teraz Drago się zemści na kraju, który według niego był wszystkim winien. Każdego lata Floryda jest zalewana przez tysiące młodych ludzi przyjeżdżających na wakacje. Wciągnie ich w nałóg z pomocą śmiertelnego i bardzo taniego narkotyku; na jego działkę każdy uczeń będzie sobie mógł pozwolić. Gdy zapas taniej heroiny się wyczerpie, młodzi, wygłodzeni nałogowcy będą musieli kupować towar po pełnej cenie. Ponieważ tylko nielicznych będzie na to stać, Florydę zaleje ogromna fala przestępczości, popychająca tysiące szczeniaków na skraj samowyniszczenia. Taką właśnie zemstę na Ameryce wymyślił sobie Drago.

Według Drago największa ironia losu kryła się w tym, że operacja opierała się na Schraderze. Jego pieniądze umożliwiły zakup heroiny, jego jacht zawiezie ją do Miami. Jeśli coś się nie powiedzie, cała wina spadnie na Schradera.

* * *

Srebrzyście połyskująca „Golconda” długości 130 stóp, ze stalowym kadłubem, aluminiową konstrukcją wewnętrzną i tekowym pokładem, była dumą i ulubioną rozrywką Schradera od czasu, gdy kupił ją cztery lata temu w Italian Versicraft Shipyards. Poza luksusową kabiną właściciela, była wyposażona w pięć dwuosobowych kabin dla gości, solarium, salon, pokój jadalny i kuchnię pozwalającą na pięciomiesięczne przebywanie na morzu. Zasilały jacht dwa dieslowskie silniki Caterpillar Marine, pozwalające na rozwinięcie dwunastu węzłów szybkości podróźnej i piętnastu węzłów szybkości maksymalnej.

Graham zaparkował wypożyczone audi quattro koło siatki ogrodzeniowej i spojrzał na „Golcondę” zacumowaną w odległości dwudziestu jardów od niego przy prywatnym nabrzeżu.

Jacht wyglądał na opuszczony, lecz Graham wiedział, że pod pokładem przebywa co najmniej dwóch uzbrojonych strażników. Początkowo miał zamiar przyczepić nadajnik do kadłuba statku poniżej linii wodnej, lecz Siobhan powiedziała, że od czasu, gdy znaleziono minę w pobliżu silnika, przed każdym rejsiem członek załogi sprawdzał cały kadłub statku. Pozostawała tylko jedna możliwość umieścić urządzenie gdzieś wewnątrz statku.

Graham wysiadł z samochodu i uniosł znad oczu słoneczne okulary. Miał na sobie jasnożółtą koszulkę, chustkę okrywającą bliznę na szyi, bermudy, sandały i popularny w Teksasie kapelusz typu stetson. Był teraz Duane'em Hitchinsem, postacią, którą sobie wymyślił jeszcze w Delcie – hałaśliwym, nieznośnym teksańczykiem, mającym mnóstwo forsy i niewielu przyjaciół. Pierwowzór stanowił pewien oficer, z którym los zetknął go jeszcze w Wietnamie. Duane Hitchins pojawiał się wtedy, gdy sytuacja wymagała specjalnych zabiegów, a potrzeba wtargnięcia na prywatny, pilnowany przez goryli jacht taką sytuację stwarzała. Duane powinien teraz popaść w kłopoty, a ludzie zazwyczaj marzyli tylko o tym, aby pozbyć się go jak najprędzej.

Bramka była zamknięta. Graham wyjął z kieszeni zestaw kluczy i szybko uporał się z zamkiem. Gdy wszedł na pokład, nadal nikt się nie pojawił. Rozejrzawszy się wokół podszedł do rozsuwanych drzwi salonu. Nie były zamknięte. Otworzył je, lecz gdy wszedł, włączył się przeraźliwy sygnał alarmowy. Graham rozglądał się przez chwilę, szukając miejsca odpowiedniego do ukrycia sterownika, gdy pojawił się strażnik uzbrojony w półautomatyczny star Z-84. Graham był już Duane'em Hitchinsem, myślącym i reagującym jak on. Uśmiechnął się nerwowo, lecz nie zrobił najmniejszego ruchu, nie chcąc przypominać strażnikowi o palcu na cynglu.

– Może mógłbyś coś zrobić z tym cholernym hałasem? – zapytał z teksańskim akcentem.

Strażnik nic nie powiedział. Do salonu wszedł wysoki blondyn i przytknął palcami na jednego ze strażników, który natychmiast pobiegł wyłączyć urządzenie alarmowe.

– Do diabła, teraz lepiej – powiedział Graham, gdy sygnał zamilkł. – Masz tu niezłego wyjca, chłopie. Ty jesteś tu kapitanem?

– Tak, kapitan Horst Dietle – odpowiedział blondyn z wyraźnym niemieckim akcentem. – Kim pan jest?

– Duane Hitchins, do usług. – Wskazał na półautomat wymierzony w jego brzuch. – Wiesz, ta zabawka nieco mnie denerwuje.

Dietle kazał opuścić broń. – Co pan tu robi?

Graham rozsiadł się na najbliższym fotelu, z zagadkowym wyrazem twarzy. – Wicie, mam dla was cholernie dobrą ofertę.

– Ofertę?

– *Yeah*, słyszałem w hotelu plotkę, że ta łajba jest na sprzedaż. Przebijam wszystkie

dotychczasowe propozycje.

– Ten jacht nie jest na sprzedaż – odparł Dietle z oburzeniem.

– Kurczę, chyba żartujesz?

– Ten jacht należy do pana Schradera i nie jest na sprzedaż.

– Idź, zadzwoń do Marty’ego, niech poda cenę. Sam się zajmę barem, chyba macie tu burbona?

– Pan Schrader nie sprzedaje „Golcondy” – warknął Dietle, złość zaczynała być widoczna na jego twarzy. – Albo opuści pan statek, albo aresztuję pana za wtargnięcie.

– Okay, już się wynoszę. – Graham wstając podparł się rękami i wsunął jednocześnie nadajnik w szczelinę fotela. – Powiedz Marty’emu, że dzwoniłem, słyszysz? Jak zmieni zdanie, znajdzie mnie w Palace Hotel.

Dietle przez chwilę obserwował oddalającego się Grahama, następnie dał strażnikom reprimendę za pozostawienie otwartej bramki. Zaczęli protestować, lecz kapitan uciął rozmowę, rozkazując starannie zamknąć bramkę za Grahamem.

Zniknąwszy z ich pola widzenia, Graham zdjął kapelusz z głowy i rzucił go na tylne siedzenie. Włączył radio, znalazł muzykę i podśpiewując pojechał do hotelu.

Recepcję hotelu okupowała grupa świeżo przybyłych turystów. Grahamowi udało się jednak zdobyć klucz do pokoju, po czym przez labirynt toreb i walizek dotarł do windy. Wcisnął guzik i stanął w oczekiwaniu trzymając kapelusz w rękach.

– Podoba ci się w Rio, Duane?

Graham obejrzał się i szeroko uśmiechnął do Kolczyńskiego. – Siergiej? Kiedy przyjechałeś?

– Parę godzin temu. Mieszkam w Caesar Parti Weszli do windy i Graham wcisnął siódme piętro

– Co robiło twoje alter ego tym razem? Graham opowiedział, co się działo na pokładzie „Golcondy”.

Kolczyński zaśmiał się. – Z Duane’a zrobili Twaina, nie sądzisz?

– Nie jestem pewien, czy to komplement, czy obelga.

Wyszli z windy i skierowali się do pokoju.

– Sabriny teraz nie ma – powiedział Graham. – Wróci po południu.

– Gdzie jest?

– Zaczekaj, najpierw zmienię te łańcuchy.

– Czy C.W. jest tutaj?

– Powinien być.

Kolczyński rozglądał się po pokoju. – Przyjemni tu. Bardzo przyjemnie.

– Musi być przyjemnie, to jest pieprzony apartament dla cholernych nowożeńców.

Kolczyński usiadł tłumiąc śmiech. – Zadzwoń do C.W., spotkamy się na basenie, jest za

gorąco, żeby siedzieć w pokoju.

– Sabrina zapisała jego numer, powinien być przy telefonie – zawołał Graham z sypialni.

Kolczyński wykręcił numer, lecz nie było odpowiedzi. Zadzwoił więc do recepcji i poprosił o znalezienie C.W. Gdy Whitlock po chwili zadzwonił, okazało się, że już jest na basenie. Umówili się za parę minut. Graham wyszedł z sypialni ubrany w niebieskie szorty i białą koszulkę. Zjechali na parter.

Whitlock, w slipach i z ręcznikiem na ramieniu, machał do nich z daleka. Podeszli do stolika pod parasolem. Natychmiast zjawiał się kelner, przyjął zamówienie i odszedł.

– Wygląda na to, że się nieźle bawisz – powiedział Kolczyński wycierając pot z szyi.

– Robię, co mogę. – Whitlock nie ukrywał zadowolenia z życia.

Kelner wrócił z napojami i Graham podpisał rachunek.

Kolczyński pociągnął wielki haust piwa i otarł usta z piany. – Który mi opowie, co jest grane?

Graham i Whitlock zrobili to po kolei.

– Więc jeszcze nie miałeś czasu przyjrzeć się tym planom? – spytał Kolczyński Grahama.

– Jeszcze nie.

– Mam je ze sobą. – Whitlock wskazał na plik papierów leżących na stoliku. – Rysunki nie są zbyt fachowe, ale szczegóły opisano bardzo dobrze.

Graham zaczął studiować rysunki.

– Jaki jest ten jacht, który wynajęłeś? – spytał Kolczyński Whitlocka.

– Cokolwiek stary, ale silnik jest w dobrym stanie. To pierwsza rzecz, którą sprawdziłem. – Whitlock pociągnął nieco piwa. – Czy były kłopoty z towarem, który wczoraj zamówiłem?

– Żadnych. Gdy przybyłem na lotnisko Kennedy’ego, wszystko już było w samolocie. Teraz zabawki znajdują się na lotnisku, w dwóch skrzyniach, więc możemy je przenieść na jacht nie wzbudzając podejrzeń.

– Jakie wieści od Grupy Operacyjnej nr 2?

– Zaatakują więzienie dziś w nocy, o dwudziestej czasu libijskiego. – Kolczyński spojrzął na zegarek. – Sześć godzin do tyłu.

– Jakie są szanse?

– Dobrze. Nie są tak ograniczeni w działaniach jak wy wtedy w Maroku. Maroko podpisało kartę UNACO, a Libia zawsze odnawiała współpracy z nami.

– Jak to zrobią? – spytał Graham.

– Jeśli nie będzie innego wyjścia, to zastosują zmasowany ogień. Co zresztą nie znaczy, że mają odtwarzać scenariusz Rambo.

Whitlock odsunął szklanki i wstał. – Już trzecia, Siergiej. Mamy dziś mnóstwo roboty.

Kolczyński skinął głową i lekko trącił Grahama w ramię. – Powodzenia w nocy, Mike.

– *Yeah* – wymamrotał Graham gapiąc się w papiery.

– Baw się dobrze, Mike – powiedział Whitlock ze słabym uśmiechem. Wszyscy wiedzieli, jak pan Graham nie lubi hałaśliwych imprez.

– *Yeah* – powtórzył Graham nie odrywając wzroku od planów Silvy.

Kolczyński i Whitlock wymienili rozbawione spojrzenia i poszli w kierunku foyer.

Graham studiował plany jeszcze przez piętnaście minut, aż doszedł do wniosku, że zapamiętał wszystko. Zwinął papiery i zamówił kolejną butelkę wody Perrier.

Rozdział X

– Jesteś już gotowa? – zawołał Graham przebieżąc; zamknięte drzwi łazienki.

– Jeszcze pięć minut – odkrzyknęła Sabrina.

Graham pokręcił głową z niedowierzaniem – zajmowała łazienkę już od godziny.

– A ty jesteś gotów? – spytała.

– Od stu lat – odpowiedział kładąc się na łóżku z rękami pod głowę.

– Czy włożyłeś koszulę, którą ci kupiłam?

– Tak – odpowiedzi towarzyszył niechętny grymas twarzy.

Koszula była jedwabna, niebiesko-czerwono-zielona, w rodzaju tych, które mógłby nosić Duane Hitchins. Poza tym Graham miał na sobie dzinsy, płócienne pantofle, czapkę z napisem RIO, a na szyi apaszkę. Cały ubiór podarowała mu Siobhan i Graham czuł się zobowiązany do włożenia go na rozpoczęcie karnawału.

– Siobhan jest bardzo miłą osobą, gdy się ją bliżej pozna – trąkotała Sabrina przez drzwi. – Problem tylko w tym, aby przebić się przez tę jej gwiazdorską pozę.

– Aha – mruknął Graham.

– Miała pod każdym względem piękne dzieciństwo. Matka była alkoholiczką, więc wychowywał prawie wyłącznie ojciec. Gdy ojciec zginął, uciekła z domu i przyłączyła się do gangu młodocianych kieszonkowców działających w bogatych dzielnicach. Po wpadce została odesłana do domu, ale tylko po to żeby się dowiedzieć, że matka ponownie wyszła za męża, a ojczym również jest alkoholikiem. Bił ją, więc ponownie uciekła z domu. Wtedy odkryła ją agencja zatrudniająca modelki. W wieku dwudziestu lat wyszła za męża, jej mąż był niezależnym fotografem działającym w Paryżu. Przeniosła się więc do Francji.

– Czy nadal są razem?

– Nie sądzę. Wyraźnie nie miała ochoty o tym mówić, więc nie nalegałam.

Nie mógł nie spojrzeć na Sabrinę, gdy wreszcie wyszła z łazienki. Miała na sobie obcisłą spódniczkę z białej koronki, srebrzyste bikini i pelerynkę ze srebrzystozłotej lamy luźno zawiązaną pod szyją.

– No, co o tym myślisz?

– Gdybyś tak się pokazała na 5. Avenue, jak nie zamknęliby cię do pudła.

Zaśmiała się. – Przyjmuję to za komplement. W opinii Siobhan jest to strój wysoce konserwatywny. Zdaje się, że tutejsze panie z towarzystwa konkurują między sobą o to, która pokaże się w najbardziej „odważnym” kostiumie podczas karnawału. Im bardziej egzotycznie i erotycznie, tym lepiej.

– Powiedziałbym, że twój kostium jest wystarczająco odważny. – Graham wzruszył ramionami. – Ale być może prowadzę teraz zbyt samotnicze życie.

– Na pewno tak, Mike – uśmiechnęła się do niego.

– Carrie nigdy by czegoś takiego nie włożyła. Ale ona była dość pruderyjna.

Sabrina po raz pierwszy w życiu usłyszała z ust Grahama coś niezupełnie pochlebnego o Carrie. Zawsze mówił o niej, jakby była boginią. Czy było to coś w rodzaju katharsis?

– Były między nami różnice, jak w każdym innym małżeństwie – kontynuował, jakby odpowiadając myślom Sabriny. – Sądzę, że oceniałabyś ją jako typową córkę ortodoksyjnego republikańskiego senatora.

– Jej ojciec był senatorem?

– Senator Howard D. Walsh z Delaware.

– „Jastrząb” Walsh?

– Tak "jastrząb" z powodu swego przekonania o potrzebie twardej polityki wobec Ameryki Środkowej.

– Był biczem na demokratów. Wiem, że mój ojciec nigdy go nie lubił.

– Ja też, ale nie mogłem za bardzo się wychylać ze względu na Carrie.

– Czy ona... była równie radykalna jak on? – zapytała Sabrina pokonując wewnętrzny opór, obawiając się, że Graham zmieni temat, jak to nieraz już robił w przeszłości.

– Sądziś, że poślubiłbym ją, gdyby tak było?

– Czy nadal odwiedzasz jej rodziców?

– Jej matka umarła jeszcze przed naszym ślubem. Ostatni raz widziałem Walsha w dzień po porwaniu Carrie i Mickeya. – Graham podjął wędrowkę wzdłuż pokoju, pięści mu się zacisnęły.

– Wtedy dopiero przekonałem się, jakim hipokrytą jest naprawdę. Jedną z jego obietnic wyborczych było naciskanie administracji Reagana, aby wzmocnić walkę przeciw terroryzmowi bez nadmiernego przebiegania w środkach. Wiesz, co mi powiedział, gdy wróciłem z Libii? „Podejmę każdą akcję, aby odzyskać wnuka i córkę, niezależnie od tego, ilu Amerykanów przy tym straci życie”. To jego własne słowa. Do końca życia nie zapomnę mu tego. Skurwiel, o dwu twarzach!

– Graham ze złością uderzył ręką w ścianę i ud wrócił się do Sabriny. – Czy on myślał, że łatwo mi przyszło poświęcić rodzinę? Ale wiedziałem, że jeśli wtedy wrócę, terroryści nadal będą podkładać bomby w naszych miastach, że śmierć i zniszczenie jeszcze długo będzie zbierać żniwo w całym kraju. Zrobiłem to, w co wierzyłem, że jest słuszne. On to miał gdzieś. – Wyszedł na balkon i przez chwilę głęboko wdychał powietrze, zanim wrócił do sypialni. – Przepraszam, że zacząłem wrzeszczeć. Walsh to dla mnie stale gorący temat.

– Rozumiem – powiedziała miękko. – Jeśli ktoś powinien przeprosić, to tylko ja, za wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

– Zapomnij o tym.

Zadzwoił telefon. Recepcja zawiadomiła, że czeka na nich samochód.

– Nadal masz nadzieję, że mnie aresztują? – spytała, gdy już wyszli z pokoju.

– Coraz większą.

Wszystkie głowy obróciły się w kierunku Sabriny, gdy wyszli z windy do foyer. Oboje skierowali się w stronę szofera w średnim wieku, który stał przy recepcji.

– Pan jest kierowcą pana Schradera? – Spytał Graham oddając klucz od pokoju.

– Tak, sir. – Nazywam się Felipe, jestem pańskim osobistym kierowcą na ten wieczór. Będą państwo łaskawi pójść za mną? – Poprowadził ich na zewnątrz w stronę rolls-royce’a corniche w kolorze szampana.

– Bardzo ładny – Graham przeciągnął ręką po dachu.

– Pan Schrader ma ich całą flotę.

– Flotę? – zdziwił się Graham. – Ile?

– Piętnaście. Każdy ma osobnego kierowcę – Felipe otworzył przed nimi tylne drzwi, a gdy wsiedli do środka, zamknął je i usiadł za kierownicą. – Znajdą tu państwo telewizor, telefon, barek i cztery kanały muzyczne. Proszę używać tych udogodnień zgodnie z życzeniem. W panelu po prawej stronie jest dwukierunkowy interkom, którym mogą państwo porozumiewać się ze mną. Mam nadzieję, że będą państwo zadowoleni z jazdy. – Kierowca wcisnął guzik w desce rozdzielczej i wysunęła się dźwiękochłonna szyba oddzielająca go od gości.

– Co wolisz, muzykę czy TV? – zapytała Sabrina, gdy samochód włączył się już do ruchu na Avenida Atlantica.

– Muzykę – zdecydowanie odparł Graham Na mosiężnej tabliczce wypisane były cztery rodzaje muzyki do wyboru.

– Co wolisz, klasyczną, country and western, jazz czy MPB? – przeczytała Sabrina z tabliczki.

– Co to jest MPB?

– Musica Popular Brasileira. Samba, bossa nova.

– Tego będziemy mieli dzisiaj dosyć. Zobaczymy, co on nazywa jazzem.

Sabrina włączyła jazz. Graham słuchał przez chwilę.

– Dizzy Gillespie. Przynajmniej w tym ma niezły smak.

– A ja nie wierzę, że to on. Ale okazuje się, że my jednak mamy coś wspólnego.

– Lubisz jazz? – spytał Graham, lekko zdziwiony.

– Żyję głównie po to, żeby go słuchać.

– Naprawdę? A uważałem cię za jedną z tych od popu.

Wzruszyła ramionami. – Oczywiście, popu też słucham, ale jazz zawsze będzie dla mnie najważniejszy. Zwłaszcza na żywo. „Ali’s Alley”, „Village Vanguard”, „West Boondock” to moje ulubione kluby.

– Te nazwy coś mi przypominają – odchylił głowę na oparcie fotela i wpatrzył się w biały, poduszkowaty dach samochodu.

– Mój ulubiony klub to „Fat Tuesday” na 3. Avenue. Nie byłem tam od czasu, gdy wyprowadziłem się z Nowego Jorku.

Przez resztę drogi rozmawiali o jazzie.

* * *

Lavalle zdeptał niedopałek czubkiem buta i spojrzął na „Golcondę” połyskującą w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Otworzył bramę otrzymanym od Drago kluczem i skinął ręką w kierunku bliższego z dwu czarnych mercedesów. Z samochodu wyszli trzej mężczyźni i podążyli za Lavalle’em na pomost, a następnie na pokład jachtu. Lavalle złożył ręce w trąbkę wokół ust i zawołał Dietlego, który wkrótce wyłonił się wraz z dwoma uzbrojonymi strażnikami idącymi tuż za nim.

– Jean – Marie, co ty tu robisz? – zapytał Dietle, zdziwiony.

– To trochę delikatna sprawa, Horst. – Lavalle rzucił spojrzenie na strażników Dietlego. – Możemy pogadać na osobności?

– Oczywiście, chodźmy do mojej kabiny.

– Horst, jedna sprawa – położył rękę na ramieniu Dietlego. – Ilu ludzi masz teraz na pokładzie?

– Tych dwóch. Załoga ma wolne do przyszłego tygodnia. Pan Schrader zawsze daje im wolne na czas karnawału. A dlaczego pytasz?

– Chodź, powiem ci w kabinie.

Dietle poprowadził go po schodach w dół, potem wzdłuż korytarza o ścianach wyłożonych tekową boazerią do swojej kabiny. No to mów, o co chodzi – powiedział zamykając drzwi.

– Wytlumaczę to lepiej, gdy będę miał mapę okolicy. Na pewno masz?

– Oczywiście. A o który region ci chodzi? Leme Point – Lavalle podał pierwszą z brzegu nazwę, jaka przyszła mu do głowy.

Dietle podszedł do stołu, aby znaleźć odpowiednią mapę. Lavalle stanął za nim z tyłu, trzymając w rękach jedwabną opaskę. Drago nalegał, aby wszystko odbyło się bez rozlewu krwi, więc Lavalle od razu pomyślał o metodzie, którą wiele razy z powodzeniem stosował będąc jeszcze w Tonton Macoute. Była podobna do tradycyjnej broni indyjskich Thugów, z tą różnicą, że Lavalle zawiązywał w środku opaski kamyk, podczas gdy Thugowie używali monety o wartości jednej rupii. Zrzucił opaskę na szyję Dietlego i mocno zacisnął. Dietle próbował wyszarpnąć kamyk zagłębiający się coraz głębiej w krtań, lecz po paru sekundach upadł na kolana; jego ruchy stopniowo słabły. Wreszcie ciało zwiotczało całkowicie. Lavalle zaciskał opaskę jeszcze przez trzydzieści sekund, po czym zdjął ją z szyi trupa i wsunął do kieszeni. Wrócił na pokład, gdzie czekali jego dwaj ludzie. Ciało strażników Dietlego leżały nieruchomo

obok wejścia prowadzącego pod pokład. Lavallo dał znak drugiemu mercedesowi. Wskoczyli z niego dwaj mężczyźni z torbami w rękach i szybko wbiegli na pokład statku. Mercedesy ruszyły z miejsca i zniknęły w ciemności. Otworzono torby. Wyjęta z nich broń została rozdysponowana – sześć półautomatów Heckler & Koch MP5 i pięć automatów CZ 75. Lavallo już wcześniej miał ze sobą swego walera P5.

Po wyłączeniu systemu alarmowego dwaj mężczyźni założyli ekwipunek podwodny i zniknęli za burtą, aby sprawdzić kadłub. Po pięciu minutach wynurzyli się unosząc kciuki do góry. Lavallo podał jednemu z pozostałych klucze do silnika, sam zaś poszedł do kabiny kapitańskiej, aby zadzwonić do Drago i przekazać wiadomość o pomyślnym zakończeniu pierwszej fazy operacji.

Gdy silniki „Golcondy” zaczynały pracować, Kolczyński i Whitlock stali na pokładzie „Królowej Copacabany”, jachtu długości sześćdziesięciu pięciu stóp. Kolczyński podniósł do oczu noktowizyjną lornetkę Bairda i przyglądał się dwóm nurkom na pokładzie „Golcondy”, zdejmującym z pleców butle tlenowe. Podał noktowizor Whitlockowi.

– Ile pozwolimy im odpłynąć? – spytał Whitlock.

– Parę mil. Nie ma potrzeby przedstawiania się. Whitlock sprawdzał działanie noktowizora na migocących światłach miasta. – Ciekaw jestem, jak się wiedzie Sabine i Mike’owi na przyjęciu?

Kolczyński podniósł do góry puszkę coca – coli w żartobliwym toaście. – Oby mieli lepszą zabawę niż my!

* * *

Rolls-royce corniche podjechał do bramy z kutego żelaza i Felipe za pomocą radiotelefonu skontaktował się z ochroną, mającą swe pomieszczenie w głównym budynku. Zainstalowana przy bramie kamera telewizyjna przyjrzała się samochodowi, a po chwili brama otworzyła się wpuszczając ich do środka posesji. Droga wiła się jak wąż wśród oświetlonych silnymi reflektorami trawników, patrolowanych przez uzbrojonych strażników z psami. Po przejechaniu mili znaleźli się przy drugiej, mniejszej bramie. Na jej górnym łuku widniał duży napis: DANAÉ, wykonany złoconymi literami. Podobnie jak poprzednio, brama otworzyła się samoczynnie i samochód wjechał na obszerny, półokrągły dziedziniec, położony u stóp góry przywodzącej na myśl gigantycznego, monolitycznego wartownika. Felipe zatrzymał samochód przed oszklonym pomieszczeniem recepcyjnym. Ze środka wybiegł mężczyzna, ubrany w kapelusz i złotawy garnitur, i otworzył tylne drzwi samochodu.

Felipe uchylił okno. – Panie Graham, gdy będzie pan miał zamiar wracać do hotelu, proszę dać znać komukolwiek ze służby, a oni już mnie znajdą. Życzę państwu miłego wieczoru. –

Włączył tylny bieg i odjechał.

– Widzę, że podziwiają państwo górę pana Schradera – powiedział człowiek w złotawym garniturze. Miał wyraźnie jamajski akcent.

– Ona wyłania się jakby znikąd – stwierdziła Sabrina podnosząc głowę do góry, aby obejrzeć białą skałę.

– Pan Schrader specjalnie kazał zbudować drogę dojazdową w ten sposób. On lubi robić niespodzianki. – Portier wskazał pomieszczenie recepcyjne, zdominowane przez czerń i biel. – Zechcą państwo pójść za mną?

Szklane drzwi rozsunęły się automatycznie i portier poprowadził ich do półokrągłego kontuaru, gdzie piękna carioca uśmiechnęła się uprzejmie i poprosiła Grahama o zaproszenie. Graham podał kartkę i ich nazwisko zostało wprowadzone do komputera. W odpowiedzi na ekranie monitora ukazał się skrót VIP/AD, a więc Drago nadał im status gości specjalnych. O przybyciu tej kategorii gości natychmiast meldowano, aby Schrader lub Drago mogli ich powitać osobiście. Recepcjonistka wręczyła zaproszenie portierowi, który poprowadził ich w kierunku windy. Wjechali trzysta stóp do góry, aby znaleźć się w kolejnym pomieszczeniu recepcyjnym. Portier oddał zaproszenie następnej recepcjonistce, nisko się uklonił i wrócił do windy.

Na prawo od kontuaru rozsunęły się stalowe drzwi i wyszedł z nich Drago z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Potrząsnął dłonią Grahama i skinął głową Sabine. – Jestem ogromnie szczęśliwy, że państwo przybyli. Pan Schrader bardzo przeprasza, chciał powitać państwa osobiście, ale żona majora właśnie porwała go do tańca. Nie mógł przecież odmówić, prawda?

– Takie są miłe skutki bycia gospodarzem – Sabrina poczęstowała Drago uroczym uśmiechem.

– Właśnie tak, pani Graham. Pozwolą państwo, że teraz pokażę drogę. – Włożył kartę identyfikacyjną do szczeliny przy drzwiach, które otworzyły się ukazując wnętrze drugiej windy.

– Jak wysoka jest góra? spytała Sabrina.

Drago wcisnął guzik i drzwi się zsunęły. – Szczyt góry sięga dziewięciuset siedemdziesięciu stóp nad poziom morza. To jest dwieście osiemdziesiąt metrów. Pomieszczenie, w którym byliśmy przed chwilą znajduje się trzysta stóp nad poziomem morza.

– A jak wysoko jedziemy?

– Osiemset stóp nad poziomem morza jest ogród. Tam właśnie odbywa się przyjęcie.

Winda zatrzymała się i ujrzeli mozaikowe patio. Drago wskazał na szklane drzwi, za którymi, wokół basenu o olimpijskich wymiarach oraz na świeżo przystrzyżonych trawnikach, kłębiły się dziesiątki kolorowo ubranych ludzi. W środku ogrodu stał wielki czerwono-czarny namiot, w którym zgodnie z objaśnieniem Drago mieściła się orkiestra, wyposażona w siedemdziesiąt instrumentów perkusyjnych, specjalizująca się w muzyce karnawałowej.

Parkiet mógł pomieścić dwustu tancerzy jednocześnie. Drago otworzył dźwiękoszczelne drzwi za pomocą swojej karty identyfikacyjnej i patio nagle wypełniło się wrzawą zabawy. Wszyscy troje zeszli kilka stopni w dół na trawnik, gdzie czekał na nich kelner w białej marynarce trzymający na tacy dwie szklanki.

– Pozwoliłem sobie zamówić drinki dla państwa, gdy tylko dowiedziałem się o państwa przybyciu – powiedział Drago wskazując na tacę. – Wytrawne białe wino i woda Perrier. Jeśli wolicie państwo coś innego, natychmiast każę to podać.

– Dziękujemy, to jest to, co trzeba – powiedział Graham. Zdjął szklanki z tacy i jedną z nich podał Sabinie.

– O, idzie pan Schrader. Jeżeli państwo pozwolą, mam dużo zajęć. Jestem pewien, że jeszcze nie jeden raz wpadniemy na siebie dzisiejszej nocy. – Drago uśmiechnął się do Schradera i oddalił w kierunku grupy businessmanów głośno dyskutujących nad brzegiem basenu.

Schrader był ubrany w białe szorty i koszulę w kwiatki. Gorąco uściśnął dłonie obojgu. – cieszę, że państwo przyszlście. Mam nadzieję, André przekazał wam moje przeprosiny?

– Tak, słyszałem, że żona majora porwała do tańca?

– Los gorszy od śmierci, panie Graham. Niech pan unika tej baby za wszelką cenę. Ona ma skłonności do młodych milionerów.

– Jak ją rozpoznać?

– Zanim ją pan zobaczy, na pewno u najpierw ją pan usłyszysz. – Schrader wpatrywał się w kostium Sabinie. – Wygląda pani olśniewająco, pani Graham.

– Och, dziękuję – Sabrina do kostiumu dodała uroczy uśmiech.

– Mam nadzieję, że nie odmówi mi pan kilku tańców z pańską prześliczną żoną? – spytał Schrader Grahama.

– Oczywiście, że nie. Ona będzie zachwycona możliwością tańczenia z kimś, kto nie ma dwóch lewych nóg. Ja nie jestem Fredem Astaire'm.

Schrader roześmiał się, wyjął z kieszeni dwie identyczne srebrne maskotki i wręczył im po jednej. Miały kształt zaciśniętej pięści z kciukiem wystającym pomiędzy drugim i trzecim palcem. – To się nazywa figa – objaśnił Schrader. – Kiedyś czarni niewolnicy uważali, że to talizman przynoszący szczęście. Teraz jest tylko turystycznym fetyszem, ale niektórzy twierdzą, że jeżeli naprawdę wierzyć w figę, to ona wtedy działa. Ja zawsze noszę ją przy sobie i jak widać nie zrobiła mi szkody.

– Więc pan naprawdę wierzy w jej siłę? – spytał Graham obracając amulet w palcach.

– Oczywiście. Kiedyś byłem sceptykiem ale z czasem zrozumiałem znaczenie silnej wiary w moc talizmanu.

Graham zawiesił sobie amulet na piersi. – Może przynajmniej ochroni mnie przed żoną majora.

– Nigdy nie żartuj sobie z voodoo, Mike, a już na pewno nie w Brazylii. – Siobhan pojawiła się za plecami Grahama. Jak większość obecnych kobiet, miała na sobie strój raczej erotyczny niż egzotyczny. Składał się z czarnego bolerka z baskinką, czarnych pończoch i czarno – białej krótkiej spódniczki.

Graham, zanim napotkał jej wzrok, przesunął oczami po jej całej sylwetce. – Możesz się ze mną zgodzić lub nie, ale jak dla mnie to po prostu błaga.

– Możesz myśleć, co sobie chcesz. Ja widziałam zbyt wiele śmierci związanych z voodoo, aby uważać to za problem wiary.

– Jesteś przekonana o tym związku, bo potwierdza twoją wiarę. W rzeczywistości każdą z tych śmierci na pewno można wyjaśnić zgodnie z logiką.

Sabrina położyła rękę na ramieniu Grahama. – Dajcie spokój, jesteśmy na zabawie. Rozchmurzcie się.

– Okay, nie mówmy więcej o voodoo – zgodził się Graham.

– Pani Graham...

– Po co te formalności? To po prostu Mike i Sabrina. – Siobhan spojrzała na nich. – Prawda? – Prawda – potwierdziła Sabrina.

– W takim razie, Sabrino, zatańczysz ze mną? – zaprosił ją Schrader.

– Z wielką chęcią.

Siobhan patrzyła, jak Schrader i Sabrina idą w kierunku namiotu. – Ona świata za tobą nie widzi – powiedziała nagle do Grahama.

– Wygląda na to, że nieźle sobie pogadałyście.

– Owszem, ale nie tak, jak myślisz. Masz wiele szczęścia. Wszyscy sądzą, że będąc gwiazdą filmową, mam mnóstwo przyjaciół. A prawda jest taka, że nigdy nie byłam taka samotna jak teraz.

Graham wpatrywał się w szklanekę. Sabrina mówiła, że byłaś mężatką.

– Jeff nie żyje – powiedziała cicho.

– Przepraszam.

– Został zabity w Paryżu, koło nocnego klubu, przez handlarza narkotyków, który go pomylił ze swoim konkurentem. Siobhan uśmiechnęła się blado i wyciągnęła szklanekę w kierunku Grahama. – Dolej mi trochę.

– A co pijesz?

– To samo, co ty. Bar jest przy basenie. Chodź ze mną.

– Zawsze mi się zdawało, że karnawał jest okazją do przebierania się. Tymczasem prawie wszystkie kobiety wyglądają, jakby miały za sobą pechową noc przy amerykańskim pokerze.

Siobhan się roześmiała. – *Bailes* są czymś zupełnie innym niż *Passarcla do Samba*.

– Tak, teraz już wszystko mi wyjaśniłaś.

Siobhan zatrzymała się i zatoczyła łuk ręką. – To jest *baile*, czyli bal, przyjęcie, party. Bale są zawsze naładowane erotycznie, zwłaszcza w eleganckich hotelach i nocnych klubach. W takich miejscach jeden mężczyzna z trzema kobietami to nic niezwykłego, Martin jednak nie lubi otwartego rozpasania i tutaj tylko nielicznym paniom wolno być bez partnera. Z drugiej strony, *Passarela do Samba*, czyli Parada Samby, to jest to, co widać w telewizji. Oparta na pochodach i kostiumach, przyciąga całe tłumy turystów. Im bardziej kolorowa będzie w tym roku, tym więcej turystów ściągnie w następnym. I tak w kółko. W mężczyźnie, który właśnie do nich podszedł, Graham rozpoznał Lajesa, jednego ze swoich wczorajszych partnerów do gry w oczko. Lajes był ubrany w jasną kwiecistą koszulę, szorty do kolan i papierową kryzę wokół spoczonej szyi. Poprosił Siobhan do portugalskiego tańca. Pokręciła przecząco głową, lecz Lajes chwycił ją za rękę, stanowczo żądając, żeby z nim tańczyła.

Graham oderwał dłoń Lajesa od ręki Siobhan i pogroził mu palcem. – Nie mówię po portugalsku, ale jest jasne, że ona nie ma ochoty iść z tobą dokądkolwiek. Zostaw ją w spokoju.

– Karciarz dobroczyńca! – prychnął Lajes. – A co ty się tak o nią troszczysz? Ona nie jest z tobą. A może jest? Powiniennem pogadać z twoją żoną, jeżeli można ją tu jeszcze znaleźć...

Graham bez dłuższego namysłu przyłożył mu sierpowym w szczękę, wskutek czego Lajes znalazł się w basenie. Drago natychmiast zostawił swoich rozmówców i podbiegł do basenu po przeciwnej stronie wydając polecenia dwóm kelnerom, którzy pomogli Lajesowi wydostać się z wody. Z rozciętego łuku brwiowego obficie płynęła krew. Żona Lajesa przechyliła mu głowę przyglądając się ranie, następnie poleciła najbliższemu kelnerowi przynieść chustkę wypełnioną lodem. Drago odwołał jej instrukcje, każąc kelnerom podejść bliżej. Schrader i Sabrina, którzy właśnie wyszli z namiotu, przecisnęli się przez tłum, który już zdążył się zebrać. Siobhan opowiedziała im o przebiegu zajścia.

Tymczasem Drago porozmawiał chwilę z trzema naocznymi świadkami, następnie zwrócił się do Lajesa: – Jeśli nie opuścisz tego domu w ciągu pięciu minut, zostaniesz aresztowany!

– A co z nim...

– Zamknij się, Mario! – Lajes warknął na żonę wskazującą na Grahama. Spojrzał na Schradera. – Nie stawiaj naszej przyjaźni na ostrzu noża, Martin.

– Nie gadaj mi o przyjaźni, nadużyłeś mojej gościnności – powiedział Schrader ze złością. – Słyszałeś, co mówił André. Wyjdź stąd.

– Nawet cię tu nie było, Martin. – Maria wyrzucała słowa z szybkością karabinu. – Wierzysz we wszystko, co ci powie Drago.

– Mario, dosyć! – wrzasnął Lajes.

– O nie, chociaż raz powiem, co myślę, bo nikt tutaj nie ma odwagi tego zrobić. – Maria napotkał; wzrok Schradera. – Drago cię wykorzystuje, czy ty tego nie widzisz? Dałeś mu trochę władzy i to go zmieniło w skorumpowanego drania. Im szybciej się go pozbędziesz, tym szybciej

odzyskasz szacunek, jakim byłeś otoczony, zanim go tu wprowadziłeś. Pozbądź się go, zanim on cię zniszczy! – Wzięła męża za rękę i poprowadziła do wyjścia.

Schrader potrząsał ze smutkiem głową patrząc na Lajesów wchodzących do windy. – Maria zawsze miała nie wyparzoną gębę. Ona w końcu doprowadzi Raoula do kompletnego upadku.

– A on zawsze dostawał małpiego rozumu po kilku drinkach – dodał Drago.

– Według mnie nie wyglądał na pijanego – wtrącił Graham.

– Był nieźle pijany odparł Schrader. – Raoul to jeden z tych, po których tego nie widać. Jediną oznaką jest rosnąca agresywność, zwłaszcza wobec kobiet.

– Maria zrobiła go w końcu takim, jakiego chciała mieć – dodała Siobhan. – Alkohol to jego jedyny azyl. Daje mu odwagę na chwilowe wyściubienie nosa spod jej pantofla i udowodnienie sobie samemu swej męskości.

– Dosyć o Raoulu i Marii. Schrader zwrócił się do Siobhan. – Zatańczymy?

– Jasne. Powiedziała do Sabriny: Zobaczymy się później.

Drago przeprosił i skierował się do baru. – Musiałeś go uderzyć? – Sabrina zażądała wyjaśnienia, gdy zostali sami. Nie mogłeś chociaż tym razem się powstrzymać?

– Miałem powody i tak to zostawmy. Zdobyłem transmitter z sejfu Schradera. Zajmij się nim.

Nie mówiłeś mi jeszcze, w jaki sposób chcesz się dostać do jego pokoju. Nie wejdiesz do środka, drzwi są przecież zdalnie sterowane.

– Tak wynika z planów Silvy. W dodatku cały ogólnie dostępny teren jest kontrolowany przez wewnętrzną telewizję. I tak nie mógłbym dostać się do tych drzwi.

– Unikasz odpowiedzi. Potem ci powiem.

Rozłożyła ręce w proszącym geście. Jestem twoją partnerką, Mike. Co mogę jeszcze zrobić żebyś zaczął mi ufać?

Zastanawiał się przez chwilę. Okay. Przypuszczam, że nie ma kamer ani w łazienkach, ani też w apartamencie Schradera. Plan pokazuje, że łazienki są tuż obok apartamentu, a więc, przynajmniej teoretycznie, powinienem przejść z łazienki do apartamentu.

– To pewnie głupie pytanie, ale którędy? Z tego, co wiem, jedyną drogą jest... – zawiesiła głos na chwilę i nagle potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Jest tylko jedna droga. Przez okno łazienki i z boczem góry na balkon sypialni.

– To czyste szaleństwo!

– Nie podnoś głosu! – zasyczał ze złością. Właśnie dlatego nie lubię dyskusji z tobą tuż przed robotą. Przyjmujesz wtedy pozę nadopiekuńczej mamusi, która niepokoi się, że synek stłucze sobie kolano.

– Przyjmuję tę rolę, bo się o ciebie niepokoję – westchnęła, po czym mówiła już miękko, spokojnym głosem. – Nie masz żadnego sprzętu zabezpieczającego. Jeden błąd i spadasz w dół.

– Celem ćwiczeń jest eliminacja błędów. – Graham nie ukrywał sarkazmu. – Robiłem takie rzeczy w Delcie i nigdy nie potrzebowałem zabezpieczeń.

– Ale wtedy mogłeś je mieć w razie potrzeby.

– Mówisz nie na temat, Sabrino. Nie były mi potrzebne, czy tego nie rozumiesz? To jest istotne psychologicznie. Użyłaś słowa „błąd”. Błędy powstają na skutek oporów wewnętrznych, niepewności, głupoty, czyli jednym słowem – lęku. Jak ci już kiedyś mówiłem, nie wierzę w koncepcję lęku. To jest tylko chimera, którą każdy może pokonać przez uwierzenie w siebie. Ja w siebie wierzę. Wierzę również, że mogę przejść po skalnym zboczu i nie odpaść. Gdybym miał najmniejszą wątpliwość, nawet bym o tym nie myślał. – Uśmiechnął się do Sabriny. – Będzie w porządku, obiecuję ci to.

– Bądź ostrożny. – Pocałowała go lekko w policzek.

– Taki mam zamiar. A teraz miej Schradera na oku.

– A Drago?

– On będzie miał oko na mnie, tego możesz być pewna.

Gdy tylko się rozstali, Drago, który bez przerwy dyskretnie ich obserwował z baru, odpiął radiotelefon od paska spodni i nakazał strażnikowi pełniącemu służbę przy monitorach, aby śledził każdy krok Grahama od momentu, gdy wejdzie do budynku.

Graham wszedł do czerwono-białego patio, które zgodnie z planem Silvy prowadziło do salonu gier. Oba stoły były zajęte, więc nikt nie zwrócił uwagi, gdy przeszedł przez pokój i wsunął się przez szklane drzwi do kremowego hallu o ścianach obwieszonych obrazami sprawiającymi wrażenie oryginałów Rembrandta i Vermeera, a które w rzeczywistości były reprodukcjami wykonanymi przez jednego z najlepszych fałszerzy. Plan Silvy był doskonały – rzeczywiście spiralne schody prowadziły w dół do większego hallu, na którego końcu znajdowała się sypialnia Schradera. Na schodach musiał się przeciskać pomiędzy parami ludzi siedzących blisko siebie, którzy, jak można było wnosić z ich figlarnych uśmiechów, spotykali się tu w tajemnicy przed swymi legalnymi małżonkami. Podejrzenie to potwierdził w pełni pewien zawiany mężczyzna, który przyłożywszy palec do ust powiedział do Grahama „tssss...”. Graham podjął grę – rozejrzał się wokół skrycie, również przyłożył palec do ust i zaczął iść po schodach na palcach, drobiąc krok. Obaj się przy tym rozchichotali.

Po zejściu na poziom hallu włożył ręce w kieszenie i zaczął udawać głębokie zainteresowanie wiszącymi tam obrazami. Starał się uzyskać przy tym jak największą naturalność, gdyż zdawał sobie sprawę, że cały czas jest śledzony. Powoli przesunął się wzdłuż jaskiniowatego korytarza, często zatrzymując się przy poszczególnych obrazach, z coraz większym wysiłkiem udając zainteresowanie malarstwem. Przypomniały mu się pierwsze tygodnie, gdy zaczął umawiać się z Carrie. Ona kochała balet i operę, podczas gdy jego nie obchodziło to wcale. Wykazał jednak olbrzymią determinację, spędzając z nią długie godziny

w New York State Theatre oraz w Metropolitan Opera House, starając się w ten sposób zrobić na niej wrażenie. W końcu jednak się poddał. Okazało się, że Carrie znakomicie wiedziała, iż Graham udaje zainteresowanie, i miała mu to za złe. Uważała, że powinien być zdobyć się na większą szczerłość wobec niej. Osiągnęli w końcu porozumienie – on chodził na mecze ze swoimi kolegami, ona balet i do opery ze swoim towarzystwem estetów. Okazało się to znakomitym rozwiązaniem.

Graham doszedł do końca hallu i stanął przed ornamentacyjnie rzeźbionymi drzwiami. Na prawo od nich znajdowały się zwykłe białe drzwi, jakby nie na miejscu w tak doskonałym otoczeniu. Otworzył te skromne drzwi, wszedł do środka i przekręcił klucz za sobą. Pomieszczenie było niewielkie, z jedną tylko umywalką i toaletą. Nagle przyszło mu do głowy pytanie, dlaczego Schrader nie zlikwidował ściany i nie włączył tego pomieszczenia do swego apartamentu. Ile ludzi w rzeczywistości korzystało z tej łazienki? Porzucił jednak tę myśl i skierował się do okna. Przywiązał zasłonę do jednego skrzydła okna, otworzył je i, klęcząc na zamkniętej pokrywie sedesu, spojrzał w dół na fale rozbijające się o skały. Pokój znajdował się co najmniej sześćset pięćdziesiąt stóp nad wodą. Wychylił się bardziej, aby ocenić odległość do balkonu sypialni Schradera. Było nie więcej niż dwanaście stóp. Przyjrząwszy się skale stwierdził, że jest nie tylko chropawa i nierówna, a więc dobra do wspinaczki, ale również nie całkiem stroma – miała około siedemdziesięciu stopni nachylenia. Niewiele, ale zawsze coś. Jedyną niedogodnością była ciemność. Musiał polegać tylko na świetle księżyca.

Zdjął spodnie, pod którymi miał obcisły kombinezon, koszulę i apaszkę również zrzucił na podłogę. Wszedł na parapet okna i kucnął na nim tyłem do wyjścia. Wychyliwszy się nieco, opuścił nogi w dół, aż poczuł solidne oparcie pod stopami. Skała była chłodna i szorstka. Graham zaczął cal po calu odsuwać się od okna łazienki, ostrożnie stawiając każdy krok i starannie wypróbować każdy punkt oparcia. Niespodziewanie chmura zakryła księżyc zabierając resztki światła. Graham ze złością zaklął pod nosem i zastygł bez ruchu, przytulony do skały. W pewnym momencie zaskoczyła go cała seria eksplozji ogni sztucznych rozświetlających niebo nad Ipanema Beach; kalejdoskop żywych barw, które po chwili rozplynęły się w ciemności. Księżyc pojawił się tak nagle, jak przedtem znikł, i Graham zaczął kontynuować swą powolną wędrówkę nad przepaścią.

Był już zaledwie o kilka stóp od balkonu, gdy stopa obsunęła mu się na słabo utwierdzonym kamieniu. Sięgnął prawą ręką do występu skalnego, lecz ten, rozkruszył mu się w dłoni. Palcami przeorał po skale, aż ręka zatrzymała się w szczelinie o parę cali od twarzy. Gdy wsunął rękę głębiej, aby poprawić uchwyt, jego palce dotknęły ukrytego w szczelinie nietoperza: Nietoperz natychmiast odleciał, musnąwszy Grahama skrzydłem po twarzy. Instynktownie odchylił głowę, i utracił uchwyt na szczelinie. W tym momencie stracił również oparcie pod stopą i przez krótką, ale straszną chwilę wszystkim, co ochroniło go od upadku w przepaść, był uchwyt lewą dłonią.

Nogi zakołysały się w powietrzu i Graham jęknął, gdy lewym kolaniem dość silnie uderzył w skałę. Sięgnął ponownie prawą ręką do szczeliny i zaczął szukać oparcia dla stopy nie zważając na ból. Gdy wreszcie opanował niebezpieczeństwo, oparł czoło na dłoni i przez chwilę oddychał głęboko. Był wściekły na siebie za ten moment paniki. Panika to strach – i gdzie te jego cholerne teorie! Skrzywił się. Pot spływał mu do oczu. Nie zważając na to, pokonał pozostałe kilka stóp i chwycił się zbawczej barierki balkonu. Wskoczył do środka i usiadł przy barierce, opierając na niej głowę. Zamknął oczy.

Siedział tak przez minutę, pozwalając lekkiej bryzie chłodzić spocone ciało, po czym przyjrzał się swemu kolanu. Rana była powierzchowna, mimo że krew płynęła z niej dość obficie przez całą nogę aż do płóciennych butów. Buty były czarne, więc plama była i prawie niewidoczna. Graham wstał i skierował się w stronę rozsuwanych drzwi prowadzących do sypialni. Były otwarte i już miał wejść do środka, gdy przypomniał sobie o wiązce podczerwieni zabezpieczającej drzwi na „Golcondzie”. Czy Schrader zainstalował ją również w swojej sypialni? Wyobraził sobie siebie na jego miejscu. Drzwi prowadziły na balkon, za którym była tylko przepaść o głębokości sześciuset pięćdziesięciu stóp. W jaki sposób ktokolwiek mógłby się tu dostać? Uśmiechnął się do siebie – nikt, oprócz niego, oczywiście. Więc czego się obawiać? Graham śmiało wszedł do środka. Podniósł leżący na podłodze ręcznik, wytarł dokładnie krew i owinął go wokół kolana, aby uniknąć kapania krwi na podłogę. Wszedł do łazienki, zamknął drzwi za sobą i włączył światło. Główną częścią łazienki była przypominająca basen wanną ze złotymi kurkami i rączkami. Było to ekstrawaganckie, lecz efektowne. W jednej z szafek znalazł rolkę bandaża, więc zdjął zakrwawiony ręcznik z kolana i przyłożywszy środek dezynfekujący, ściśle owinął kolano bandażem, po czym zawiązał supeł z tyłu. Ręcznik wrzucił do stojącego w kącie pudła z brudnymi rzeczami, następnie zgasił światło i wrócił do sypialni, kierując się w stronę fałszywego van Gogha, wiszącego na prawo od drzwi balkonowych.

Obraz przykrywający sejf, wisiał dokładnie tam, gdzie oznaczył go Silva. Graham zbadał palcami obrzeża obrazu i stwierdził, że jest on przytwierdzony do ściany tylko z jednej strony, dzięki czemu stanowił coś w rodzaju drzwi. Pod nim rzeczywiście był sejf, lecz jego widok przyprawił Grahama o mdłości. Według opisu Silvy sejf powinien być otwierany kombinacją cyfr; typ, który Graham nauczył się otwierać jeszcze w Delcie. Tymczasem ten był otwierany kluczem. A więc Schrader zmienił sejf po odejściu Silvy! Ze złością rąbnął pięścią w drzwiczki, usiadł na podłodze i przeczesał ręką włosy. W końcu podniósł się, wyszedł na balkon, gdzie stał przez chwilę, opierając ręce na barierce i patrząc na okno łazienki. Odslonięta firanka zdawała się zapraszać do środka, lecz droga do niej prowadziła przez kilkanaście stóp ciemnej, nieprzyjaznej skały. Jego przedłużająca się nieobecność mogła zaalarmować Drago, który mógł już posunąć się nawet do wyłamania drzwi pod pretekstem chęci udzielenia mu pomocy, wobec braku reakcji na pukanie. Im szybciej wróci, tym lepiej.

* * *

Schrader wytarł pot z twarzy chusteczką z monogramem, gdy wraz z Siobhan wyłonił się z namiotu. Odprawił nadskakującego kelnera i uśmiechnął się do Sabriny. – Wy dwie wpędzicie mnie do grobu – powiedział bez tchu. – Jestem wykończony.

– A ja myślałam, że jeszcze mnie pan nauczy samby – powiedziała Sabrina, szczerząc zęby do Siobhan.

– Później. – Schrader schował chusteczkę do I kieszeni. – Trochę później. Zresztą ty nie potrzebujesz żadnych nauk, ty to robisz w sposób całkiem naturalny.

– Nie mam takiego poczucia, gdy patrzę, jak tańczy Siobhan.

– Nie zapominaj, że ja wyrosłam razem z sambą. A Martin ma rację, masz naturalne wyczucie tańca. Instynktownie wiesz, co robić na parkiecie.

– A gdzie jest Mike? – spytał Schrader rozglądając się.

– Poszedł na spacer.

– Z nim wszystko w porządku, mam nadzieję?

Sabrina się uśmiechnęła. – O, nic z tych rzeczy. On zawsze lubił oddalać się samotnie. Daje upust swej niezależności.

Siobhan przeprosiła i odeszła w kierunku grupy przyjaciół, którzy właśnie przybyli.

Sabrina patrzyła w ślad za nią. – Siobhan mówiła mi, że jesteś koneserem sztuki.

– Ona mi pochlebia. Kolekcjonuję dzieła sztuki, ale trudno nazwać mnie koneserem. A ty, interesujesz się sztuką?

– Bardzo, choć nieco po amatorsku. Nie oglądam wszystkich wystaw, które chciałabym widzieć, przynajmniej od czasu, gdy zaczęłam się umawiać z fanatykiem sportu.

– Wierzę. Mike rzeczywiście wygląda na sportowca.

– Czy jesteś szczególnie zainteresowany jakimś okresem?

– Renesansem – Schrader odpowiedział bez namysłu. – Wiąże się z tym taki problem, że wszystkie największe dzieła renesansu należą albo do muzeów, albo do prywatnych kolekcjonerów, którzy nie chcą ich sprzedawać za żadne pieniądze. Muszę więc zadowalać się imitacjami. Ale, jak mówią, imitacja jest najszczerzą formą uwielbienia.

– Masz na myśli... falsyfikaty?

– To jest najzupełniej legalne, zapewniam cię odpowiedział z widocznym zamiarem ograniczenia jej zainteresowania. – Złamałbym prawo dopiero wtedy, gdybym usiłował sprzedać falsyfikat jako oryginał.

– Więc twoja kolekcja składa się z falsyfikatów!

– Tylko częściowo. Czy Siobhan mówiła ci o „sanktuarium”?

– Coś wspomniała, ale nie zrozumiałam, o chodzi.

– Chciałabyś zobaczyć?

– Oczywiście!

– Poproszę André, żeby powiedział Mike'owi, gdzie jesteśmy, jeśli wróci przed nami.

– Nie, nie trzeba. – W spojrzeniu Sabriny czaiła się intryga. – Poszedł i zostawił mnie.

Pokażę mu, że mnie też stać na pogrywki.

– Masz rację. – Wskazał na dom. – Idziemy? Poczula ulgę. Mike tylko tego potrzebował, żeby Drago zaczął go szukać z jej powodu!

– Gdzie spotkałaś Mike'a?

– W ONZ – powiedziała zgodnie z prawdą. – Pracuję tam.

– Naprawdę? A co robisz?

– Jestem tłumaczką, głównie z francuskiego.

– Brzmi fascynująco – powiedział Schrader wyjmując z kieszeni kartę identyfikacyjną, żeby otworzyć metalowe drzwi. Rozsunęły się ukazując wnętrze windy.

Sabrina weszła do środka. – Czasami bywa dość ciekawie, zwłaszcza gdy supermocarstwa skaczą sobie do gardeł.

Schrader wcisnął guzik. – Ja spotkałem moją żonę na uniwersytecie.

– Nie wiedziałam, że byłeś żonaty.

– Nadal jestem, ale żyjemy z Kateriną w separacji już od dziesięciu lat. Ona jest katoliczką i wyklucza rozwód. Co nie znaczy, że chciałbym znowu się ożenić. Bardzo mi się podoba być wolnym.

– Myślę, że miałeś niemało propozycji małżeńskich od czasu, gdy tu przyjechałeś.

Przez jego twarz przemknęła złość. – Oczywiście, Iną z plag prześladujących Rio są tłumy gotowych wszystko poszukiwaczy złota, ale odprawiam je pogardą, na jaką zasługują. Winda się zatrzymała i oboje znaleźli się w koryta – wyłożonym czerwonym dywanem, prowadzącym drzwi z białym obiciem. Schrader znowu użył swej identyfikacyjnej i stanął obok drzwi, aby przepuścić Sabrinę. W białym pokoju było siedem płócien, trzy na lewo, trzy na prawo i jedno na wprost. To ostatnie przykuło uwagę Sabriny. Martwa natura – stary stół, a na nim dwie długie fajki, przewrócona szklanka, flet, wypalona świeca, sterta książek, a na nich, dominująca nad całością czaszka.

– Hipnotyzujące, prawda? – powiedział cicho za nią. – Harmerf Steenwijck: *Marność*. Oryginał pochodzi z roku 1640 i wisi w De Lakenhal Museum w Leiden.

– Jest w tym obsesja śmierci – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od obrazu.

– Świetna uwaga – Schrader położył dłoń na – ramieniu Sabriny, która odsunęła się instynktownie. Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. Spójrz na całość, jest w tym pewna myśl. Na lewo *Sędziowie* Rembrandta, *Zarządcy kolonii trędowatych* Ferdinanda Bola

i Zgromadzenie dyletantów Mathieu Le Naina. Na prawo sama Dostojność – *Hampstead Heath*, *Pola West Endu* i *Katedra Salisbury od strony Meadows*. A w środku – *Marność*.

– Czy to są wszystko kopie?

– Niestety, tak. Przy każdej jest mosiężna płytka informująca, gdzie jest oryginał.

Sabrina złożyła ręce na piersiach i przyglądała się obrazom. – Trzy obrazy po lewej stronie przedstawiają dyskutujących mężczyzn. Sędziowie to rada dyrektorów twojej firmy Hecht. Kolonia trędowatych – odrażonych – nawiązuje do robotników twoich fabryk, którzy zmusili cię do rezygnacji i sprzedaży firmy. Po prawej wiszą trzy krajobrazy. A więc natura. Człowiek i Natura, dwie najpotężniejsze siły na ziemi. Ale i one podlegają potędze największej ze wszystkich – Śmierci. – Obejrzała się na Schradera. – To trochę teatralna interpretacja, ale powiedz, jak mi to wyszło?

Schrader przez chwilę stał jak skamieniały. – Nikt jeszcze nie zrozumiał tego tak doskonale jak ty. Jakbyś czytała w moich myślach! Ale skąd wiesz o moim udziale w aferze Hechta?

– Mike mi powiedział. Mam nadzieję, że nie zdenerwowałam cię wyciągnięciem tej historii?

– Ależ skąd! Jestem tylko zdziwiony, że ktoś o tym jeszcze pamięta. To było dziesięć lat temu.

– On ma pamięć tak niesamowitą, że można by go za to zabić. I czym ją zapełnia? Wiadomościami sportowymi. Cóż za marnotrawstwo!

– Ciągle nie mogę się otrząsnąć. Nikt jeszcze nie zrozumiał intencji tego zboru.

– Wszystko ma swój początek. A dlaczego nazwałeś to miejsce „sanktuarium”?

– Zademonstruję ci, gdy usiądziesz na tym krześle za tobą.

– Krzesło? – rozejrzała się z zakłopotaniem. Skórzany fotel i drewniana szafka były białe i tak doskonale wpasowane w otoczenie, że wchodząc w ogóle ich nie zauważyła.

Sabrina poprawiła pelerynkę i usiadła wygodnie w fotelu. Po chwili ogarnęło ją uczucie zawieszenia gdzieś w powietrzu. Schrader przykucnął obok i otworzył szafkę. Wewnątrz był odtwarzacz płyt kompaktowych Accuphase, wzmacniacz SRM-71 i słuchawki Stax Gamma, górną półkę zajmował spory zestaw płyt z muzyką klasyczną. Poprosił Sabrinę o wybór. Przejechała palcem po grzbietach kaset w nadziei, że znajdzie któryś z ulubionych utworów. Jest – *Kopciuszek* Prokofiewa. Wyciągnęła dysk i obejrzała go – St Louis Symphony Orchestra pod dyrekcją Leonarda Slatkina. Orkiestrę i dyrygenta знаła z koncertów, chociaż nie wspólnych. Jej rodzice byli wytrwałymi uczestnikami wszelkich koncertów symfonicznych, więc zawsze gdy przyjeżdżali z Miami do córki, bezwzględnie musiała mieć trzy bilety do Carnegie Hall albo do Avery Fisher Hall. Mimo że lubiła te koncerty, nigdy na nie sama nie chodziła, bardziej sobie ceniąc spędzanie czasu z przyjaciółmi lub w klubach jazzowych.

Schrader wziął od niej płytę, pokiwał głową pochwalając wybór i włożył dysk do odtwarzacza. Podał jej słuchawki, przez chwilę tłumaczył zasady obsługi aparatury i odsunął się

w kąt pokoju, gdzie obrotowym przełącznikiem przyciemnił światło. Sabrina włożyła słuchawki i zamknęła oczy, starając się odsunąć wszelkie myśli. Nie mogła jednak tego osiągnąć. Gdzieś w zakamarkach jej świadomości błąkała się sylwetka człowieka przyczepionego do niewyraźnej, ciemnej skały. „Wierz w niego, jak on sam w siebie wierzy”, powiedziała sama do siebie. Wizja zaczęła znikać jak filmowa, celulooidowa iluzja. „Wierz w niego, jak on sam w siebie wierzy”, powtórzyła jeszcze raz i sylwetka znikła zupełnie. Poczła się zrelaksowana, sięgnęła więc do aparatury i wcisnęła przycisk „Start”. Po kilku sekundach introdukcji wcisnęła guzik w ramieniu fotela, uruchamiając tuzin wielobarwnych wiązek światła z laserów umieszczonych dyskretnie w suficie. Teraz otworzyła oczy, poddając się sugestii form świetlnych, których kalejdoskop otaczał ją ze wszystkich stron.

Przypomniała sobie słowa Schradera: „Dla mnie to ma bardzo terapeutyczne działanie. To jakby przerzucić most nad przepaścią, dzielącą przeszłość i terażniejszość, i przebywać razem z wielkimi mistrzami, których podziwianie było moim zamiarem. Pewnie powiesz, że to tylko sztuczny twór powstały z rozgoryczenia i niechęci do świata zewnętrznego. Ale każdy doświadcza tu zupełnie różnych emocji, wszystko zależy od tego, o czym podświadomie myślisz”.

Patrzyła na *Marność*. Czaszka. Wiązki światła laserowego tańczyły na obrazie, deformowały czaszkę, wydobywając z niej nowe, ukryte dotąd kształty. Ale to się odbywało bardziej w jej świadomości niż w rzeczywistości. Poczła narastające napięcie wewnętrzne, ale nie mogła oderwać wzroku od *Marności*, tracąc powoli wpływ na rozwój sytuacji. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, mglista sylwetka wróciła do jej wyobraźni.

Ale teraz była to sylwetka kogoś spadającego w bezdenną pustkę. Spadnie...

– Nie! – jęknęła i zdarła słuchawki z głowy. Schrader włączył światło i podbiegł do niej. – Sabrina, co z tobą?

Przetarła wilgotne czoło wierzchem dłoni. – Przepraszam, nie wiem, co mnie naszło.

– Ja wiem. *Marność*. Tak działa na niektórych ludzi. Jak już powiedziałem, to zależy tylko od stanu podświadomości. Bardzo cię przepraszam.

– Za co? Nie możesz ponosić odpowiedzialności za moje myśli. – Podniosła słuchawki i obracała je w ręku. – Mam nadzieję, że nie uszkodziłam.

– One nie mają znaczenia – powiedział Schrader odkładając słuchawki do szafki. – Wyglądasz na kogoś, kto napiłby się brandy.

Pokręciła głową. – Nie lubię brandy. Wolałabym trochę świeżego powietrza, tu się nagle zrobiło jak w piekarniku.

– Za chwilę, tylko wyłączę to wszystko. Podeszła do *Marności*. W pełnym świetle była zupełnie inna.

– Gotowa?

- Tak.
- Mike chyba już wrócił – powiedział, gdy wchodzili do windy.
- Mam nadzieję – odpowiedziała cicho.

* * *

Graham wspiął się z powrotem do toalety, lekko zeskoczył na podłogę i zamknął okno za sobą. Chlusnął wodą na twarz i pierś i usiadł na brzegu taboretu. Przyglądał się nodze. Kolano pulsowało, ale bardziej go obchodziła krew niż ból. Bandaż jeszcze nie przesiąknął i Graham miał nadzieję, że krew już przestała wypływać z rany. Wciągnął dżinsy i koszulę oraz zawiązał apaszkę pod szyją. Sięgnął po ręcznik, gdy rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

- Pan Graham? – to był Drago.
- Za minutę – zawołał Graham i wytarł ślady z parapetu okna.
- Czy z panem wszystko w porządku?
- Tak, trochę mnie boli brzuch – Graham obejrzał pomieszczenie w poszukiwaniu śladów i otworzył drzwi.

– Boże, wygląda pan okropnie. Mamy tu kilku lekarzy, zaraz zawołam któregoś, żeby pana zbadał.

– Nie trzeba, naprawdę. Czuję się trochę słabo, to wszystko. – Zatrzymał się u podnóża schodów. – Skąd pan wiedział, że tu jestem?

– Cały publiczny obszar jest monitorowany przez wewnętrzną telewizję. Dla bezpieczeństwa, pan rozumie. Oficer dyżurny zauważył pana idącego w stronę drzwi do apartamentu pana Schradera, to te drzwi na lewo od toalety, więc naturalnie miał pana na oku. Gdy przez dziesięć minut pan nie wychodził, pomyślał, że coś może być nie w porządku, i dał mi znać. To proste, prawda?

- A skąd znał moje nazwisko?
- Podobnie jak ja, zna nazwiska wszystkich tu obecnych.
- Jestem pod wrażeniem – przyznał Graham.
- To nie jest takie trudne, jak by się zdawało, zapewniam pana. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent tu obecnych bywa na wszystkich przyjęciach u pana Schradera. A pan Schrader bardzo często organizuje przyjęcia, jak pan pewnie już wie od panny St Jacques. Kamera telewizyjna jest umieszczona również w recepcji i na schodach, a gdy ktoś przychodzi, recepcjonistka wprowadza jego nazwisko do komputera połączonego z terminalem w centrum telewizyjnym, więc pozostaje problem skojarzenia twarzy z nazwiskiem, i to tylko wobec tego jednego procenta gości.

- Teraz wiem, dlaczego pan Schrader darzy pana takim szacunkiem. Pan zna swoją robotę.
- Muszę, panie Graham. Tak jak każdy inny, w zakresie swoich obowiązków. Pan Schrader

ma sporo wrogów. Gdyby tylko dostrzegli słabość w systemie bezpieczeństwa, wykorzystaliby ją. Ta słabość kosztowałaby go życie.

– Uczciwie powiedziane – stwierdził Graham. A przy okazji, powiedział pan przed chwilą coś, co dało mi do myślenia. Te drzwi, koło toalety, prowadzą do apartamentów pana Schradera?

– Tak. – Odpowiedź była dość niechętna.

– Więc dlaczego nie zburzy ściany i nie włączy tego pomieszczenia do swego prywatnego obszaru? Przecież ta toaleta nie jest chyba aż tak potrzebna w tym miejscu?

– Nie jest. Czy panna St Jacques nie mówiła państwu o Roberto?

– Nie przypominam sobie.

– Pan Schrader adoptował chłopca...

– A, tak, mówiła. – Graham przypomniał sobie opowieść Whitlocka. – Chłopak, który zmarł od heroiny.

– Przedawkował właśnie w tej toalecie. Pan Schrader zrobił dla tego chłopaka więcej niż większość rodziców dla swych własnych dzieci. Po pogrzebie zakazał ruszać w tym pomieszczeniu cokolwiek. – Drago poprowadził przez salę gier do patio. Wskazując w stronę tanecznego namiotu powiedział: – Tam jest pańska żona. Widzi ją pan?

– Tak, widzę.

– Bardzo proszę nie ociagać się z poinformowaniem pana Schradera lub mnie, gdyby pan źle się czuł. Otrzyma pan najlepszą pomoc. A teraz proszę wybaczyć. – Drago skierował się w stronę baru.

Graham był pewien, że Drago już nie wierzy w ich role i odkrycie kart jest kwestią czasu. A oni nie byli ani o cal bliżej odnalezienia obrazu niż w momencie przybycia do Rio de Janeiro. Nie stwarzało to dobrych perspektyw dla odnalezienia go kiedykolwiek. Wziął Sabrinę na stronę i powiedział jej o sejfie.

– Więc jesteśmy tak samo zieloni jak na początku – skomentowała ponuro.

– Na to wygląda. Usiądziemy dziś w nocy z Siergiejem i C.W. i spróbujemy opracować inny plan do zrealizowania w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin.

– Co teraz?

– Nie ma sensu zostawać tu dłużej – powiedział zdecydowanie, zauważając w tym momencie człowieka rozmawiającego z Drago przy barze.

– Mike, coś nie w porządku? – Sabrina zauważyła jego reakcję.

– Być może – powiedział obserwując tamtego. Mężczyzna spojrział w kierunku namiotu. Graham przyłożył dłoń do ust i zasymulował kaszel, zasłaniając przy tym pół twarzy. Drago wyciągnął rękę w stronę namiotu i obaj ruszyli w tym kierunku cały czas rozmawiając. Graham rozejrzał się, szukając możliwości ucieczki. Wiedział, że nie może dostać się do namiotu, nie będąc zauważonym przez tamtych, ale równie źle było tkwić na miejscu. Pozostała tylko jedna

możliwość.

– Pocałuj mnie – powiedział do Sabriny.

– Co? – spytała ze szczerym rozbawieniem.

– Pocałuj mnie i zrób to realistycznie. Przygarnął ją do siebie i pocałował, obejmując rękami. Sabrina przytuliła się, przebierając palcami w jego gęstych, zmierzwionych włosach.

– W Rosji zostaliby za to aresztowani – powiedział z silnie ukraińskim akcentem przechodzący obok mężczyzna.

– Amerykańscy nowożeńcy – odpowiedział mu Drago, siląc się na uśmiech.

– Typowe – burknął mężczyzna.

Graham zaczął całować jej szyję. – Poszli? – szepnął jej czule do ucha.

Otworzyła oczy. – Stoją u wejścia do namiotu.

– Patrzą na nas?

– Nie.

Odsunął ją. – Znajdź Siobhan.

– Mike, co się...

– Zrób to natychmiast! – warknął.

Spojrzała mu w oczy i pędem pobiegła do baru. Graham obrócił się bokiem do namiotu i czekał.

– Mike, co się dzieje? – dopytywała się Sabrina po powrocie.

– Dlaczego jej nie zapytasz? – odparł Graham, obrzucając Siobhan lodowatym spojrzeniem.

– O co miałaby mnie pytać? – Siobhan była zakłopotana.

– Dlaczego nie ostrzegłaś nas przed przyjacielem pana Drago?

– Przyjacielem? Jakim przyjacielem?

– Dam ci opis, a ty rusz mózgowicą. Około pięćdziesięciu pięciu lat, krótkie ciemne włosy, siwy wąs, wyraźny rosyjski akcent. Mam kontynuować?

– Wiem, o kim mówisz. Pojawił się, gdy byłeś w domu. Nie wiem, kto to jest, jeśli o to ci chodzi.

– A ja sądziłem, że jesteś tu najlepszym ekspertem w zakresie hierarchii KGB – rzucił Graham z sarkazmem.

– Znam tylko tych, którzy tu przyjeżdżają regularnie. A tego nigdy dotąd nie widziałam.

– Kto to jest, Mike? Obie nas przyłapałeś na niewiedzy. – Sabrina próbowała ratować Siobhan.

– Czy nazwisko Jurij Leonow mówi coś któreś z was?

Obie skinęły głowami.

– To jest Leonow? – spytała Siobhan z niedowierzaniem.

– Jurij Leonow, szef Departamentu V, odpowiedzialnego za penetrację obcych wywiadów.

Na pewno jeden z najważniejszych ludzi w KGB.

– Zawsze wiedziałam, że to twardogłowy, który nie wyściubia nosa za granicę. – Siobhan wytrzymała spojrzenie Grahama. – Jesteś pewien, że to on?

– Oczywiście. Spotkałem go twarzą w twarz na granicy sowiecko-fińskiej, jeszcze gdy byłem w Delcie. – Graham lekko dotknął ramienia Sabriny. – Dlatego odegrałem tę scenę z całowaniem. Gdyby mnie zauważył, byłoby po nas.

Sabrina pokiwała głową ze zrozumieniem. – A co on tu robi?

– Może Siergiej wygrzebie coś. – Zwrócił się do Siobhan. – Natychmiast muszę się stąd wynosić. Znajdź mi tego kierowcę...

– Felipe – przypomniała Sabrina.

– Tak, Felipe. Niech czeka na nas przy recepcji. I przeproś Schradera w moim imieniu, powiedz, że źle się poczułem. Drago potwierdzi.

– Zdaj się na mnie. Oboje musicie stąd zniknąć.

– Taki mamy zamiar, I dziękuję.

– Drobiazg. Zadzwoń do was jutro koło południa. Nie wiem, jak wy, ale do tego czasu nie ma mnie dla świata.

Graham i Sabrina okrążyli najbliższy róg namiotu i... znaleźli się twarzą w twarz z Drago i Leonowem.

Drago spojrział na nich. – Jak pański żołądek, panie Graham?

– Jeszcze trochę nawala. – Graham posłał mu bolesny uśmiech.

– Amerykanie! – burknął Leonow pogardliwie i kontynuował rozmowę z Drago.

– Jesteś pewien, że to on? – spytała Sabrina, gdy oddalili się od namiotu.

– Jak najbardziej. To Leonow od stóp do głowy.

– Ale dlaczego nic nie powiedział? To była świetna okazja, zwłaszcza przy kimś takim jak Drago.

– To nie ma żadnego sensu – mruzczał Graham pod nosem, gdy wchodzili po schodach. To nie ma żadnego sensu...

Siobhan obserwowała ich dopóki nie zniknęli w windzie i przeniosła wzrok Leonowa. A więc to był kontakt Drago! Znaczyło to, że przekazanie koperty ma nastąpić tu, na przyjęciu. A także, że Drago ma ją w tej chwili przy sobie. W której kieszeni? Mogła sobie pozwolić tylko na jedno podejście i nie było mowy o popełnieniu błędu. Logicznie rzecz biorąc, powinien mieć ją w kieszeni koszuli. Ale czy rzeczywiście? „Musi tam być”, powiedziała do siebie. Wypiła spory łyk wody Perrier, aby zwilżyć gardło suche jak wiór. Podeszła do Drago i Leonowa.

– Chodź, André, ani razu jeszcze nie tańczyłeś.

– Wiesz, że nie tańczę – odparł z irytacją w głosie.

– Najwyższy czas się nauczyć. Wyciągnęła rękę udając, że chce chwycić za obcas swego

bucika, i potknęła się w kierunku Drago. Szklanka wypadła mu z rąk – doskonała dezorientacja przeciwnika. Podczas gdy on podtrzymywał ją przed upadkiem, wyciągnęła kopertę z kieszeni koszuli – rzeczywiście tam była – i szybko schowała w kieszonce spódniczki.

– André, tak mi przykro. – Ze skruszoną miną podniosła szklankę. – Przyniosę ci nowego drinka.

– W porządku. – Drago wziął szklankę z ręki Siobhan. – Nic ci się nie stało?

– Nie, nic. – Spojrzała w dół na dziurę w pończosze. – Muszę iść zmienić. Przepraszam panów.

– I wy na Zachodzie uważacie takie kobiety za atrakcyjne? – Leonow patrzył, jak Siobhan, ekstrakt wdzięku i urody, zmierza ku schodom w poprzek trawnika.

– Wątpię, czy jest tu choć jeden mężczyzna, który nie zaryzykowałby swego małżeństwa dla jednej nocy z nią – Drago przytknął palcami na przechodzącego kelnera. – Woda sodowa, bez lodu. – Łącznie z wami, Drago? – Leonow patrzył ze zgorzaniem na orkiestrę, która właśnie powróciła po dziesięciominutowej przerwie, i zaczęła grać kolejną hałaśliwą sambę, podrywając dziesiątki ludzi do tańca.

– Ja nie jestem żonaty, towarzyszu Leonow – I odparł Drago i przeprowadził go do spokojniejszej części ogrodu. – Najbardziej wymijająca odpowiedź, jaką kiedykolwiek słyszałem.

– Ale szczerza – odparowały – Nie jestem ani żonaty, ani też człowiekiem Zachodu.

– Ale jesteście zadowoleni z pobytu na Zachodzie?

– A jaki mam wybór? Albo mogę tu szukać szansy, albo wrócić do domu tylko po to, żeby ujrzeć przed sobą pluton egzekucyjny. – Drago wziął szklance z tacy przechodzącego kelnera, rozejrzał się wokół i zwrócił do Leonowa. – Zakładam, że ma pan towar ze sobą?

– Naturalnie. A wy macie kopertę?

Drago sięgnął do kieszeni koszuli. Była pusta. Z desperacją zaczął sprawdzać wszystkie kieszenie, wreszcie spojrzał na Leonowa z przerażeniem w oczach. – Gdzieś znikła! – Nagle cisnął szklanką o ziemię. – Dziwka!

Leonow schwycił go za ramię. – Co się stało?

– Ta kurwa rąbnęła mi kopertę, kiedy niby to upadła na mnie!

Drago wziął radiotelefon do ręki i przytknął go do ust. – Czy panna St Jacques wyjechała?

– Tak, przed minutą.

– Niech Larrios podjedzie pod recepcję. I dwóch strażników, uzbrojonych.

– Tak jest, sir.

Drago wyłączył radio i zwrócił się do Leonowa. – Wrócę za godzinę, z kopertą.

– Słuchajcie no, Drago. Nie będę tu sterczał, aż wy załatwicie swoje problemy. Po pierwsze, nie powinienem był zgodzić się na przyście tutaj. Spotkamy się, tak jak planowaliśmy, jutro

w umówionym miejscu. Jeśli nie przyjdziecie, to interesu nie ma i wracam do Moskwy pierwszym samolotem. Nie muszę mówić, co będzie, jeśli wrócę z pustymi rękami.

– Proszę, towarzyszu Leonow, jedna godzina!

– Ani minuty! Jutro wieczorem macie swoją ostatnią szansę na przekazanie koperty. – Leonow przywołał kelnera i poprosił o podstawienie samochodu pod recepcję.

Drago puścił się pędem po schodach i przez foyer do windy. Czarny mercedes czekał już na podjeździe. Jeszcze zanim Drago zamknął za sobą drzwi samochodu, Larrios ruszył z piskiem opon w kierunku pierwszej z dwu bram. Obie czekały już otwarte, aby nie opóźnić nagłego wyjazdu szefa. Drago wyjął ze schowka leżący tam CZ 75 i wkręcił tłumik. Teraz dopiero spojrzał do tyłu na strażników. Santin, głęboki eks-policjant, wyrzucony ze służby za łapówki, głównie od Drago, oraz Canete, były lewicowy terrorysta z Urugwaju, który musiał uciekać z kraju, gdy informator wskazał go policji. Obaj świetnie nadawali się do roboty, którą planował.

Drago objaśnił im krótko zadanie, po czym przez radio zapytał centrum ochrony o numer rejestracyjny należącego do Siobhan metalicznego porsche cabrio, zanotowany w bazie danych komputera. Podał numer strażnikom, odłożył radiotelefon i usadowił się wygodnie w fotelu, z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Ona pierwsza wyruszyła i miała szybszy samochód, ale Larrios znał drogę lepiej niż ktokolwiek. Przewidywał, że dogoni ją w okolicy plaży, gdzie *Carnaval Bandas*, uliczna zabawa, zawsze blokuje ruch o tej porze. Tam ją zabije.

Siobhan, zbliżając się do plaży, również myślała o ulicznych balach. Brała w nich udział dostatecznie wiele razy, aby wiedzieć, w jakim stopniu potrafią utrudnić ruch uliczny. „Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka” – przemknęło jej przez myśl stare przysłowie na widok sznura samochodów stojących przed nią. Zatrzymała auto i wychyliła głowę przez okno, aby lepiej przyjrzeć zabawie. Uczestniczyło w niej przynajmniej dwieście osób, a więc mogłaby schronić się między nimi przez jakiś czas. Możliwe, że Drago już po kilku minutach zauważył brak koperty i już ją ściga. I to nie tylko po to, by odzyskać kopertę, ale również by dać jej nauczkę za zrobienie z niego durnia wobec Leonowa. Spojrzała do tyłu, lecz jedynym samochodem za nią był obtłuczony volkswagen ze starym cariocą za kierownicą. Co robić, zostać w samochodzie? Czy Drago zjawi się, zanim rozbawione towarzystwo przeniesie się dalej? Spotkanie z Caseyem Morganem, jej łącznikiem z CIA, miała umówione na Niemeyer Avenue o wpół do jedenastej. Spojrzała na swego dziewięciokaratowego tissota: dziesiąta dwadzieścia cztery. Jeśli zabawa się gdzieś przeniesie w ciągu dwóch minut, to zdąży na spotkanie bez problemu. Jeśli nie, będzie musiała zostawić swoje ulubione cabrio i iść na piechotę. No, szybciej, szybciej! Nerwowo pukała palcami w kierownicę. Ponownie wyjrzała przez okno – zabawa trwała w najlepsze nie dając nadziei, że przeniesie się gdzie indziej.

Nagle we wstecznym lusterku dostrzegła czarnego mercedesa. Gdy dojedzie, będzie o cztery

samochody z tyłu. Za kierownicą siedział Larrios. Larrios nigdy nie woził nikogo poza Drago. Wcisnęła się w siedzenie – za chwilę rozpoznają jej samochód. Musiała działać szybko. Zdjęła buty na wysokich obcasach. Tenisówki? Dziś rano była na zajęciach aerobiku, więc powinny być gdzieś w samochodzie. Po chwili znalazła je na półce za siedzeniem dla pasażerów. Włożyła je i stwierdziła, że, mercedes już się zatrzymał. Dostrzegła jak Canete wyszedł z samochodu i pochylał się do wnętrza, odbierając jakieś instrukcje od Drago. Jego samego nie widziała, gdyż był zasłonięty innymi samochodami. Przez chwilę miała zamiar uciekać w drugą stronę, lecz porzuciła tę myśl. Jediną rzeczą, jakiej Canete naprawdę nauczył się u urugwajskich lewicowców, była umiejętność celnego strzelania. Lepszą zagrywką było pozwolić mu podejść do samochodu. Po kilku krokach Canete dostrzegł jej samochód i dał Drago znak, podnosząc kciuk do góry. Najbardziej niepokoiło ją to, że Drago może wyjść z samochodu nie zauważony przez nią. Ale musiała podjąć grę. Wyłączyła silnik i zacisnęła palce na klamce drzwi. Jedinym jej atutem było teraz zaskoczenie. Canete podszedł do Cabrio, wsunął rękę w kieszeń i kazał jej wyjść z samochodu. Skinęła głową udając niepewność, patrząc to na niego, to na kluczyk w stacyjce. Zachował się tak, jak sobie obmyśliła – gdy schylił się, by sięgnąć do stacyjki i wyjąć kluczyk, z całej siły pchnęła drzwi waląc go prosto w żołądek. Canete zwinął się wpół z grymasem bólu na twarzy. Wyskoczyła z samochodu jak z procy i pobiegła w stronę tłumu tańczących, gdzie mogła znaleźć chwilowe schronienie.

Drago i Santin wypadli z samochodu i pobiegli za Siobhan. Dziewczyna dotarła do tłumu o dwadzieścia jardów przed Drago i znikła mu z oczu. Santin został zagarnięty przez grupę rozbawionych kobiet, a gdy wyrwał się z ich kręgu, natychmiast porwała go następna fala. Tymczasem Drago podążał za Siobhan ze względną łatwością, gdyż jej strój odcinał się dość wyraźnie od otoczenia. Gdy obok niego pojawił się stękający Canete, Drago kazał mu okrążyć korowód, aby zamknąć Siobhan w pułapce. Santin, któremu w końcu udało się wydostać, zabezpieczył drugą stronę.

Siobhan tymczasem docierała już na miejsce spotkania z Morganem. Santin przeciął jej drogę i już sięgał po nią ręką, gdy niespodziewanie zrobiła unik i z całej siły kopnęła go w krocze; Santin padł jak ścięty. Skierowała się do samochodu, w którym Morgan, widząc co się dzieje, już trzymał nogę na sprzęgle, gotów wystartować. W tym momencie kula pistoletowa przebiła przednią szybę i z otworu w samym środku czoła zastygłego nagle Morgana zaczęła spływać krew. Siobhan odwróciła się z oczami pełnymi przerażenia i ujrzała Drago stojącego pod ścianą. Pistolet z tłumikiem zwisał teraz luźno w jego rękę. Drago uśmiechał się zimno. Gdy zrobił krok w jej kierunku, nagle został porwany przez kolejny korowód tańczących. Zanim znikł za rogiem budynku, dostrzegła jeszcze wściekłość; w jego oczach.

Zacząła biec po ulicy, odpychając pijanych turystów starających się zagarnąć ją do towarzystwa. Roześmieli się i dołączyli do roztańczonego korowodu. Musiała znaleźć telefon.

Ale i tak nie miała żetonu. Zatrzymała się przy kiosku z gazetami i spojrzała za siebie, czy nie widać prześladowców. Ocena nie była możliwa, tłum był zbyt gęsty i ruchliwy.

– Chce pani czegoś czy nie? – zapytał kioskarcz po portugalsku.

– Potrzebuję żetonu, ale nie mam pieniędzy. Zdjęła zegarek z ręki. Tym mogę zapłacić. Daj żeton, tylko jeden.

Kioskarcz podniósł zegarek do oczu i zaczął mu się przyglądać. Masz kłopoty?

– Proszę, daj mi jeden żeton poprosiła i spojrzała za siebie. Nie widać Drago ani jego ludzi.

– Jeden żeton za taki zegarek. W co ty grasz?

Z oczu Siobhan spływały łzy. – W nic nie gram! Boże, dlaczego nie chcesz mi pomóc?

Kioskarcz obrócił zegarek jeszcze raz, wreszcie sięgnął pod kontuar i podał całą paczkę żetonów. Wyrwała mu ją z ręki i pobiegła do szeregu automatów telefonicznych po przeciwnej stronie ulicy. Znalazła w książce telefonicznej numer hotelu Meridien, rozerwała paczkę, rozsypując większość żetonów na chodnik, i drżącą ręką wykręciła numer.

– Proszę z Mike'em Grahamem wyrzuciła z siebie usłyszawszy głos operatora. Po chwili przełączono do pokoju.

– Halo?

– Mike, tu Siobhan. Musisz mi pomoc. Casey zabity, a teraz mnie ścigają...

– Siobhan! – przerwał Graham. Uspokój się i powiedz, co się stało.

– Drago zabił Caseya, mojego łącznika w konsulacie. Zastrzelił go z zimną krwią. A teraz ściga mnie. Mam kopertę.

– Kopertę? Zapomnij o tym. Gdzie jesteś?

– Na Niemeyer Avenue. Nie mogę tu zostać, Drago zaraz mnie dopadnie.

– Dobrze, gdzie się spotkamy?

Rozejrzała się. – Niedaleko stąd jest hotel. „Valencia”. Będę tam czekać. I proszę, spiesz się. Boję się. Oni nigdy nie mówili, że to może tak wyglądać.

– Już lecimy.

Odłożyła słuchawkę i wmieszała się w grupę tancerzy zmierzających w kierunku hotelu Valencia. Nie wiedziała, że rozmowę słyszał Larríos z sąsiedniego boksu. Larríos uśmiechnął się z zadowoleniem i pobiegł do mercedesa, przy którym stał już Drago.

– To miło dowiedzieć się, że jest jeszcze ktoś, na kogo można liczyć. – Drago spojrział z pogardą na Santana i Canete.

– Szefie, zaskoczyła nas – wymamrotał Canete niepewnie.

– Ty to mówisz?! – Drago machał palcem przed nosem Canete. – Jeszcze jeden taki obciach, a obaj wylądujecie z powrotem na patrolowaniu parku. Wyrażam się jasno?

Skinęli głowami nie patrząc mu w oczy.

– Ile czasu potrzebują na dotarcie z „Meridien” do „Valencii”?

Larrios zastanowił się. – Co najmniej dwadzieścia minut, jeśli złapią taksówkę. Jeśli pojedą sami, to trzydzieści do trzydziestu pięciu minut. Valencia nie jest łatwa do znalezienia, jeśli się nie zna terenu.

– Co to za hotel?

– Trudno to nazwać hotelem, panie Drago. Urzędują tam głównie prostytutki.

– Jak daleko stąd?

– Kilka minut samochodem.

Drago sprawdził czas. – Założmy, że znaleźli taksówkę w trzy minuty po rozmowie. Jak dawno temu to było? Pięć minut? To znaczy, że osiem minut minęło. Jedź, Larrios. Czas skończyć tę zabawę raz na zawsze.

Gdy Siobhan dzwoniła, Sabrina była w łazience. Szybko włożyła dżinsy, białą koszulkę z krótkimi rękawkami i zbiegła do foyer, gdzie Graham już czekał. Oboje byli uzbrojeni. Graham zatrzymał pierwszą z brzegu taksówkę. Usłyszawszy nazwę hotelu, taksówkarz spojrział na nich z powątpiewaniem, ale skinął głową i ruszył z miejsca. Jazda zabrała im pół godziny. Sabrina zapłaciła i dołączyła do Grahama, który już był w kiczowato urządzonym foyer hotelu Valencia. Śmierdziało tanimi papierosami, chińskimi trociczkami i kiepskimi perfumami. Stojący w recepcji przyszczaty młodzik włożył do ust gumę do żucia i zawiesił beczelne spojrzenie na Sabrinie. Graham przytknął mu palcami tuż przed nosem, aby zwrócić jego uwagę. – Panna St Jacques, który pokój?

Szczeniak spojrział niechętnie na Grahama i położył przed nim kopertę. – Pan Grayham?

Graham wziął kopertę i rozerwał ją. W środku był krótki list:

Mike, Sabrina

Jestem w pokoju 8, na końcu korytarza pierwszego piętra. Zapukajcie dwa razy, przerwa i trzy razy, abym wiedziała, że to wy.

Siobhan

Graham podał list Sabrinie i pokazał jej kopertę, na której widniało jego nazwisko.

– Charaktery pisma się różnią – stwierdziła.

– Po co pisać list, a potem prosić kogoś o zaadresowanie?

– Gdy się otworzyło kopertę, aby przeczytać list, trzeba wziąć drugą kopertę – logicznie wnioskowała Sabrina.

– Dokładnie tak. Na zewnątrz widziałem zapasowe schody przeciwpożarowe. Ty je obstawisz. Ja wejść przez sypialnię. – Ujął ją za rękę, gdy już zwróciła się w stronę wyjścia. – Nie tędy. Ten gówniarz na pewno zadzwoni do nich, gdy tylko zejdziemy mu z oczu. Ktokolwiek

jest na górze, nie może sądzić, że coś podejrzewamy, więc zachowujmy się normalnie. Wyjdiesz na te schody z pierwszego piętra.

Weszli na schody pokryte purpurowym dywanem, odpięli pistolety i poszli na koniec korytarza, gdzie Sabrina cicho otworzyła zapasowe drzwi wychodzące na schody przeciwpożarowe przy zewnętrznej ścianie budynku. Zajęcie dogodnej pozycji przy otwartym oknie sypialni będzie łatwe. Poprosiła o dwadzieścia sekund i zniknęła na zewnątrz, ostrożnie zamykając drzwi za sobą. Graham przyłgał do ściany obok drzwi pokoju Siobhan, mocno zaciskając pistolet w garści. Policzył do dwudziestu i zapukał – dwa razy, przerwa, trzy razy. Drzwi uchyliły się częściowo i w szczelinie ukazał się UZI Santina z długim tłumikiem na lufie. Graham rzucił się na drzwi barkiem. Santin zawył z bólu, gdyż dostał krawędzią w twarz i upadł do tyłu, UZI zaś wyleciał mu z rąk. Graham otworzył drzwi i wszedł ostrożnie. Dostrzegł Santina w ostatnim momencie; było już za późno na uchylenie się przed ciosem w ramię stojącą lampą. Santin rzucił lampę, podbiegł do balkonu, przeskoczył barierkę i zszedł na ulicę po kracie altanki. Graham wyskoczył na balkon już tylko po to, aby dostrzec Santina znikającego w tłumie roztańczonej gawiedzi.

– Mike, nic ci nie jest? – zapytała Sabrina od drzwi.

– Nie. – Graham masował ramię.

– Co się stało?

– Uciekł. Co z tobą?

Trzymaną w ręce berettą Sabrina wskazała drugi pokój. – Tam jest jeszcze jeden. Podkraśliam się do niego, gdy pukalesz do drzwi. Jest cacy, ale chyba żyje.

Graham znalazł UZI Santina częściowo wsunięty pod łóżko. Odsunął Canete od drzwi i zamknął je za nim.

– Mike? – zawołała Sabrina z łazienki.

Graham rzucił się do łazienki. W wannie leżała Siobhan z przestrelonym sercem.

Graham wziął kapę z łóżka i przykrył nią ciało Siobhan.

Sabrina siedziała na brzegu wanny machając bezwiednie pistoletem. Graham położył rękę na jej ramieniu próbując ją pocieszyć, ale strząsnęła jego dłoń. Nagle wstała i skierowała się w stronę drzwi sąsiedniego pokoju.

Zastąpił jej drogę. – Zabicie go nie jest żadną odpowiedzią, Sabrino. Wiesz o tym. Pamiętasz, co Siobhan mówiła o metodzie zabijania Drago? Jedna kula prosto w serce.

Sabrina patrzyła na bezwładną postać Canete, pistolet wypadł jej z ręki. – Od czasu śmierci jej ojca byliśmy pierwszymi ludźmi, przy których czuła się swobodnie. Powiedziała mi to dziś po południu. Mogłyśmy być wiernymi przyjaciółkami przez długie lata. Teraz... – Przerwała nagle i zwróciła się do Grahama. – Mamy więźnia, możemy go przesłuchać.

– Tak. Przynies trochę wody, posadzę go przy ścianie.

Gdy wróciła do sypialni ze szklanką wody, Canete siedział oparty o nocną szafkę, głowa zwisała mu bezwładnie. Z rozcięcia za uchem płynęła strużka krwi. Sabrina chlusnęła mu wodą w twarz. Canete podniósł głowę i otworzył oczy. Tym, co zobaczył, była lufa beretty Grahama. Poczł okropny ból w głowie, ale opanował chęć wykonania jakiegokolwiek ruchu; widok lufy zawsze działał na niego bardzo uspokajająco. Graham zapytał go o nazwisko. Canete przedstawił się.

– Dla kogo pracujesz? – zapytał Graham kwaśno.

Canete milczał.

Graham huknął go w czoło, skutkiem czego Canete uderzył głową w szafkę. Wrzasnął z bólu i chwycił się rękami za głowę. Graham powtórzył cios, tyle że mocniej.

– Rozumiem, że nie chcesz nic mówić, zanim nie przyjdzie twój adwokat. Rzeczywiście, potrójne morderstwo to niezły pasztet. I pewnie uważasz, że Drago cię z tego wyciągnie. Nie sądzę, aby się tobą przejmował, świetnie się nadajesz na kozła ofiarnego.

– Pan Drago pomaga.

– Więc przyznajesz, że dla niego pracujesz? – spytała Sabrina.

Canete wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

Graham uderzył go lufą beretty w twarz. Canete złapał się za policzek, przez jego palce płynęła krew.

– Gadaj albo zacznę ci łamać palce, jeden po drugim.

– Pracuję dla Drago – wrzasnął Canete i spojrzał na Sabrinę. – Potrzebuję ręcznik. Dużo krwi.

– Dostaniesz ręcznik, gdy odpowiesz na pytania – warknął Graham. – Powiedz o kopercie.

Canete już miał zamiar zaprzeczyć, że wie cokolwiek gdy zauważył, że Graham uderza ręką w jego dłoń, lekko, ale za każdym razem coraz mocniej. – Koperta należy do Drago. Nie znam, co w środku.

– Skąd wiedział, że panna St Jacques jest tutaj?

– Larrios, on słyszy...

– Kto to jest Larrios? – przerwał Graham.

Canete wzdrygnął się. – On jeździ dla pana Drago.

– Mów dalej.

– Larrios, on słyszy, ona mówi w telefon. Mówi pan Drago. Larrios, on zna chłopiec w *recepcao*, nie wiem po *ingles*.

– Recepca.

Canete spojrzał na Sabrinę. – Fala portugues?

– Mów po angielsku! – warknął Graham.

– *Sim*, ja mówię *ingles* – przyznał gorliwie Canete. – Pan Drago daje chłopiec pieniądze, on

pokazuje mu list. My przychodzimy do pokoju. Pan Drago pyta o kopertę. Mówi, że ją zabija, jeśli mu nie oddaje. Ona mu oddaje.

– I co wtedy? – zapytała Sabrina.

– Ona zastrzelona.

– Kto ją zastrzelił? – spytał Graham. Canete otarł pot z czoła, rozmazując krew. – Pan Drago zastrzela ją. On mówi mnie i Santin włożyć ciało w wannę i czekać na was.

– Czy kazał nas zastrzelić?

– *Sim.*

Graham wstał i odprowadził Sabrinę na bok. – Nic nam po nim. Nam jest potrzebny Drago.

– Mike, on jest jedyną naszą szansą na przyskrzynienie Drago. Jego zeznanie wystarczy, aby Drago dostał wyrok śmierci.

– A myślisz, że jak długo on przeżyje pod opieką policji z tym, co wie? Drago go załatwi, zanim ten zdąży wziąć do ręki pióro, aby podpisać zeznanie.

Niespodziewanie Canete rzucił się na nich i uderzył bliżej stojącą Sabrinę powalając ją na ziemię, przedtem jeszcze chwycił UZI leżący na krześle przy oknie. Zanim jednak zdążył podnieść pistolet do góry, Graham i Sabrina wystrzelili jednocześnie, trafiając go w pierś. UZI wyleciał mu z ręki, gdy przekręcił się i wypadł za okno. Podbiegli do okna – Canete leżał rozciągnięty na przeciwpożarowych schodach, z ręką wykręconą do tyłu i złamaną podczas upadku. Graham wyszedł na schody i przystawiając mu pistolet do szyi, sprawdził puls. Pokręcił głową i wskoczył z powrotem do pokoju.

– Spadajmy stąd – powiedział chowając pistolet. – Drago już na pewno rozpuścił psy gończe, gdy dowiedział się, co tu zaszło. Lepiej tu nie być, gdy przyjdą, zwłaszcza jeśli to będą policjanci.

Zamknęli drzwi i poszli kiszkowatym korytarzem, potem schodami do foyer.

– Mam coś dla ciebie od pani z pokoju ósmego – Graham palcem lewej ręki przywołał przyszatego recepcjonistę. Ten wstał i podszedł do kontuaru ciągle żując gumę. Graham prawą ręką błyskawicznie wyciągnął beretę z tylnej kieszeni i z całej siły uderzył go w nos rękkojeścią. Schował pistolet i razem z Sabriną wyszedł na ulicę.

– Co jest w tej kopercie i dlaczego jest tak cholernie ważna dla Drago? – Graham rzucił pytanie w przestrzeń, gdy już szli w kierunku Niemeyer Avenue. – Cokolwiek to jest, ma równie wielkie znaczenie dla CIA.

– A także dla KGB – dodała Sabrina.

– Tego nie wiemy na pewno.

– Co w takim razie robi tu Leonow? Nie sądzę, aby przyjechał na karnawał.

Zatrzymali taksówkę i wrócili do hotelu.

Rozdział XI

Kolczyński wyrzucił niedopałek papierosa za burtę „Królowej Copacabany” i spojrzał na swój fosforyzujący zegarek: 11:07. Nadal nie widać „Palmiry”. Wziął następnego papierosa z paczki leżącej obok na ławce, przypalił go i spojrzał na Whitlocka, który zatopiony w myślach, stał pochylony opierając się o barierkę. Whitlocka wyraźnie coś gryzło, ale Kolczyński nie należał do tych, którzy by namawiali kogokolwiek do zwierzeń. Gdyby Whitlock potrzebował współczującego słuchacza, to był gotów. Nie ma jednak nic bardziej irytującego niż psychiatra – amator, który na siłę wkracza w cudze problemy w zarozumiałej wierze, że potrafi je rozwiązać.

– Nie jesteś dziś gadatliwy – Whitlock niespodziewanie przerwał ciszę.

– To samo można powiedzieć o tobie. – Kolczyński podniósł się z ławki i podszedł do Whitlock’a.

– Chyba tak. – Whitlock gapił się na morze. – Siergiej, czy Wasilisa popierała to, że zajmujesz się taką robotą?

Kolczyński oparł się rękami o barierkę i rozważał pytanie. – Może ujmę to tak. Ona nienawidziła Zachodu. – Zauważył niepewność w oczach Whitlock’a. – Po prostu była bardzo przywiązana do swojej rodziny i nie znosiła oderwania od niej. Rozumiesz więc, czym było dla niej szesnaście lat za granicą.

– Czy rozmawialiście o tym kiedykolwiek?

– Ona pochodziła z wojskowej rodziny. Miała głębokie przekonanie, że świętym obowiązkiem żony jest być przy mężu, niezależnie od tego, co się z tym wiąże. Oczywiście, próbowałem z nią rozmawiać, ale zawsze albo zmieniała temat, albo odpowiadała, że jest dumna z tego, że KGB wybrało mnie na swego reprezentanta na Zachodzie. Jedynym sygnałem z jej strony było to, że nie chciała mieć dzieci tak długo, jak długo przebywaliśmy za granicą. Mówiła, że chce, żeby jej dzieci wychowywały się wśród swoich, to znaczy w Rosji. A oboje bardzo chcieliśmy mieć dzieci. Gdy wróciliśmy, po miesiącu poszła do lekarza i okazało się, że ma raka żołądka. Umarła rok później.

– Życie potrafi robić skurwysyństwa.

– Zależy, jak na to patrzeć. Wasilisa była doskonałą żoną, naprawdę nie mam żalu do nikogo.

– Mógłbym to samo powiedzieć o Carmen – powiedział Whitlock w przestrzeń. – Chciałbym ją tylko zrozumieć.

– Chcesz o tym pogadać?

– Właściwie nie ma o czym gadać, Siergiej. Ona chce, żebym odszedł z UNACO, a ja nie chcę. To wszystko.

Kolczyński nic nie powiedział, czując, że Whitlock próbuje zebrać myśli i ubrać je w słowa.

– Pozostały mi cztery lata roboty operacyjnej. Chcę pozostać w UNACO również później.

Tylko że ona tego nie widzi. Chce, żebym odszedł natychmiast i został konsultantem od ochrony. A ja nie mam ochoty dokonać żywota na instalowaniu systemów alarmowych w butikach przy 5. Avenue. Chyba to rozumiesz?

– A co będzie, jeśli coś ci się przydarzy w ciągu tych czterech lat? Sądzisz, że ona chciałaby zostać wdową?

– Więc uważasz, że ona ma rację? – burknął Whitlock z niechęcią. – A już myślałem, że jesteś jedynym człowiekiem, który jest w stanie pojąć moją sytuację.

– Staram się tylko być „adwokatem diabła”, C.W. – powiedział miękko Kolczyński wyrzucając za burtę kolejny niedopałek. – Próbuję pokazać ci, jak ona może to widzieć. Nie staram się czegokolwiek osądzać, to wasza osobista sprawa. Tylko wy wspólnie możecie to rozsądzić, jeżeli usiądziecie razem i spokojnie porozmawiacie.

Whitlock odwrócił się i przechylił przez barierkę, trzymając ręce skrzyżowane na piersiach. – Co jest lepsze niż mądrość? Kobieta. A co jest lepsze niż dobra kobieta? Nic.

Kolczyński spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Chaucer, pisarz z czternastego wieku.

– Znam Chaucera. I rozumiem jego punkt widzenia.

– Ja również, czasami – Whitlock pokiwał głową. – Ona nie może ponieść straty, Siergiej, oto cc mnie gryzie.

– To działa w obie strony, C.W., pamiętaj.

– To znaczy?

– To znaczy, że ona będzie myśleć w taki sam sposób jak ty. A z tego, co o niej mówiłeś, wnoszę, że należy do tych kobiet, które są najbardziej bezbronne w sprawach sercowych.

– Więc mówisz, że ona pierwsza ustąpi?

– To tylko twoja interpretacja. Powiedziałem, nie stoję po żadnej ze stron. – Kolczyński spojrzał na sztuczne ognie rozbłyskujące nad dzielnicą Leblon. – Chcę ci tylko poradzić, żebyś nie podejmował pochopnie decyzji, której potem mógłbyś całe życie żałować.

– Rozumiem, Siergiej. I dziękuję. Kolczyński wrócił na swoją ławkę i przyłożył do oczu noktowizor. Ustawił ostrość na „Golcondę” i natychmiast zauważył wzmożony ruch na pokładzie. Dwaj ludzie przechylali się przez burtę, gotowi do spuszczenia sznurowej drabinki. Spojrzał poza „Golcondę”. „Palmira” stała na kotwicy jakieś pięćset jardów od sterburty „Golcondy”, z jej pokładu właśnie spuszczano łódź ratunkową. Kolczyński zawołał Whitlocka, podał mu noktowizor i włączył cicho pracujący i silnik dźwigu. Whitlock dołączył do niego. Wspólnie wypchnęli za burtę zawieszony na dźwigu podwodny wehikuł dla płetwonurków i miękko spuścili go na wodę. Kolczyński zablokował dźwig hamulcem i obaj zajęli się specjalnym zaworem regulującym cyrkulację powietrza – urządzenie to służyło do utworzenia pod wodą zamkniętego obiegu powietrza, dzięki czemu na powierzchnię nie wypływały bąble

powietrza zdradzające obecność pletwonurka. Umieścili sobie na piersiach takie urządzenia, na plecy założyli butle tlenowe. Włożywszy jeszcze gumowe rękawice zeszli do wody. Zmoczyli okulary, aby nie pokrywały się mgłą podczas pływania, następnie podpłynęli do podwodnego wehikułu. Kolczyński wczołgał się do pierwszego stanowiska, a Whitlock usadowił się za nim ostrożnie, uważając na trzy piętnastofuntowe miny przyczepne spoczywające koło jego stóp. Włożył ustnik, przez chwilę oddychał, aby się przyzwycząić do czystego tlenu, klepnął Kolczyńskiego po ramieniu i pokazał mu kciuk uniesiony do góry. Kolczyński wcisnął guzik na desce rozdzielczej, uwalniając wehikuł z uwięzi. Włączył silnik, miękko wszedł pod wodę i zapalił światła.

Lavalle zszedł z mostka na pokład i z papierosem w ustach czekał, aż łódź ratunkowa „Palmiry” dopłynie do burty „Golcondy”. Z pokładu rzucono linę i jeden z trzech pasażerów łódki przywiązał ją do dziobu. Po chwili wszyscy trzej wspięli się na pokład po sznurowej drabinie. Ten, który trzymał w ręku szarą torbę, był niski, miał kręcone włosy i pomarszczoną skórę, brązową od ciągłego przebywania na słońcu.

– Jestem Lee O’Brien, kapitan „Palmiry” – powiedział z wyraźnym australijskim akcentem.

– Ty jesteś Drago?

Lavalle pomyślał, że potwierdzenie będzie miało znaczenie psychologiczne i skinął głową. Zignorował wyciągniętą rękę O’Briena i wskazał na torbę. – Czy to jest to?

O’Brien rzucił torbę do jego stóp.

– Sprawdź – rozkazał Lavalle jednemu z członków załogi, który podniósł torbę. – Osiemnaście kilo. Wolałbym, żeby się zgadzało co do grama.

Człowiek z torbą znikł za drzwiami.

– Nic mi nie wiadomo o tym, aby było mało – powiedział ostro O’Brien.

– To nie masz co się martwić. Kolumbijczycy nie mają w zwyczaju nacinać klientów w tego rodzaju interesach. – Lavalle wskazał ręką salon. – Chodźmy się napić, zanim oni tam sprawdzą.

O’Brien wszedł za Lavalle’em do salonu i rozejrzał się z podziwem. – Kurczę, to nie jest najgorsze miejsce na ziemi.

– Co pijesz? – spytał Lavalle, stając za barem.

– Piwo. – O’Brien usiadł na stołku barowym i oparł łokcie na konturze. – Nigdy do tej pory nie wozilem narkotyków. Tylko kontrabanda. Szmuglowałem też nielegalnych do Ameryki, kiedy dziesięć lat temu pływałem na linii Hawana – Miami.

– Przy narkotykach stawki są większe.

– Fakt. Ty nie jesteś tutejszy, nie?

– Nie.

O’Brien wzruszył ramionami na mrukliwość Lavalle’a i łyknął piwa; było zimne jak lód. –

To jaki jest ten wasz karnawał? Słyszałem, że zupełnie niemożliwy.

– Dobry dla interesów.

– Możliwe.

Nagle do salonu wbiegł członek załogi i powiedział coś do Lavalles'a po portugalsku.

– Postaw dwu ludzi w pogotowiu. I przygotuj mi ekwipunek – odpowiedział mu Lavalles po angielsku, wyjął z kieszeni waltera i skierował go na O'Briena. – W co ty się bawisz?

– Nie wiem, o czym mówisz. – W oczach O'Briena widać było strach. – Mówiłem, że nie ruszałem towaru.

– Nie o tym mówię! Widziano światło pod wodą, w pobliżu kadłuba „Golcondy”. O co tu chodzi?

– Nie wiem nic o żadnych światłach. Słowo honoru.

Lavalles przystawił mu lufę między oczy. – Nie będę pytał po raz trzeci!

– Boże Wszechmogący, panie Drago, przysięgam, nic o tym nie wiem, proszę mi wierzyć!

– Policzymy się później – szczerknął Lavalles i wyszedł z salonu, gdzie natychmiast wskazał na dwu marynarzy towarzyszących O'Brienowi. – Zabrać ich do środka! I pilnować.

Najbliżej stojący skinął głową i pchnął ich szorstko w stronę salonu. Obaj zwrócili się do Lavalles'a z protestem.

– Zastrzel pierwszego, który otworzy gębę – warknął Lavalles.

Obaj marynarze zamilkli i dali się odprowadzić do salonu.

Lavalles spojrzał na dwu ludzi stojących przy barierce w kompletnych strojach płetwonurków i uzbrojonych w kusze. – Włączę światła kadłubowe, gdy oni dopłyną do brzegu statku.

– Tak jest, sir.

– Gotowi?

Unieśli kciuki do góry.

– Do roboty!

Whitlock zakładał właśnie ostatnią z trzech min, gdy nagle rozbłysły dwa potężne światła umieszczone w kadłubie statku. Jeszcze nie zdążył o tym pomyśleć, gdy do wody wskoczyło dwóch nurków i obaj skierowali się w jego stronę. Whitlock akurat ustawiał urządzenie zegarowe i najmniejszy błąd mógł spowodować przedwczesną detonację. Praktycznie unieruchomiony, stanowił więc doskonały cel dla przeciwnika. Gdzie jest Kolczyński? Jeden z nurków zauważył minę w pobliżu silnika i zdecydował się przyjrzeć jej bliżej. Drugi płynął nadal w jego kierunku, trzymając kuszę w ręku.

Odpinając kuszę od wehikułu, Kolczyński rozważał dylemat – do którego strzelać? Do tego, który zbliżał się do miny i mógł spowodować natychmiastową detonację, gdyby spróbował ją odczepić? Czy do tego, który podpływał do bezradnego Whitlocka? Dylemat sam się rozwiązał

w momencie, gdy ten pierwszy wyjął nóż w zamiarze oderwania miny od kadłuba. Strzelił, lecz strzała poszła bokiem. Drugi nurek zauważył to i obrócił się w stronę Kolczyńskiego, który desperacko ładował kuszę. Wiedział, że może nie zdążyć.

Nagle odezwały się silniki statku, wciągając pierwszego z obcych nurków między wirujące ostrza śruby okrętowej. Whitlock szybko odwrócił wzrok, starając się nie zwymiotować, gdy oświetlona wokół niego woda pociemniała od krwi. Drugi nurek zastygł w przerażeniu na widok ćwiartowanego kolegi, dając w ten sposób Kolczyńskiemu brakujące dwie bezcenne sekundy. Ten przyłożył kuszę do ramienia i zwolnił spust. Strzała utkwiała w piersi przeciwnika, któremu kusza wypadła z rąk, a zwiotczałe ciało zaczęło opadać w dół aż zniknęło wkrótce z pola widzenia.

Whitlock ustawił mechanizm zegarowy – siedem minut do detonacji. Wszystkie trzy miny ustawione na jednoczesną eksplozję. Silniki nagle wyłączono i do wody wskoczył Lavallo z nożem w rękę. Kolczyński wystrzelił w jego kierunku ostatnią strzałę, lecz chybił. Lavallo skierował się do Whitlocka. Zadał pierwszy cios nożem – Whitlock odparował cios, lecz jego własny nóż wypadł mu przy tym z ręki. Był teraz bez broni. Kolczyński chciał już ruszyć na pomoc, gdy kątem oka dostrzegł nagle jakiś ruch. Ogromny, biały rekin długości dwunastu stóp wyłonił się z ciemności, najwidoczniej znechęcony zapachem krwi. I płynął prosto na niego! Rekin otarł się o pleksiglasową pokrywę wehikułu, skutkiem czego na jego szarawym podbrzuszu pojawiły się szramy. Kolczyński trząśł się ze strachu, nie mogąc oderwać oczu od ponurego potwora. Rekin zniknął w ciemności, ale było pewne, że zaraz wróci. Czy Whitlock widział rekina?

Rekin pojawił się ponownie, tym razem kierując się prosto na Whitlocka walczącego z Lavallo'em. Whitlock dopiero teraz dostrzegł sunącą na niego paszczę wypełnioną zębami, które bez trudu mogły przeciąć człowieka na pół. Z siłą, jaką dać może tylko skrajne zagrożenie, zerwał Lavallo'owi maskę z twarzy i odepchnął się od niego. Atakujący rekin nie jest w stanie zmienić kierunku ruchu w ostatniej chwili. Lavallo, który nie mógł widzieć rekina, nadal próbował walczyć, gdy rekin chwycił go wpół. Whitlock spiesznie odpłynął do wehikułu, wszedł do niego i zasunął pokrywę dla zwiększenia bezpieczeństwa.

Tymczasem Kolczyński patrzył jak zaczadzony – teraz już na dwa rekiny, walczące o łup. W paszczach trzymały to, co pozostało po Lavallo'u, a ich długie, gładkie cielska biły o siebie nawzajem. On sam mógł być tym łupem. Whitlock uderzył go boleśnie w plecy. Kolczyński obejrzał się i ujrzał przed oczami cztery rozcapierzone palce. Zrozumiał – cztery minuty do detonacji. Włączył przednie światło i przez chwilę manewrował pojazdem, aby ujrzeć na kompasie kierunek południowo-zachodni. Zdawało się, że startują bardzo powoli, zbyt powoli, ale gdy nastąpiła eksplozja, byli już dostatecznie daleko. Wypłynęli na powierzchnię, gdzie zdjęli maski i wyjęli ustniki.

„Golconda” przechyliła się ciężko na sterburtę i mimo że tylko rufa stała w ogniu, załoga „Palmiry” najwidoczniej nie miała zamiaru iść z pomocą. Byłoby to bezsensowne, nikt nie mógł już pomóc „Golcondzie”.

– Chciałbym być muchą na ścianie w momencie, gdy Drago się dowie, co się stało z jego cennym ładunkiem. Nie wspominając o reakcji Schradera na wieść o losie jego ulubionego jachtu. Te wiadomości powinny nieco ożywić przyjęcie.

– Oczywiście – mruknął Kolczyński, wciąż jeszcze przeżywając przygodę z rekinami.

– Siergiej, nic ci się nie stało?

– Nie, w porządku – odpowiedział szybko. – Wracajmy na jacht. Zrobiliśmy, co do nas należało.

* * *

– Co się stało? – zapytał Schrader wchodząc do biura Drago. – Byłeś czymś wstrząśnięty, gdy mówiłeś przez telefon?

Drago podniósł na wpół wypalonego papierosa z popielniczki, zaciągnął się i odłożył go. – Miałem telefon od straży przybrzeżnej.

– I co?

Drago patrzył na swoje buty. Ktoś wyprowadził „Golcondę” w morze dziś wieczorem.

– Na czyje polecenie? Wydałem przecież dyspozycję, żeby stała w zatoce Botafogo, zanim popłyniemy na Florydę.

– Wiem, sir.

– Do cholery, André, co się stało? – warknął Schrader, czując, że jego cierpliwość się kończy.

– Na jej pokładzie nastąpiła eksplozja. Zatonęła. Schrader podszedł do okna i popatrzył na morze. – Ty mi mówisz, że „Golconda” zatonęła?

– Tak, sir – głos Drago był dziwnie miękki. – Nie mam jeszcze wszystkich informacji...

Schrader chwycił go za kłapy i pchnął na ścianę. – To radzę ci je zebrać. Biegiem!

– Tak, sir – wymamrotał Drago.

– Co to za bezpieczeństwo, którym ty tu rządysz, André? Gdzie byli twoi pieprzeni strażnicy, gdy ci faceci brali mój jacht? Gdzie byli?

– Właśnie to sprawdzam. Gdyby którykolwiek z nich był winien zaniedbania...

– Co masz na myśli mówiąc „gdyby”? – Schrader odwrócił się do okna. – Gdyby nie zaniedbali, mój jacht nadal stałby w Botafogo. Nie tak?

– Tak, sir.

– Tak, sir – powtórzył Schrader i walnął pięścią w biurko. – Chcę mieć odpowiedzi! I chcę je

mieć szybko!

– Otrzyma je pan, obiecuję.

Schrader podszedł do drzwi, otworzył je kartą identyfikacyjną i wycelował palec w Drago. – Jeśli nie wyjaśnisz tej sprawy do samego końca, jesteś skończony. To ci obiecuję.

Gdy Schrader wyszedł, Drago zatopił się w fotelu za biurkiem i rzucił okulary na leżącą przed nim księgę administracyjną. Sięgnął po następnego papierosa. Co się stało, u diabła? Pierwsze raporty były niejasne, ale on wiedział od razu, że to musiał być sabotaż. To nie mógł być Graham ani jego kobieta. Zostawał ten Whitlock. Nie przejmował się aż tak bardzo utratą przesyłki – i tak to Schrader zapłacił. Nadal miał kopertę, bilet do wolności, a jutro spotka się z Leonowem, żeby załatwić ten najważniejszy ze wszystkich interes. A wtedy ucieknie z Rio jak najdalej. Żadnych Schraderów, żadnych vigilantes, a przede wszystkim koniec z ciągłym rozglądaniem się, czy jakiś ukryty w cieniu strzelec nie mierzy mu w plecy.

Nie, Drago nie przejmował się zupełnie.

* * *

– To niemożliwe – powiedział Kolczyński, gdy Graham i Sabrina zrelacjonowali wypadki na karnawałowym przyjęciu u Schradera. – Musiałeś się pomylić, Mike. Jurij Leonow nigdy w życiu nie wyjeżdżał z Rosji. A nawet gdyby wyjeżdżał, Rio byłoby ostatnim miejscem, do którego by się udał.

– To był on, Siergiej. Przysiągłbym na to.

Kolczyński nie był przekonany. – Nie wierzę. Nie Jurij.

Sabrina wzięła aparat telefoniczny ze stolika i postawiła go przed Kolczyńskim. – Mike go widział, ty nie. Myślę, że powinienes przynajmniej spróbować wyjaśnić.

– Okay, zatelefonuję tu i ówdzie, jeśli wam to sprawi przyjemność. Przynajmniej dowiodę, że mam rację.

Zanim Kolczyński podniósł słuchawkę, Graham położył rękę na telefonie. – Jeśli to nie Leonow, zapłacę za te rozmowy z własnej kieszeni.

– To twoje pieniądze – zaśmiał się Kolczyński podnosząc słuchawkę.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Żarcie! – ogłosił Whitlock po ich otwarciu. Kelner postawił tacę na stoliku. Sabrina podpisała rachunek i kelner wyszedł.

– Komu coś do picia? – spytał Graham otwierając lodówkę.

– Co masz?

– Co się martwisz na zapas, C.W. Powiedz, co chcesz, a powiem ci, czy jest.

Whitlock wziął tost ze stekiem. – Piwo, jeśli masz.

– Mam. Sabrina?

– To, co zwykle. Dziękuję.

– Co z niewiernym Tomaszem? – zapytał Graham, mając na myśli Kolczyńskiego.

Zanim Kolczyński zdążył zareagować, po drugiej stronie słuchawki odezwał się głos.

Whitlock wziął piwo od Grahama i dołączył do Sabriny na balkonie. – Macie stąd piękny widok.

– Przecież to apartament dla nowożeńców, nie pamiętasz?

Sztuczne ognie ciągle oświetlały plażę nad Ipanema.

– A co twój poślubiony mówi na ten widok?

– Odtwarza wyuczone na pamięć teksty. – Uśmiechnęła się.

Whitlock włożył do ust kęs kanapki i wytarł palce serwetką. – Przykro mi z powodu Siobhan. Słyszałem, że się zaprzyjaźniłyście.

– Rzeczywiście – powiedziała miękko. – Mam nadzieję, że pułkownik wyciągnie z Langley coś na temat tej koperty, którą Drago tak miłuje. Mamy teraz prawo, stała się częścią naszej misji.

– Po rozmowie z nim Siergiej sprawiał wrażenie przekonanego, że pułkownik zrobi wszystko, aby się dowiedzieć. Zobaczymy, jeśli ktokolwiek jest w stanie cokolwiek wydostać od chłopaków z Langley, to tylko pułkownik.

– To prawda.

Koło nich pojawił się Graham i podał Sabrinie szklankę diet pepsy. – Hej, nie musicie przerywać gadki tylko dlatego, że ja się pojawiam.

Sabrina nie podjęła wesołego tonu. – Mówiliśmy o kopercie Drago.

Graham ugryzł kanapkę, przechylił się przez barierkę i patrzył na kolorowy tłum kłębiący się przed hotelem. – Drago. Kto to jest? Lub raczej, kto to był? Siobhan miała rację, że nie był zwykłym szyfrantem. I co ważnego jest w tej kopercie, na której i CIA, i KGB chcą położyć łapę?

– Jeżeli rzeczywiście KGB za tym stoi – poprawił go Whitlock.

– To co tu robi Leonow? – odparł Graham.

– Jeśli to Leonow.

– To Leonow – powiedział Kolczyński od drzwi balkonu. – Mike, winien ci jestem przeprosiny.

– Zapomnij o tym. Czego się dowiedziałeś?

– Tylko tyle, że jest w Rio oficjalnie. Później przeprowadzę jeszcze parę rozmów i zobaczę, co mi się uda zdziałać. Ciągle nie mogę uwierzyć. Jurij, tu w Rio!

– Zaczyna tu być tłoczno. Chodźmy do środka.

– Więc nie jesteśmy bliżej odzyskania obrazu? – powiedział Whitlock, siadając na kanapie

obok Kolczyńskiego.

– Zrobiliśmy, co było można – mruknął Graham. – Skąd, u diabła, miałem wiedzieć, że wymieniono sejf?

– Uspokój się, Mike – powiedział Whitlock. – Wiem, że zrobiliście wszystko, co możliwe. Ja tylko stwierdziłem fakt.

– Taak? – W głosie Grahama nadal brzmiała niechęć.

– Mike, nie mówiłeś mi o reszcie swego planu. – Sabrina próbowała obniżyć napięcie.

– Wszystko jedno, i tak nic nie zrobimy bez tego transmitera do otwierania prywatnej galerii Schradera.

– No, Mike, przecież już tyle zrobiłeś dla tej sprawy.

Graham wzruszył ramionami. – Słyszeliście kiedykolwiek o motodeltoplanie?

– Oczywiście, to rodzaj lotni z silnikiem, zbudowanej w dziale technicznym w ciągu ostatnich lat.

– Ściślej, nasze Centrum Szkoleniowe odwalilo prototyp i skonstruowało własną wersję.

– Naprawdę? – zainteresował się Whitlock. – Dlaczego ja nic o tym nie wiem, Siergiej?

Kolczyński poruszył się. – Zeszłego wieczoru zamówiłem przesyłkę. Teraz chyba je jeszcze składają. Gdy Mike opowiedział mi o swoim planie, pomyślałem, że może rzeczywiście będą potrzebne. Zamówiłem trzy sztuki, powinni je dostarczyć jutro rano. Kto wie, może się przydadzą.

– Więc plan polega na tym, żeby przelecieć ponad ochroną i otworzyć sejf używając transmitera? – Sabrina zmarszczyła brwi. – Ale jak dostaniemy się do budynku? Do tego trzeba mieć... – przerwała, gdy Graham wyjął z kieszeni kartę identyfikacyjną i rzucił ją na stół.

– Rąbnąłem to jednemu ze strażników.

Whitlock wziął kartę do ręki i oglądał przez chwilę. Była to zwykła karta magnetyczna z nazwiskiem i fotografią właściciela. – Nic specjalnego. Sądziłem, że mają bardziej skomplikowany system ochrony.

– Zanim tego użyjesz, musisz najpierw dostać się do budynku – powiedziała Sabrina. – A to nie wydaje się specjalnie możliwe.

– Dobrze, czy ktoś ma jakiś plan? – spytał Graham patrząc na wszystkich po kolei.

– Najlepiej by było po prostu wejść do środka – powiedziała Sabrina w zamyśleniu.

Kolczyński łyknął spory haust piwa i odstawił butelkę. – To jest właśnie to, co trzeba zrobić. W końcu, ja też tu jestem.

– Siergiej, bądź poważny.

– Jestem jak najbardziej poważny. – Kolczyński zwrócił się do Grahama. – Z początku odnosiłem się do twojego planu z rezerwą. Był zbyt... zwariowany i nie zanegowałem go tylko dlatego, że nie było nic innego pod ręką. I wymyśliłem swój plan, całkiem prosty. Wyobraź

sobie, że zjawiam się u Schradera, nie zapowiedziany, jako Toysgen. On przecież nie wie, że Toysgen nie żyje.

– Jest pewien szkopał...

– Daj mi skończyć, Mike, potem będziesz się wyżywał. Przekonawszy Schradera, że jestem Toysgenem, opowiadam mu o tym, jak Van Dehn i Keppler, wyrolowali go, oddając mu falsyfikat i zachowując sobie oryginał z zamiarem sprzedania go później. Przeprowadzam test chemiczny, który wykazuje, że to rzeczywiście falsyfikat i proponuję, że wrócę z nim do Amsterdamu, podmienię na oryginał i odeślę do Rio. A wszystko za pieniądze, których Van Dehn i Keppler mi nie wypłacili. Jeśli on się zgodzi, żebym wziął jego rzekomy falsyfikat, to jesteśmy w domu cali i zdrowi. Na drugi dzień będzie wisiał w Metropolitan.

– Drago zna Toysgena, widział go w Amsterdamie. Jak masz zamiar go uniknąć?

– Nie będzie go tam, Mike. Miałem zamiar zadzwonić i wywołać go pod byle pretekstem, ale nasz drogi Jurij Leonow znakomicie ułatwia całą sprawę. Zadzwonię udając Leonowa i zażądam spotkania w ciągu godziny, najlepiej gdzieś w mieście. Drago więc wyjedzie, a C.W. i ja akurat wtedy podjedziemy pod bramę i zażądamy widzenia ze Schraderem.

– A co ja mam tu do roboty?

– Jesteś moim szoferem.

– A co będzie, jeśli on zadzwoni do Metropolitan i sprawdzi, co z Van Dehmem?

– Kazałem wczoraj Pieterowi de Jongh lecieć do Nowego Jorku, jutro będzie w Metropolitan na taką właśnie ewentualność.

– Myślę, że jest tu słaby punkt – powiedział Whitlock po chwili namysłu. – Wszystko zależy od tego, czy Schrader zechce wydać ci obraz.

– Postaw się na jego miejscu – odparł Kolczyński. – Włożył mnóstwo wysiłku i pieniędzy w to, aby włączyć oryginał Nocnej straży do swojej prywatnej kolekcji. I nagle sam autor reprodukcji mówi mi, że został zrobiony w konia. Nie widzę, aby miał jakieś inne wyjście, niż pójść za moją sugestią.

– Jeśli ci uwierzy.

– Uwierzy, C.W. Mam dar przekonywania, gdy tego chcę. Wiesz o tym dobrze.

– Może rzeczywiście warto spróbować – przyznał Graham. – Do czego jestem potrzebny ja i Sabrina?

– Do niczego. Schrader was zna.

– O której jutro startujemy? – spytał Whitlock.

– Spotkamy się w foyer o ósmej trzydzięci.

– Już jest po drugiej – Whitlock wstał powstrzymując ziewanie. – Nie znoszę przerywać przyjęć, ale idę do łóżka.

– A ja wracam do hotelu. Muszę odbębnić jeszcze kilka telefonów.

Sabrina zamknęła za nimi drzwi. Odwróciła się do Grahama i wskazała na jego nogę. – Zauważyłam, że kulejesz. Co się stało?

– Nic takiego. Skaleczyłem się podczas wspinaczki.

– To już słyszałam. Pokaż mi to kolano.

– Wszystko jest w porządku – odparł z irytacją. – Obejrzę sobie w łazience. I przestań mi matkować.

– Chciałam tylko ci pomóc – odgryzła się. A jeśli już, to chyba wiem lepiej, prawda?

– Prawda. Sam mogę się zająć swoimi ranami. Wyszedł wściekły do łazienki, trzaskając drzwiami.

Podniosła do góry ręce w desperackim geście, a nie zdążyła się jeszcze położyć na kanapie, gdy z łazienki doszedł ryk udręczonego zwierzęcia. Wpadła tam – Graham siedział na taborecie z dżinsami opuszczonymi do kostek, rękami trzymał się za nogę tuż powyżej zakrwawionego bandaża pokrywającego skaleczone kolano.

– Co się stało? – spytała z przejęciem.

– Bandaż przyłgął do dżinsów i zerwałem go podczas zdejmowania. Odnowiłem ranę.

Musisz obciąć nogawkę i odkleić bandaż do końca pod prysznicem. – Wzięła nożyczki z parapetu i podała mu. – Potem założę ci świeży opatrunek. Chyba że nie chcesz, abym ci matkowała.

Graham uśmiechnął się słabo i nic nie powiedział. Sabrina zamknęła drzwi za sobą i włączyła radio. Nastawiła „Głos Ameryki”, położyła się i zamknęła oczy.

Graham wyszedł z łazienki po kilku minutach. Miał na sobie biały podkoszulek i niebieskie szorty. Spojrzał na Sabinę, wycierając włosy ręcznikiem, niepewny, czy śpi.

– Zdjąłeś bandaż? – zapytała nie otwierając oczu.

– Tak. – Usiadł na brzegu łóżka.

Zsunęła nogi z łóżka i wyjęła niebieską torbę walizki. Była to standardowa apteczka pierwszej pomocy UNACO, jaką miał każdy agent operacyjny. Ukłękła przed Grahamem i lekko obróciła nogę, aby lepiej przyjrzeć się ranie. Kolano było rozcięte na długości dwóch cali.

– No jak, będę żył? – spytał przeciągając ręcznikiem po plecach.

– Przy odrobinie szczęścia. – Otworzyła torbę i wyjęła z niej butelkę ze środkiem dezynfekującym, bawełniany opatrunek i długi bandaż. – Przygotuj się na ból – przestrzegła przed przyłożeniem nasączonego już opatrunku.

– Okay – odpowiedział i skrzywił się, gdy opatrunek wylądował na kolanie.

– Chyba będziesz miał bliznę, wiesz?

– Są faceci, którzy kolekcjonują rany postrzałowe ze wszystkich stron świata. Ja kolekcjonuję blizny.

Chyba nigdy dotąd nie widziała go tak zrelaksowanego. Mike Graham, największa zagadka

UNACO. Uśmiechając się do siebie, owineła mu kolano bandażem, po czym schowała apteczkę do walizki. Ze zdziwieniem stwierdziła, że Graham przygląda się uważnie swemu odbiciu w lustrze. Przecież nie znosił luster; twierdził, że to podpórka dla próżności. Co więc robił?

Pochwycił jej spojrzenie. – Ta rozmowa o bliźnach przywiodła mi parę wspomnień, zwłaszcza Wietnam.

Sabrina poczuła dreszcz emocji. Nigdy do tej pory nie mówił nic o Wietnamie, do nikogo w całym UNACO. Według określenia Whitlocka, był to temat „tabu”.

– To właśnie zakończyło moją karierę piłkarską – powiedział sunąc palcem po słabo widocznej bliźnie na prawym ramieniu.

– Co się stało? – zapytała.

Usiadł na łóżku i splótł ręce. – Granat odłamkowy. Przez trzy miesiące nie mogłem ruszać ramieniem. To był najbardziej upokarzający okres w moim życiu. Ubierano mnie, jedzenie podawano mi do ust. Boże, nawet żeby zrobić siusiu, musiałem prosić o pomoc. I wtedy pewien szczeniak tuż po kursach medycznych powiedział, że już nigdy nie będę mógł ruszać ręką. To już było wyzwanie. Za cholerę nie mogłem dać bękartowi tej satysfakcji, że ma rację. Rozpocząłem od fizjoterapii. Osiem miesięcy później pojechałem do Tajlandii jako instruktor szkoleniowy dla ochotników. Do dzisiaj nie mogę ruszać ramieniem dalej niż o, tak. – Wyciągnął rękę przed siebie i odchylił ją w bok o kąt prosty. – Coś jest nie w porządku ze stawem w ramieniu, nie znam tego medycznego żargonu. Moje nadzieje, że zrobię karierę jak Dan Marino lub Jim McMahon, rozplynęły się, gdy miałem dziewiętnaście lat.

– Oni są graczami w futbol, prawda? – zapytała niepewnie.

– Tak, są najlepsi na swoich pozycjach.

– Nie znam się na futbolu – powiedziała z przeproszającym uśmiechem. – Nigdy nie byłam na meczu?

– Nigdy? – Graham był głęboko zdumiony.

Pokręciła głową. – Byłam już blisko, gdy umawiałam się z chłopakiem, który był fanatykiem futbolu. Ciągle mnie namawiał do pójścia na stadion Shea, ale nie byłam zainteresowana.

– Nie potępiam cię za to, że nie chciałaś iść na Shea. Wyglądałoby na to, że kibicujesz „Jetom”.

Roześmiała się. – Wy i ten wasz futbol! On mówił dokładnie to samo o drużynie „Giants”.

– Wygląda na to, że już dawno się go pozbyłaś. – Graham również się roześmiał. – Już prawie dzień, idę do łóżka.

Ziewnęła. – Ja też. Pomyśl, jutro powinniśmy być w domu.

– Wszystko zależy od Siergieja.

– Chyba tak.

– Do jutra. – Graham podszedł do kanapy, aby przygotować ją do spania.

– Do jutra.

Sabrina zniknęła w łazience.

Rozdział XII

– Czy już nic lepszego nie mogłeś zdobyć? – spytał Whitlock z dezaprobatą, wolno okrążając obtłuczoną ciężarówkę Isuzu zaparkowaną pod hotelem.

– Jesteś przecież biednym *favelado*, którego wynająłem, aby mnie zawiózł do Schradera. Raczej nie powinniśmy zajeżdżać lśniącym hertzem, nie sądzisz? Ten jest znakomity. Kupiłem go za sto dolarów i to jest to, czego potrzebujemy.

– Nie mówiłeś mi, że mam być *favelado*. Nie jestem właściwie ubrany.

– Znajdziesz łachy z tyłu, jestem pewien, że pasują na ciebie.

Whitlock otworzył tylne drzwi i wdrapał się do środka. Po chwili wyszedł z powrotem z wyrazem wstrętu na twarzy. – Siergiej, te łachy śmierdzą!

– Oczywiście, kupiłem je na hobo w pobliżu mojego hotelu. Musisz prezentować się przekonująco, C.W., bez tego nie oszukamy Schradera.

– Dobrze, kupię kilka ciuchów w sklepie z używanymi rzeczami.

Kolczyński pokręcił głową.

– Siergiej, ja tego nie włożę. Na pewno pełno w nich wszy i pcheł, i Bóg jeden wie, czego jeszcze. A co do smrodu...

– Nie mogę cię zmuszać. W takim razie rezygnujemy z planu. Chodź, obudzimy Mike'a i Sabrinę i wymyślimy coś innego.

– Rezygnujesz z planu z takiego głupiego powodu?

– Powód nie jest głupi, C.W. Toysgen był facetem, który wynająłby właśnie *favelado*, z pewnością nie któregoś z tych eleganckich taksówkarzy. Jeśli będziesz śmierdział wszystkimi zapachami Paco Rabanne, strażnicy od razu to zauważą i przekażą to do Schradera.

– Dobrze, już się przebieram – powiedział Whitlock ponuro i wszedł ponownie do samochodu.

Kolczyński uśmiechnął się do siebie i usiadł na siedzeniu dla pasażerów. Whitlock przebrał się w przepoconą koszulę, flanelowe spodnie i zdarte brązowe pantofle. Zamknął tylne drzwi i usiadł koło Kolczyńskiego. – Teraz wiem, co znaczy metoda aktorska – burknął zjadliwie, wykrzywiając się ze wstrętem.

Kolczyński opuścił okno. Nie zamierzał wdawać się w objaśnianie sytuacji, bo nie sądził, aby Whitlock był z tego zadowolony.

– Mam nadzieję, że znasz drogę – powiedział Whitlock przekręcając starter.

– Jeździłem tam dziś rano. – Kolczyński wziął mapę i rozłożył ją na kolanach. Wylot jest na Niemeyer Avenue.

– Wiele mi to mówi.

– Ty prowadź, ja będę pilotował.

Dojechali do autostrady w ciągu dwudziestu minut.

– Za jakąś milę będzie opuszczona kawiarnia – Kolczyński przerwał dłuższe milczenie. – Stamtąd zadzwonię do Drago.

Szosa zaczęła się wznosić lekko do góry, więc Whitlock zmienił bieg na niższy, machając do samochodów jadących z tyłu, jako że nie miał świateł. Podjechali do kawiarni, Kolczyński wysiadł i skierował się w stronę żółtej kabiny z telefonem. Wrzucił żeton i wykręcił numer.

– *Danae, bom dia*, dzień dobry – odezwał się miły kobiecy głos.

– Muszę mówić z André Drago?

– Mogę zapytać, kto mówi?

– Leonow.

– Jeden moment, sir. Zobaczę, czy pan Drago jest u siebie.

Po chwili: – Mówi Drago.

– Tu Leonow, muszę natychmiast się z wami zobaczyć, Drago.

– Co się stało? Myślałem, że pan chce się spotkać w domu na plaży dziś w nocy?

– Dlaczego od razu nie ogłosicie w prasie, gdzie i kiedy mamy się spotkać?! – Kolczyński warknął w sposób typowy dla Leonowa.

Drago westchnął. – Przepraszam, mam głowę pełną różnych spraw.

– Spotykamy się za trzydzieści minut koło Carmen Miranda Museum.

– Czy mam przynieść kopertę – zapytał Drago niepewnie.

– Oczywiście! – Kolczyński odwiesił słuchawkę i wrócił do samochodu.

– Kupił? – zapytał Whitlock.

– Myśli, że ma spotkanie z Leonowem za pół godziny na drugim końcu miasta. To powinno dać nam czas wystarczający, aby wejść i wyjść z Danae.

– A skąd będziemy wiedzieć, czy Drago rzeczywiście wyjechał?

Kolczyński wyjął lornetkę ze schowka przy kierownicy. – Dzięki temu. Chodź, pokażę ci.

Whitlock poszedł za Kolczyńskim do bariery otaczającej zatoczkę parkingu. Widok był szczególnie – przed nimi rozpościerały się Ipanema i Leblon jak fotografia z broszury biura turystycznego.

Kolczyński podał mu lornetkę, wskazując w kierunku gór za Sao Conrado Beach. – Spójrz na jedną trzecią drogi. Widzisz coś?

– Drzewa – odparł Whitlock. – Dużo drzew.

– To droga, drzewa stoją wzdłuż niej. Spójrz wyżej.

– Nie wiem, co masz na... czekaj, widzę bramę, jakieś dziesięć stóp wysokości. – Whitlock opuścił lornetkę. – To jest wejście?

Kolczyński wziął lornetkę i przyłożył do oczu. – To jest jedyna droga do Danae, Drago musi tędy jechać.

– A skąd wiedziałeś, że stąd można obserwować?

– Znikąd, po prostu szczęście. W drodze powrotnej zatrzymałem się tu i zauważyłem, że stąd widać wszystko jak na dłoni.

Whitlock zauważył jakiś ruch i trącił Kolczyńskiego w ramię. – Zostaw bramę i spójrz przed siebie.

Znad szczytu góry wyłonił się helikopter typu Gazela i skierował się na Sao Conrado Beach. Kolczyński wyregulował lornetkę na kokpicie – bez cienia wątpliwości, w środku obok pilota siedział Drago.

– Nadal chcesz tam iść? – spytał Whitlock.

– Oczywiście. Nadal mamy trzydzieści minut. Wystarczy.

Wrócili na autostradę i milę dalej skręcili na drogę do Danae. Droga wiała się do góry, na ostatnich dwustu jardach wyprostowała się, prowadząc do bramy z kutego żelaza.

Kolczyński wyszedł z samochodu, spojrzał na obserwującą go kamerę, podszedł do interkomu i wcisnął guzik.

– Chciałbym rozmawiać z panem Schraderem.

– Czy jest pan umówiony? – zapytał męski głos.

– Nie, ale jest powód, żebym z nim się widział.

– Pan Schrader nie przyjmie nikogo, kto nie był umówiony.

– Nie jestem umówiony, bo nie miałem okazji. Dziś rano przyleciałem z Amsterdamu.

– Już panu mówiłem...

– Wiem, pan Schrader nie przyjmie nikogo, kto nie był umówiony. Ujmijmy to w ten sposób. Dziś o pierwszej wracam do Amsterdamu i jeśli nie zobaczę się z panem Schraderem, on straci interes wart miliony dolarów. I to będzie pańska wina.

Nastąpiła długa przerwa. – Dobrze, zapytam pana Schradera, czy zechce pana przyjąć. Jakie jest pańskie nazwisko?

– Toysgen.

– Proszę przeliterować.

Kolczyński przeliterował. – Proszę mu powiedzieć o obrazie, on będzie wiedział, o co chodzi.

Po minucie rozległo się metaliczne „klik” i brama się otworzyła. Kolczyński wsiadł z powrotem do samochodu i Whitlock wjechał na teren posiadłości, brama zaś zasunęła się za nimi. Przy drugiej bramie zatrzymał ich uzbrojony strażnik. Zdegustowany obejrzał samochód, podszedł do okna kierowcy i zajrzał do środka.

– Coś nie pasuje? – spytał Kolczyński.

Wartownik przeszedł na stronę pasażera, z zadowoleniem opuszczając śmierzącego Whitlocka. – Zajrzę do tyłu – powiedział uderzając w maskę samochodu.

– Jest otwarty – powiedział Kolczyński.

Strażnik otworzył tył samochodu. Był pusty. Zamknął drzwi, pomachał ręką, aby odjechali. Whitlock wjechał na obszerny dziedziniec i stanął przy recepcji. Kolczyński sięgnął pod fotel, wyciągnął stamtąd czarną aktówkę.

– Co jest w teczce?

– Mam nadzieję, że wystarczy, aby przekonać Schradera, by wydał obraz. – Kolczyński wysiadł i skierował się do szklanych drzwi, które rozstały się automatycznie.

Recepcjonistka uśmiechnęła się do niego. – Dzień dobry, panie Toysgen. Pan Schrader prosił, aby szedł pan prosto na górę. Tam jest winda.

– Które piętro?

– Jest tylko jeden guzik – odpowiedziała.

Kolczyński nie wiedział, że podczas jego oczekiwania na windę zawartość teczki została dyskretnie prześwietlona kamerą rentgenowską. W recepcji zapaliła się zielona lampka i wtedy dopiero drzwi windy się otworzyły. Kolczyński stał, trzymając teczkę przed sobą i gapiąc się na swoje buty, zanim winda przebyła trzy piętra do drugiej recepcji. Druga recepcjonistka zaprowadziła go do stalowych drzwi i otworzyła je swoją kartą identyfikacyjną. Wcisnęła odpowiedni guzik i oboje wjechali na następny poziom. Drzwi otworzyły się na zalany słońcem pokój. Przy oknie stał Schrader z rękami założonymi do tyłu.

– Pan Toysgen, sir – zaanonsowała recepcjonistka.

– Dziękuję, Carla – powiedział Schrader i dziewczyna zniknęła w windzie.

Schrader podał Kolczyńskiemu rękę i wskazał jedno z trzcinowych krzesel. – Proszę usiąść. Mogę coś dla pana zamówić? Kawę? Herbatę? Małe śniadanie?

– Dziękuję, mam tylko kilka godzin w Rio, więc wolałbym od razu przejść do sedna, jeśli można.

– Proszę bardzo.

Kolczyński wykonał nerwowy ruch wokół teczki. – Nie wiem, jak zacząć, panie Schrader. Znaczący, był pan dla mnie bardzo dobry w przeszłości.

– Niech pan mówi jak najbardziej otwarcie. W ten sposób unikniemy nieporozumień.

– Bardzo dobrze. – Kolczyński zwilżył usta końcem języka. – Mam powody sądzić, że *Nocna straż*, którą dał panu Van Dehn, jest fałszerstwem.

Schrader przez chwilę patrzył na dywan, po czym podszedł do okna. – Proszę mówić dalej.

– Jego działanie razem z człowiekiem o nazwisku Keppler...

– Keppler? – warknął Schrader i posłał Kolczyńskiemu przepaszający uśmiech. – Proszę kontynuować.

– Zakładam, że pan zna początkowy plan dokonania zamiany obrazów?

– Ja ten plan wymyśliłem.

– Nie wiedziałem – odrzekł Kolczyński zgodnie z prawdą. – Pierwsza część operacji poszła zgodnie z planem. Van Dehn podmienił obraz w drodze na lotnisko i wywiózł go do Wiednia. Keppler zaś wziął go z powrotem do swego biura i zamienił na drugi falsyfikat, który odesłał do pana.

– Był drugi falsyfikat? – Schrader był zdziwiony.

– Oba sam zrobiłem, ale nigdy bym się nie zgodził, gdybym wiedział, że Van Dehn chce pana oszukać, panie Schrader. Musi mi pan uwierzyć.

– Gdzie jest teraz oryginał?

– W magazynie Kepplera. Jeżeli, oczywiście, jest to oryginał. Dlatego właśnie tu przyjechałem.

Schrader pukał palcem w swój nos zastanawiając się. – Skąd pan to wie?

– Od de Vere i Oosterhuisa, dwóch pracowników Kepplera, którzy brali udział w zamianie. Powinienem powiedzieć: byłych pracowników. Keppler ich wyrzucił nie płacąc ostatniej pensji. Nie mogli pójść na policję, bo sami są zamieszani, więc przyszli do mnie. Rozważyliśmy różne możliwości i zdecydowaliśmy, że przyjadę do pana i sprawdzę, czy pan ma oryginał czy nie.

Schrader nalał sobie szkockiej whisky. – Czy wie pan, co oni chcą zrobić z oryginałem? Jeżeli go mają.

– Oosterhuis mówi, że podsłuchał jak Keppler rozmawiał przez telefon z kimś, kto podwoił pańską propozycję dla Van Dehna. Jego nazwisko brzmiało tak jakoś... Averheart.

Schrader zacisnął szczęki, a ręka na szklance stała się biała. – Eberhart. Ralph Eberhart. To byłby numer dokładnie w jego stylu, zwłaszcza gdy wie, że w ten sposób robi mnie w konia. Co możemy zrobić?

– Musimy najpierw przeprowadzić test chemiczny, by wiedzieć, czy ma pan oryginał. – Kolczyński poklepał swoją teczkę. – Mam wszystko, co potrzeba. Potrzebuję tylko dwóch próbek, żeby włożyć do roztworu. Obie o średnicy około cala. Jedna z Nocnej straży, a druga z jakiegoś obrazu, o którym wie pan na pewno, że jest z siedemnastego wieku. Można to załatwić?

– Oczywiście.

Kolczyński podszedł do okna, gdy Schrader wyszedł. Spojrzał na zegarek. Drago nie było już osiemnaście minut.

Schrader wrócił, trzymając dwie próbki w dwu kopertach oznaczonych A i B. Kolczyński otworzył teczkę, wyjął z niej drewniany stelaż z dwiema próbkami i postawił go na stole. Następnie wydobył z teczki zakorkowaną butelkę i podniósł ją do światła. Showbusiness ma swoje prawa.

– Co to jest? – spytał Schrader.

– Rozcieńczony kwas solny – Kolczyński od – korkował butelkę i wlał po równo do obu

próbówek. Zerknął na Schradera i zauważył zmarszczkę na jego twarzy. – Nie zna pan tego testu?

– Nie mogę powiedzieć, żebym znał.

– Och, a ja zakładam, że tak. Jest całkiem prosty. Wykorzystuje fakt, że im starsze malowidło, tym wolniej farba oddziela się od płótna. Tak więc jeśli Keppler podsunął panu fałszerstwo, to farba rozpuści się znacznie szybciej niż w próbce oryginalnej. Jest pan pewien, że ona pochodzi z siedemnastego wieku?

– Mam test autentyczności: 1641. – Schrader wypił trochę whisky i wskazał na próbówkę. – A czy płótno się nie rozpuści?

– Dobre pytanie. W silniejszym roztworze – tak. Ten roztwór ma współczynnik pH równy pięć. Jest całkiem słaby, ale dostatecznie silny, żeby rozpuścić farbę. Zwłaszcza świeżą farbę.

– To genialne.

– Tak, do pewnego stopnia – Kolczyński oderwał dwa paski papieru lakmusowego i włożył do próbek. Oba zrobiły się czerwone. – Kwas, prawda?

Schrader skinął głową.

– Mógłbym dostać coś do picia? Mam całkiem sucho w gardle.

– Czego pan sobie życzył

– Troszeczkę szkockiej. – Kolczyński wyjął paczkę papierosów z kieszeni i otworzył ją, gdy Schrader się odwrócił. W paczce było kilka papierosów oraz zakorkowana próbówka wypełniona wodą. Odkorkował ją, zamienił jedną z próbek ze stelaża i włożył papierosa do ust, chowając próbówkę.

– Pański drink – powiedział Schrader podając mu szklankę.

Kolczyński przypalił papierosa, a następnie za pomocą pincety włożył próbkę z Nocnej straży do kwasu, drugą zaś do wody. Schrader pochylił się nad próbkami, patrząc to na jedną, to na drugą. W próbce z kwasem farba zaczęła się rozpuszczać. Schrader huknął pięścią w stół i podszedł do okna trzymając ręce w kieszeniach.

– Jak mogę odzyskać oryginał? – spytał cicho.

– Mam pomysł, ale nie wiem, czy pan się zgodzi.

– Słucham z uwagą.

Kolczyński wyjął próbki malowideł z próbek, włożył je do koperty i schował do teczki. – Wezmę falsyfikat ze sobą do Amsterdamu. De Vere i Oosterhuis ukradną oryginał z magazynu Kepplera i zaproponują mu odsprzedanie z powrotem falsyfikatu jako oryginału. Nie będzie miał wyboru innego niż zapłacić, mając na głowie Eberharta.

– A oryginał?

– Przywiozę go z powrotem do Rio i zrobię przy panu kilka testów dowodzących jego autentyczności.

– Dlaczego mam panu ufać?

– Mogliśmy ukraść obraz Kepplerowi już wcześniej, nie oglądając się na pana, i sprzedać na czarnym rynku za taką samą cenę, jakiej żądali Van Dehn i Keppler. Nie zrobiliśmy tego. Wybraliśmy pana.

Schrader masował czoło, głęboko zamyślony, wreszcie wziął do ręki słuchawkę telefonu. – Carla, powiedz Ramonowi, żeby zapakował ten obraz, który pomagał mi wnieść do „sanktuarium”, do oryginalnego pudła i zniósł do recepcji. I powiedz, że ma to zrobić natychmiast! – Odłożył słuchawkę, włożył kartę magnetyczną do szczeliny, a gdy drzwi się otworzyły, sięgnął do środka i przycisnął jeden z guzików. – Tylko nie próbuj mnie oszukać, Toysgen, bo cię zabiję!

Drzwi się zamknęły.

Poczucie tryumfu Kolczyńskiego mącił tylko zegarek – od momentu rozmowy z Drago, która wymiotła go z domu, minęło już dwadzieścia osiem minut.

Pozostawało kwestią, ile czasu będzie potrzebował Drago, aby się zorientować, że został wystawiony do wiatru. Jak zareaguje? Kolczyński wiedział, co by sam zrobił na jego miejscu – radiotelefon do Danae z pytaniem, co się zdarzyło podczas jego nieobecności; na wieść o wizycie Toysgena rozkaz, żeby go zatrzymać w razie potrzeby i natychmiastowy powrót. Miał nadzieję, że Drago nie jest aż tak bystry...

Kiedy wszedł do foyer, recepcjonistka poinformowała go, że obraz zostanie przyniesiony za kilka minut. Wyszedł na zewnątrz i objaśnił Whitlockowi sytuację, ale zanim ten zdążył o cokolwiek zapytać, czterej mężczyźni wynieśli Nocną straż. Kolczyński podał teczkę Whitlockowi i podszedł otworzyć tylne drzwi samochodu. Skrzynia została wsunięta do środka i Kolczyński przymocował ją rzemieniami. Zamknął drzwi i usiadł koło Whitlocka.

Minęli pierwszą bramę i wjechali w drogę pięknie wijącą się wśród zieleni. Gdy wkrótce wyprostowała się ukazując bramę główną, która otwierała się już z wyprzedzeniem, Whitlock odetchnął głęboko z zadowoleniem.

Nagle brama zaczęła się zamykać.

– Zdażymy – syknął Whitlock przez zaciśnięte zęby.

Oczy Kolczyńskiego były szerokie z przerażenia. – Nie zdażymy, C.W., hamuj! Hamuj!

– Takiego wała mnie zatrzymają! – Whitlock wciskał pedał gazu w podłogę.

Samochód zmieścił się w bramie, ale tak, że oba boczne lusterka zostały ścięte tuż przy karoserii. Następnie Whitlock musiał najszybciej, jak tylko można, skrócić kierownicę, aby nie wpaść na drzewo rosnące naprzeciwko bramy. Skrzynia z obrazem uwolniła się i suwała od ściany do ściany.

– Gdybyśmy rąbnęli w tę bramę...

– Odłóż wykład na później, mamy towarzystwo!

Biały helikopter wyłonił się zza wysokich drzew mahoniowych.

– Spróbuję im uciec. Jeśli dojedziemy do autostrady, to jesteśmy bezpieczni.

– Jeżeli dojedziemy. Kto wie jaki on tam ma arsenał.

– I co z nim zrobi? Strzelając do samochodu ryzykuje zniszczenie obrazu. A wtedy Schrader go ukrzyżuje.

Helikopter ustawił się tuż nad nimi i Drago wziął megafon do ręki. – Zatrzymajcie się na skraju drogi, a żadnemu z was nie stanie się krzywda. Powtarzam, zatrzymajcie się na skraju drogi.

Whitlock skręcił w pierwszy zakręt, uzyskując ochronę z drzew mahoniowych. Pilot uznał, że byłoby zbyt niebezpiecznie trzymać się nad nimi, i Drago kazał mu wlecieć ponad drzewa, skąd mogli tylko obserwować dach samochodu migający między gałęziami.

Kolczyński osłonił ręką oczy od słońca i wychylił się przez okno, próbując dostrzec helikopter, ale słyszał tylko szum silnika dochodzący zza gałęzi drzew. Opadł z powrotem na siedzenie i wytarł chusteczką do nos pot z czoła. Wyjął ze schowka cztery żetony telefoniczne i włożył je Whitlockowi do kieszonki koszuli.

– Jeśli Drago uda się nas zatrzymać, to próbuj biec do jakiegoś telefonu, dzwoń do Mike’a i powiedz, co się stało.

– A co z tobą?

– Tylko bym ci przeszkadzał.

Drzewa się skończyły i helikopter ukazał się z tyłu niedaleko za nimi. Drago wychylił się i oddał cztery strzały, jeden po drugim, mierząc w tylne opony. Jedna z kul osiągnęła cel i Whitlock musiał użyć wszystkich swych umiejętności, aby nie wypaść z drogi. W końcu udało mu się zatrzymać samochód.

– Leć! – wrzasnął Kolczyński widząc brak zdecydowania w oczach Whitlocka.

Whitlock otworzył szybko drzwi i wypadł na drogę, tocząc się aż do momentu osiągnięcia dających osłonę zarośli. Drago wyskoczył z helikoptera, gdy tylko ten dotknął ziemi, i podbiegł do zarośli, w których znikł Whitlock. Po chwili koło helikoptera zatrzymał się czarny mercedes i czterech mężczyzn podbiegło do Drago. Wszyscy byli uzbrojeni w pistolety maszynowe Heckler & Koch MP 5. Drago posłał trzech za Whitlockiem, sam wrócił do samochodu. Kabina była pusta, ale po przyjrzeniu się Drago zauważył wysuwaną ściankę pomiędzy kabiną kierowcy i częścią bagażową. Kazał czwartemu strażnikowi obserwować ściankę, a sam przeszedł do tylnych drzwi i poruszył wiszącą na nich sporą kłódkę. Zrobił krok do tyłu i odstrzelił ją, następnie otworzył drzwi. Kolczyński patrzył wprost na lufę CZ 75, powoli podnosząc rękę. Drago kazał mu wyjść, następnie postawił przodem do ściany samochodu i sprawdził mu kieszenie. Były czyste. Strażnik wyjął kajdanki i założył je Kolczyńskiemu z tyłu.

– Przyślę tu zaraz kogoś, żeby zmienił oponę – powiedział Drago do strażnika – ale jeśli coś

się stanie z obrazem, to już tylko Pan Bóg będzie mógł ci pomóc.

Strażnik poruszył się nerwowo. – A co, jeśli kierowca wróci?

– Zabij go! – szczechnął Drago. Wziął Kolczyńskiego za ramię i poprowadził do helikoptera.

Whitlock schował się za krzakiem, gdy jeden ze ścigających go strażników zatrzymał się na chwilę, aby wytrzeć ramieniem pot z twarzy. Kiedy indziej ominąłby go, ale teraz obawiał się, że smród z ubrania jest tak okropny, że każdy jego ruch mógł tamtego zaalarmować. Gdy strażnik wreszcie ruszył dalej, Whitlock przedarł się w kierunku drogi, aż wreszcie ujrzał zaparkowanego mercedesa. To była szansa. Helikopter już odleciał, co znaczyło, że Drago za chwilę zacznie przesłuchiwać Kolczyńskiego. A on będzie w stanie wytrzymać tylko przez określony czas...

Whitlock rozejrzał się i nikogo nie widząc, wyskoczył z kryjówki w kierunku mercedesa. Dobiegając do samochodu ujrzał kątem oka strażnika składającego się do strzału. Natychmiast przekoziółkował za samochód, ułamek sekundy wcześniej, niż tamten posłał mu serię. Strażnik zbliżył się ostrożnie do leżącego na brzuchu Whitlocka i kopnął go w żebro. Żadnej reakcji. Przewrócił go więc na plecy – w tym momencie Whitlock chwycił obiema rękami za lufę karabinu kierując ją w bok, jednocześnie kopnął napastnika prosto w brzuch; wyrwanie mu karabinu z rąk już nie stanowiło trudności. Z buszu wyłonił się drugi strażnik i Whitlock zastrzelił go już prawie siadając za kierownicą. Trzeci strażnik, ten który miał pilnować wozu z obrazem, wystrzelił serię w mercedesa, ale pociski ledwie musnęły pancerną konstrukcję.

Już bez większych trudności dojechał do autostrady i włączył się do ruchu, rozglądając się za automatem telefonicznym.

* * *

Na szelest rozsuwających się drzwi Schrader odwrócił się od okna. Drago wprowadził Kolczyńskiego do pokoju. – Zdejmij mu te kajdanki, André.

Drago nie zaryzykował dyskusji i posłusznie zdjął Kolczyńskiemu kajdanki z rąk.

– Proszę siadać – powiedział Schrader wskazując na trzcinowe krzesło, to samo, na którym Kolczyński siedział pół godziny wcześniej. Kolczyński usiadł z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Muszę wyrazić panu moje uznanie za dobre przedstawienie. Nawet by się panu udało, gdyby André nie zadzwonił, kiedy stwierdził, że wyprowadziliście go w pole. Z mojego opisu zorientował się, że pan nie jest Toysgenem. Powiedział mi również o czerwonej plamce na falsyfikacie, o czym do tej pory nie wiedziałem. – Schrader usiadł na krześle naprzeciw Kolczyńskiego. – Od jak dawna wie pan o zamianie obrazów?

Kolczyński patrzył na dywan.

– Będzie pan mówił, tak czy inaczej. Zapewniam pana, że rozmawiając ze mną zaoszczędzi

pan sobie mnóstwo kłopotów.

Kolczyński nie odrywał wzroku od dywanu. Schrader pochylił się w jego kierunku, ręce trzymając na kolanach. – Proszę mnie nie zmuszać do tego, abym przekazał pana André. On już łamał ludzi silniejszych od pana. Nie wiem, jak on to robi, i nie chcę wiedzieć. Nienawidzę przemocy, ale czasami jestem do niej zmuszony w obronie własnych interesów. To jest właśnie jeden z nich. Dla pana własnego dobra proszę odpowiedzieć na moje pytania. A więc od jak dawna wie pan o zamianie obrazów?

Kolczyński nadal milczał.

Schrader odstawił krzesło. – Zrobiłem, co mogłem. Naprawdę, sądziłem, że ma pan więcej rozumu. André, zabierz go.

Kolczyński musiał grać na czas, ale wiedział też, że ta gra może obrócić się przeciwko niemu. Było to ryzyko, które musiał podjąć. Odtrącił rękę Drago. – To ja zatopiłem „Golcondę”.

– Ty?! – Schrader był zdumiony. – A dlaczego?

– Proszę zapytać Drago.

– Zapytać mnie, o co? – warknął Drago wściekle i zaczął ciągnąć Kolczyńskiego po podłodze. – Chodź, dość czasu już zmarnowałeś.

– Zaczekaj, André, pozwól mu mówić.

– On gra na czas, sir, czy pan tego nie widzi? Już ja wyciągnę z niego prawdę.

– I co wtedy? – powiedział Kolczyński. – Będziesz musiał mnie zabić, prawda? Bo nie możesz ryzykować, że twój boss dowie się, co robisz za jego plecami?

– Mam tego dosyć...

– Zamknij się, André! – Schrader podszedł do Kolczyńskiego. – Kim pan jest?

– Moje nazwisko nic panu nie da. – Kolczyński spojrzał na Drago. – No, powiedz mu, dlaczego „Golconda” została porwana poprzedniej nocy?

– Widzę, że wiesz więcej niż ja – odparł Drago z pogardą. – Więc dlaczego sam nie powiesz?

– No, słucham? – zachęcił Schrader.

– Dwa miesiące temu Drago kupił osiemnaście kilogramów heroiny od Kolumbijczyków. – Kolczyński powtarzał to, co usłyszał od Philpota tego ranka. – „Golconda” została użyta do odbioru heroiny z przepływającego frachtowca. Kto wie ile ofiar pociągnęłoby za sobą rozproszanie tego ładunku po ulicach.

– Wymyślił tę historię, aby zyskać na czasie. Wie pan przecież, że nienawidzę narkotyków tak samo jak pan, panie Schrader.

– Mogę opowiedzieć znacznie więcej o panu Drago, ale już teraz ma pan wystarczający temat do rozmyślań. Od pana zależy, czy będzie pan chciał badać to głębiej.

– Dość już nakłamałeś na mój temat – warknął Drago i wziął kajdanki ze stołu. – Teraz czas, żebyśmy sobie porozmawiali. Sami.

– On mnie zabije – powiedział Kolczyński do Schradera spokojnym głosem. – Powie, że to był przypadek, ale tylko w ten sposób może mnie uciszyć. Wtedy będzie miał pan dowód, że mówiłem prawdę, i on sam go panu dostarczy.

Zadzwonił telefon. Schrader podniósł słuchawkę, przekazał ją Drago i zwrócił się do Kolczyńskiego. – Jeśli stwierdzę, że pan kłamie, oddam pana w ręce André z całą przyjemnością i on zrobi z panem, co zechce.

– A jeśli pan stwierdzi, że mówiłem prawdę?

Schrader podszedł do okna powoli i przeciągnął ręką po twarzy.

– Pan pozwoli, sir – powiedział Drago odkładając słuchawkę.

– Co takiego?

– Obraz jest na dole w foyer.

– Niech go wniosą do „sanktuarium”, obejrzę go później. A co z kierowcą? Złapany?

Drago spuścił oczy w dół. – Nie, sir, udało mu się uciec.

Schrader pokręcił głową z głębokim niezadowoleniem. – Najpierw „Golconda”, a teraz to. Do licha, co się z tobą dzieje, André?

– Udało mu się zaskoczyć strażników – zamruczał Drago.

– Nie potrzebuję przeprosin. Potrzebuję wyników. Wynos się stąd i znajdź go.

Drago obrzucił Kolczyńskiego ponurym spojrzeniem i skierował się do drzwi.

Schrader kazał Kolczyńskiemu przejść do jednej z sypialni, a sam usiadł przy telefonie. Miał kilka bardzo pilnych rozmów do przeprowadzenia.

Rozdział XIII

Natychmiast po telefonie Whitlocka Graham wynajął ciężarowego forda i pojechał wraz z Sabriną na lotnisko, aby odebrać trzy skrzynie przesłane przez UNACO. Następnie oboje pojechali do opuszczonej kawiarni, gdzie Whitlock wyznaczył spotkanie.

Sabrina lekko wyskoczyła z samochodu, zmarszczyła czoło i wciągnęła nosem powietrze. – Skąd ten okropny smród?

– Ze mnie – wyjaśnił skromnie Whitlock i spojrzał na Grahama gramolącego się zza kierownicy. – Mike, przywiozłeś mi ubranie?

– Tak, jest tutaj. – Rzucił mu plastikową torbę. – Nie powiedziałaś jeszcze, co się właściwie stało.

– Potem powiem. Wyciągaj skrzynie, ja wracam za minutę.

Graham i Sabrina spojrzeli po sobie, gdy Whitlock znikł za samochodem, aby się przebrać, i zabrali się do zdejmowania skrzyń z ciężarówki. Whitlock wrócił mając na sobie dzinsy i białą koszulę i dołączył do składania urządzeń przywiezionych w skrzyniach. Były to trzy motolotnie typu Super Scorpion, zasilane silnikiem o mocy trzydziestu kilowatów, zdolne do startu na dystansie zaledwie ośmiu stóp. Każda ze skrzyń zawierała również osłonę kuloodporną Armourshield GPV/25, pistolet maszynowy UZI z trzema magazynkami po czterdzieści nabojów, granat ogluszający, granat odłamkowy i hełm z wbudowanym nadajnikiem, odbiornikiem oraz systemem optycznym zintegrowanym z rodzajem kuszy strzelającej metalowymi strzałami.

Graham, najbardziej doświadczony pilot z całej trójki, postanowił spróbować jako pierwszy. Wpiął się do uprząży dla pilota i włączył silnik. Odsunął od siebie ramę sterowniczą tak, aby skrzydło ustawić w poziomie, i trzymając ręce na skrajnych brzegach ramy sprawdził jej ruch wzdłużny i poprzeczny. Następnie zaczął biec przed siebie, jednocześnie odchylając skrzydło nieco do góry, aby uzyskać siłę nośną. Gdy po chwili znalazł się w powietrzu, przysunął się do ramy sterowniczej, aby wyrównać lot i nabrać prędkości.

Sabrina i Whitlock również wzniesli się w powietrze, powtarzając wszystkie czynności w ślad za Grahamem. Chcąc uniknąć sensacji na plaży Sao Conrado, skierowali się w głąb lądu i na wysokości tysiąca stóp wyłączyli silniki. Widok był jeszcze lepszy niż z Sugar Loaf, ale nie zwrócili na to uwagi, kierując się w stronę skalistej forticy Danae.

Graham pierwszy zauważył dwóch strażników na lądowisku dla helikopterów i nurkującym lotem skierował się w ich stronę. Sabrina i Whitlock podążyli za nim. Graham wyrównał tor lotu na linii jednego ze strażników i zwolnił spust kuszy. Strażnik, trafiony w pierś, okręcił się wokół własnej osi i osunął na ziemię. Drugi posłał Grahamowi serię ze swego hecklera; pociski przeszły skrzydło motolotni i Graham, chcąc wylądować, musiał gwałtownie odepchnąć od siebie sterującą ramę. Strażnik zaczął ponownie mierzyć do niego. Widząc to Whitlock, który już

nie miał czasu na celowanie, gwałtownie skierował swą lotnię w dół i kopnął strażnika w ramię. Ten upadł na barierkę i runął w przepaść krzycząc głośno. Tymczasem Grahamowi nie udało się wyhamować na platformie; dostał podmuch w lewo i po chwili szybował prosto na stojący w środku ogrodu czerwono-biały namiot. Z trudem unikał wejścia pozbawionej części skrzydła motolotni w koziołkowanie, w tym celu przesunął się maksymalnie w prawo, aby poprawić równowagę. Lotnia uderzyła lewą stroną w szczyt namiotu i Graham opadł po chwili na trawę pod jego płachtą. Wyplątał się z uprząży i pobiegł do wyjścia namiotu, aby ubezpieczać lądowanie Sabriny i Whitlocka. Wylądowali zupełnie spokojnie. Ogród sprawiał wrażenie całkowicie opuszczonego. Na pewno przecież mieli kamerę na lądowisku. Czy czekali na nich w budynku? Whitlock i Sabrina dołączyli do Grahama i wszyscy rozglądali się z równie napiętą uwagą.

– Co oni zamierzają? – spytała Sabrina. – Muszą przecież wiedzieć, że tu jesteśmy.

– Wiedzą doskonale – powiedział Graham wycierając pot z czoła. – Możesz się założyć, że ogląda nas teraz jakaś kamera.

– „Wyjdźcie z podniesionymi rękami, a nikomu z was nie stanie się krzywda!” – rozległ się donośny głos z głośnika.

– Drago – szepnął Whitlock. – W ten sam sposób próbował zatrzymać mnie i Siergieja, gdy jechaliśmy samochodem.

– „Macie jedną minutę, aby odłożyć broń i poddać się, w przeciwnym razie otworzymy ogień na namiot. Jedną minutę”.

Graham odciągnął ich od wyjścia. – C.W. i Sabrina, skoncentrujcie się na odnalezieniu Siergieja, ja zajmę się kopertą.

– Zapomnij o kopercie – obruszył się Whitlock. – Musimy przede wszystkim odbić Siergieja a potem odzyskać obraz.

– Pamiętasz dossier Schradera? On nienawidzi oglądania przemocy, zwłaszcza przy użyciu broni palnej. To uraz po handlu bronią. Założę się więc, że w tej chwili poszedł do galerii, do swojego obrazu. A my nie dostaniemy się tam, dopóki nie mamy tego transmitera. Jeżeli zdobędę kopertę, będziemy mieli jakąś pozycję przetargową. To jakaś szansa.

– Jak się dostaniemy do budynku? – spytała Sabrina. – Drago na pewno go obstawił.

– Na pewno – zgodził się Graham i odpiął od pasa dwa pojemniki do wywoływania zasłony dymnej.

– Skąd je masz? – spytał Whitlock, zdziwiony.

– Zażądałem w Centrum Szkoleniowym, aby mi je dołączyli do wyposażenia. Nieraz się w życiu przydają.

– „Macie jeszcze dziesięć sekund, by rzucić broń i poddać się”.

Graham sprawdził zegarek. – Spotkamy się w foyer za dwadzieścia minut.

– Dwadzieścia minut – zgodził się Whitlock. Graham otworzył oba pojemniki i rzucił, najdalej jak mógł, w kierunku budynku. Whitlock i Sabrina wyskoczyli z namiotu i pobiegli pochyleni w stronę zasłony dymnej. Graham wytoczył się do ogrodu na parę sekund przed tym, zanim seria z pistoletu maszynowego przeszła brzeg namiotu. Zatrzymał się dopiero za dającą mu osłonę skałką. Zaczekał, aż rozszerzająca się chmura dymu obejmie również jego pozycję. Trzymając UZI przed sobą, przebiegł szybko krótki dystans przez trawnik do patio. Usłyszał podniecone głosy dochodzące z salonu gier, a po chwili serię strzałów. Uśmiechnął się do siebie. W całkowitej dezorientacji strzelali na ślepo w chmurę dymu. Następna seria, tym razem znacznie bliżej kamiennej fontanny, za którą Graham się ukrywał. Odpiął od pasa granat ogłuszający, cicho podbiegł do ściany budynku i przylgnął do niej tyłem. Dym zaczynał się nieco rozwiewać, co w tej chwili było mu na rękę. Przysunął się do drzwi, wyjął zawleczkę i wrzucił granat do pomieszczenia. Rozległ się czyjś ostrzegawczy krzyk i prawie w tym samym momencie wybuchł granat.

Graham odczekał kilka sekund i wszedł do środka z pistoletem gotowym do strzału. Jeden ze strażników był nieprzytomny po uderzeniu o kant stołu do gry. Drugi klęczał na podłodze, trzymając ręce na oczach, chwilowo oślepiony. Graham uderzył go za uchem, następnie zebrał ich pistolety maszynowe Heckler & Koch MP 58, wyjął magazynki i ulokował je w wazie stojącej w rogu sali. Podszedł do drzwi prowadzących do hallu. Otworzył je, stojąc obok w oczekiwaniu kanonady ze środka. Cisza. Czy wewnątrz ktoś czekał na jego pojawienie się w drzwiach? Jeśli tak, to na pewno zajęli dogodne pozycje. Przypomniał sobie rozkład hallu – jeśli trochę myślą, to powinni być na szczycie schodów. Graham dał nura w drzwi i przetoczył się do ściany dającej mu schronienie. Nadal cisza. Po przeciwnej stronie zauważył kamerę telewizyjną; zniszczył ją pojedynczym strzałem. Zaczął czołgać się w stronę schodów, zatrzymując się co pięć sekund, aby sprawdzić, czy nie ma kogoś z tyłu za sobą. Dotarł do końca ściany i wyjrzał zza węgła na schody. Nadal nikogo nie było. To musiała być pułapka.

Podszedł do windy i włożył kartę identyfikacyjną do szczeliny. Nagle doznał olśnienia – winda jest pułapką! W jej zamkniętej przestrzeni nie miałby żadnych szans. Przyszedł mu do głowy pomysł – użyje windy dla zmylenia przeciwnika, a pójdzie schodami. Było to proste. Nie, zbyt proste. Drago właśnie sądzi, że on tak myśli. Zaklął pod nosem, wszedł do windy i wcisnął drugie piętro. Winda ruszyła w dół. Przylgnął do ściany po stronie przeciwnej do panelu sterowania, aby nie być widocznym z korytarza. Winda stanęła, drzwi się rozsunęły i przeciwną ścianę rozpruła seria z pistoletu maszynowego. Odezwał się czyjś głos po portugalsku i do wnętrza windy wjechała lufa MP 58. Graham chwycił ją lewą ręką, wciągnął zaskoczonego strażnika do windy i uderzył go w skroń kolbą swojego pistoletu. Strażnik upadł na podłogę nieprzytomny. Graham dał nura na korytarz i zastrzelił drugiego strażnika, pilnującego schodów, w momencie gdy ten się odwracał, żeby zobaczyć, co się dzieje z jego kolegą. Podniósł oba MP

58 i wyrzucił je przez okno do morza.

Teraz ostrożnie ruszył w stronę stalowych drzwi na końcu korytarza. Nagle rozsunięły się – Graham padł na ziemię z pistoletem skierowanym na drzwi. Wszystkim, co mógł dostrzec w środku pokoju, było mahoniowe biurko, a za nim wysoki obrotowy fotel odwrócony do okna tak, że nie było wiadomo, czy ktoś w nim siedzi. Graham wstał i obserwował drzwi, wężąc pułapkę.

– Proszę wejść, panie Graham – z fotela dobiegł głos Drago. – Oczekiwałem pana.

Graham zacisnął palec na spuście, ale powstrzymał się od strzelania do fotela. Potrzebował Drago żywego. Wszedł do pokoju i nie zdziwił się specjalnie, gdy natychmiast poczuł chłód lufy przytkniętej do skroni. Trochę bardziej zaskakujące było to, że pistolet ten tkwił w ręku Drago.

– Rzuć UZI i kopnij go – rozkazał Drago.

Graham postąpił zgodnie z poleceniem. Drago popchnął go do ściany i zrewidował. Odpiął granat, podniósł pistolet, wyjął magazynek i wszystko położył na stoliku obok biurka.

Graham spojrzął na fotel. – Magnetofon?

Drago zamknął drzwi guzikiem na panelu sterowania i obrócił fotel ukazując magnetofon. – Jak już powiedziałem, oczekiwałem pana. Po pańskim pełnym ekspresji wejściu tam w ogrodzie od razu czułem, że to właśnie pan idzie do mnie. To był rzeczywiście fascynujący widok. – Przypalił papierosa i położył go na brzegu biurka, cały czas celując w Grahama z CZ 75. – Niestety, pańscy koledzy już uwolnili tego Rosjanina i wygląda na to, że zmierzają do głównej recepcji. Zdaje się, że tam właśnie się umówiliście? – Uśmiechnął się na milczenie Grahama. – Tak myślałem. Proszę się nie przejmować, będzie pan na czas, razem ze mną i kilkoma moimi ludźmi.

– I co wtedy? Czy sądzisz, że oni na widok lufy przy mojej głowie rzucają broń? To są zawodowcy, Drago, oni nie dają się nabrać na groźby i szantaż.

– Powiedziałbym, że wszystko zależy od rodzaju groźby i szantażu – odpowiedział Drago i zaciągnął się papierosem. – To wasze „małżeństwo” było bardzo przekonujące. Nawet ja dałem się początkowo nabrać. Spojrzenia, gesty, takie drobiazgi – to było bardzo prawdziwe. Jeśli nawet pańska partnerka nie jest w panu zakochana, to już na pewno bardzo pana lubi. Zawodowiec czy nie, ma swoje uczucia i podlega emocjom, jak każda kobieta. A pan, panie Graham, jest jej piętą achillesową!

– Grasz w kości, Drago, i wiesz o tym – powiedział Graham, ale bez przekonania.

– Zobaczmy – zadzwonił telefon i Drago go odebrał, nie spuszczać wzroku z Grahama. Wysłuchał w milczeniu i odłożył słuchawkę. – Pewnie będzie pan zadowolony, jeśli powiem, że pańscy koledzy bezpiecznie dotarli do foyer. Sądzę również, że pan chętnie do nich dołączy.

W tym momencie Graham rzucił się nagle na Drago, lewą ręką odsuwając lufę w bok. Drago strzelił instynktownie, ale strzał tylko odłupał tynk ze ściany. Obaj ciężko upadli na podłogę

i tarzając się walczyli o broń. Pistolet wypadł z ręki Drago. Graham próbował sięgnąć po broń, ale Drago zdążył chwycić go za przegub i odepchnąć do ściany. Drago sięgnął po pistolet Bernadelli, ukryty pod blatem biurka. Zdażył go wyciągnąć, ale Graham chwycił go z tyłu za gardło i odciągnął od biurka. Dostrzegł pistolet w jego ręce w ostatnim momencie – złapał za przegub i mocno uderzył wierzchem jego dłoni w kant biurka. Drago jęknął, ale nie wypuścił pistoletu. Dopiero po drugim, mocniejszym uderzeniu bernadelli wypadł mu z ręki pod biurko. Graham spróbował teraz sięgnąć po CZ 75 leżący za nim, lecz Drago wylądował mu na plecach przewracając go i wykopując pistolet spod ręki. Zyskawszy przewagę kopnął Grahama w żebro, następnie zadał dwa ciosy w brzuch i jeden w szczękę. Graham upadł do tyłu na sekretarzyk. Drago już bez przeszkód podniósł CZ 75 i odwrócił się w stronę Grahama z pistoletem w wyciągniętej ręce, pewien sukcesu. Lecz to, co ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach. Graham klęczał za sekretarzykiem, trzymając w jednej ręce odbezpieczony granat odłamkowy, a w drugiej zawleczkę, którą przed chwilą wyciągnął.

– No, strzelaj – powiedział spokojnie wyciągając granat w jego stronę.

– Graham, czy ty jesteś szalony? Obaj nie mamy szans, jeśli to puścisz.

– Tylko wtedy, gdy zdejmę palec z dźwigni. – Graham podniósł się i rzucił zawleczkę na stół. – Liczę do pięciu. Jeśli nie rzucisz pistoletu, rzucam granat.

Drago poruszył się nerwowo. – Graham, ty masz coś nie po kolei...

– Jeden, dwa, trzy...

Drago rzucił pistolet.

– Kopnij go do mnie.

Drago wykonał polecenie.

Graham podniósł pistolet. – Jestem już spóźniony, więc nie będziemy długo gadać. Albo mi oddasz kopertę, albo cię zastrzelę.

– Zastrzel, to na pewno nigdy jej nie dostaniesz.

– Nie, tylko jeśli najpierw cię zastrzelę, a potem dopiero rozwalę twój sejf, to stracę więcej czasu.

Przy założeniu, że ona jest w sejfie – odparł Drago, ale jego arogancja gdzieś uleciała.

Graham wymierzył mu między oczy. – To jak będzie?

Drago starał się wytrzymać spojrzenie Grahama. W jego oczach nie znalazł jednak nic poza nienawiścią. Wiedział, że w tej chwili Graham nie bluffuje. Skinął głową w kierunku sejfu. Ona jest tam.

Otwórz go lewą ręką. Prawą połóż na głowie i tak ją trzymaj.

Drago położył prawą ręką na głowie, zbliżył się do sejfu i lewą ręką wystukał numer kodu. Otworzył drzwi i wyjął kopertę leżącą na wierzchu sterty skoroszytów.

– Ładny chwyt, Drago. A teraz daj mi właściwą kopertę.

Drago spojrział zakłopotany. – To jest koperta, którą miałem dać Leonowowi. O to chodziło, nie?

Graham grał w ciemno, ale przecucie mówiło mu, że Drago kłamie. Zajrzał do sejfu i zauważył w tylnej ścianie maleńkie drzwiczki wbudowane bezpośrednio w skałę. Kazał otworzyć.

– Tam nic nie ma.

– Otwieraj!

Drago otworzył kombinacyjny zamek i wyjął kopertę.

– Włóż mi do kieszeni koszuli – rozkazał Graham.

Drago wykonał polecenie. – Co teraz?

Idziemy do foyer. Jesteś naszą przepustką na wyjazd. – Graham podszedł do sekretarzyka, zdjął magazynek z CZ 75 i rzucił rozładowany pistolet na biurko. Magazynek włożył do UZI. – Teraz odwołaj strażników. Tylko mów po angielsku.

Drago zadzwonił do centrali ochrony, nie spuszczać Grahama z oczu. – Mamy wolne przejście do foyer – powiedział odkładając słuchawkę.

– Mam nadzieję, że tak jest, dla twojego własnego dobra. – Graham wskazał na kartę identyfikacyjną Drago. – Włóż mi to do kieszeni spodni.

Drago postąpił zgodnie z poleceniem. Graham otworzył drzwi przyciskiem przy biurku i przystawił lufę do pleców Drago. – Połóż ręce na głowie.

Drago wykonał polecenie i powoli ruszył w stronę windy. – Jak dostaniemy się na dół? Windą czy schodami?

– Windą. Jeśli mnie się cokolwiek stanie, stanie się również tobie. Nie będziesz miał dokąd uciekać.

Drago zerknął na drzwi prowadzące na schody. To była jego jedyna szansa. Jeśli Graham doprowadzi go do foyer, użyją go jako zakładnika do wydostania się na zewnątrz. Co z nim zrobią? Obawiał się odbezpieczonego granatu, zwłaszcza że wierzył w groźbę jego użycia, ale przecież granat nie wybuchnie od razu, będzie kilka sekund na znalezienie schronienia przed skutkami wybuchu. W pierwszym momencie trzeba się skupić na UZI. Dochodząc do drzwi windy Drago obrócił się nagle i odsuwając pistolet uderzył Grahama pięścią w głowę. Granat upadł na podłogę. Drago dopadł do drzwi prowadzących na schody i wbiegł na nie. Graham chwycił toczący się granat i wyrzucił go za okno. Granat wybuchł na zewnątrz, szkło z szyb obsypało Grahama leżącego już twarzą do podłogi. Wstał i zaklął szpetnie, że tak łatwo dał się wyprowadzić w pole. Coś jest z nim nie w porządku. Cokolwiek robi, z trudem uchodzi z życiem. Dotknął brwi wierzchem dłoni – była rozcięta po ciosie Drago. To go rozzłościło jeszcze bardziej. Otworzył drzwi na schody, penetrując je pistoletem – pusto. Ale na jak długo? Trzeba jak najszybciej dostać się do foyer i spotkać się z resztą, nie ma czasu do stracenia.

Przeszedł dwa odcinki schodów i dotarł do tych prowadzących do foyer. Uprzedził głośno o swojej obecności i wszedł do środka.

Whitlock, który pilnował wejścia na schody, opuścił swój UZI. – Co się tak grzebałeś, do cholery?

– To długa historia – odparł Graham i uśmiechnął się do Kolczyńskiego. – W porządku, towarzyszc?

– Sądząc po wyglądzie, lepiej niż u ciebie.

– Gdzie Sabrina?

– Po drugiej stronie kontuaru, pilnuje windy – odpowiedział Kolczyński i wyrzwał na dziedziniec. – Jak się stąd wydostaniemy? Bramy są sterowane z budynku.

– Tak, z pomieszczenia kontrolnego. – Graham wskazał palcem czarnego mercedesa stojącego obok samochodu, którym Kolczyński i Whitlock przyjechali z rana. – Bierzcie go, a ja załatwię bramę.

– Jak? – spytał Kolczyński.

– Nie ma czasu na tłumaczenie. Dajcie mi pięć minut i wiejcie stąd, brama będzie otwarta.

– Idę z tobą – powiedziała Sabrina zbliżając się od strony kontuaru. Jej UZI był cały czas wycelowany w drzwi windy.

– Sam sobie poradzę – odparł Graham.

– Będziesz potrzebował ubezpieczenia – powiedziała patrząc na niego przez ramię.

– Pozwól mi to zrobić po swojemu, okay? – Graham zwrócił się do Whitlocka. – Daj mi granat odłamkowy.

Whitlock podał mu granat.

– Spotkamy się w tej opuszczonej kawiarni, powiedzmy, za trzydzieści minut.

Kolczyński spojrzał na zegarek. – Mike, myślę o tym, co mówiła...

Graham nie słyszał, bo już zamknął za sobą drzwi i schodził w dół do podziemi, w których mieściło się centrum dowodzenia ochrony posesji. Już na dole stanął przed stalowymi drzwiami, znad których patrzyła na niego kamera telewizyjna zamknięta w szklanym pudle. Uderzył w pudło ręką pistoletu, ale podejrzenie się potwierdziło – cios nie rozbił wzmocnionego szkła. Stanął obok drzwi i włożył kartę identyfikacyjną Drago do szczeliny. Drzwi się rozsunęły. Ze środka posypał się grad kul, obtlukując tynk z przeciwległej ściany. Nastąpiła cisza. Graham dał niskiego nura w drzwi, strzelając w locie. Jeden strażnik został ścięty od razu, drugi dostał tylko jedną kulę w lewe ramię. Graham upadł na betonową podłogę i pistolet wypadł mu z rąk. Ranny strażnik skierował w niego trzymany w prawej ręce MP 58, lecz zanim zdążył nacisnąć spust, w drzwiach pojawiła się nagle Sabrina i położyła go krótką serią.

Sabrina podniosła UZI Grahama i podała mu go. – Mówiłam, że będziesz potrzebował ubezpieczenia.

– Tak, mówiłaś. Dziękuję. – Wyjął kartę identyfikacyjną ze szczeliny i drzwi się zamknęły.

– Co teraz? – spytała patrząc na drugie stalowe drzwi w końcu korytarza.

– Przejmujemy pomieszczenie kontrolne – odpowiedział i zajął pozycję z prawej strony drzwi, polecając jej zająć drugą stronę.

– Mike, powiedz mi, co chcesz zrobić! – syknęła. Wyjął kartę. – Otworzyć drzwi i wrzucić granat.

– Zniszczymy aparaturę!

– Nie wyciągam zawlecзки – wyszczerzył zęby jak ucniak szykujący kawał nauczycielowi ale oni nie muszą o tym wiedzieć.

Włożył kartę do szczeliny i potoczył granat po podłodze, gdy tylko drzwi się nieco rozsunęły. Ze środka wybiegł przerażony strażnik – Graham chwycił go za ramię, przycisnął do ściany i szybko zrewidował, zabierając mu waltera P 5, którego włożył sobie za pas.

– Tu już nikogo nie ma – zawołała ze środka Sabrina, podnosząc granat.

Graham wepchnął strażnika do pomieszczenia, a Sabrina zamknęła drzwi. Pokój był niewielki, jedną ścianę wypełniały ekrany monitorów telewizyjnych, poniżej znajdował się panel kontrolny pełen przycisków i przełączników jak stół mikserski. Wszystkie były opatrzone numerami odnoszącymi się do dokładnego planu wiszącego na prawo od stanowiska operatora. – *Fala ingles?* – spytała Sabrina strażnika.

– *Sim* – padła niechętna odpowiedź.

– On mówi po angielsku – powiedziała do Grahama.

– Skapowałem. – Graham spojrzał na plakietkę na piersi strażnika. – Saltezar umiesz to obsługiwać?

– Tak. – Saltezar wpatrywał się w granat w ręce Sabriny.

Sabrina podniosła granat do góry i puknęła palcem w zawleczkę. Saltezar westchnął ciężko, wściekły, że tak łatwo dał się oszukać.

– Już czas. – Graham zwrócił się do Saltezara. – Które przyciski otwierają bramy?

– Sam się domyśl – warknął strażnik. Graham uderzył go w twarz ręką UZI, rzucił o ścianę i przystawił mu waltera do zbiegających warg. – Co mówiłeś?

– Ósmy i piętnasty – wyrzucił z siebie Saltezar. Sabrina usiadła w jednym z trzech obrotowych foteli przy stole kontrolnym i sprawdziła numery na planie. – Ósmy to brama wewnętrzna, piętnasty to główna.

Graham uderzył Saltezara za uchem pozbawiając go przytomności, posadził przy ścianie i usiadł kok Sabriny.

Wskazał ręką jeden z monitorów. – Biorą ciężarówkę! Dlaczego nie mercedesa? Przecież nie dadzą rady uciec tym gruchotem?

– Możesz postawić ostatniego dolara, że Siergiej to wymyślił – powiedział Graham ze

złością. – Dobrze, że chociaż C.W. prowadzi. Jeśli ktokolwiek może teraz z tego wyjść, to tylko on.

– Minęli pierwszą bramę – oznajmiła przerzucając przełącznik w przeciwne położenie. Brama zamknęła się za nimi.

– Bandyta na trójce. – Graham pokazał czarnego mercedesa zmierzającego przez trawnik w stronę ciężarówki.

– Na dziewiątce również – dodała ponuro, gdy w polu widzenia pojawił się drugi mercedes.

Graham przyjrzał się drugiemu Mercedesowi i ze złością huknął pięścią w stół. – To Drago, koło kierowcy.

Oba mercedesy zaczęły doganiać ciężarówkę. Pierwszy z nich spróbował wyprzedzić po trawniku, ale Whitlock puścił mu serię ze swego UZI i Larrios musiał zrezygnować. Mercedes został z tyłu. Drago próbował strzelić mu w opony, podobnie jak rano zrobił to z helikoptera. Whitlock odpowiedział jazdą zygzakiem od jednego skraju drogi do drugiego, mocno utrudniając mu zadanie. Kolczyński strzelił do tyłu na ślepo i znowu Larrios musiał wykonać gwałtowny manewr tracąc sporo dystansu. Ciężarówka wzięła już ostatni zakręt i Whitlock ujrzał o sto jardów przed sobą otwartą bramę.

– Saltezar, zamknij bramę! Zamknij bramę! – rozległ się głos Drago w głośniku pokoju kontrolnego. – Saltezar? Saltezar?

Graham odczekał, aż pojazd zbliży się na odległość dziesięciu jardów, i uruchomił zamykanie bramy.

– Saltezar, za późno! Otwieraj! – zachrypiał Drago w głośniku.

Ciężarówka minęła bramę ledwo się w niej mieszcząc i zniknęła z ekranu. Larrios zahamował ostro i obracając samochód bokiem do bramy, uderzył w nią. Kierowca drugiego samochodu trochę za późno zauważył, co się dzieje – zahamował gwałtownie, ale koła wpadły w poślizg i jego mercedes grzmotnął z dużą siłą w samochód Drago.

– Udało się! – Sabrina wyprowadziła triumfalny cios w powietrze.

Graham uśmiechnął się z zadowoleniem. – *Yeah*. Ale Drago tu wróci i nie mam ochoty czekać tutaj na niego. Coś mi mówi, że ma na nas chrapkę.

– A o cóż mógłby mieć do nas pretensję? – spytała bardzo poważnie.

– Alfa-Bravo-Zulu 643 do Saltezara, słyszysz mnie? Odbiór.

Przenieśli wzrok z głośnika na ekrany, próbując umiejscowić źródło głosu.

– Alfa-Bravo-Zulu 643 do Saltezara, słyszysz mnie? Odbiór – powtórzył głos.

– Odpowiedz mu – powiedziała Sabrina odnajdując radiotelefon. – I staraj się utrzymać akcent.

– Mówi Saltezar, odbiór.

– Co się tam dzieje? Drago cię udupi, chyba się domyślasz?

– Chwilowo nas tu przyskrzynili – odpowiedział Graham na bezdechu, starając się naśladować Salteзара. – Wdarł się tu facet z babką. Dopiero przed chwilą ich załatwiliśmy.

– Podnieś mnie, muszę gonić ciężarówkę.

Sabrina chwyciła Grahama za ramię i pokazała jeden z monitorów. Dwaj mężczyźni siedzieli w helikopterze typu Gazela. Pilot sprawdzał stan wskaźników na pulpicie sterowniczym, obok niego siedział strażnik z ręczną wyrzutnią raketową RPG-7, rosyjskiej produkcji. A więc Drago wysłał ich z rozkazem zabicia Whitlocka i Kolczyńskiego.

– Podnieś mnie – burknął pilot. – Saltezar, jesteś tam jeszcze?

W tym momencie Saltezar, który przed chwilą odzyskał przytomność, rzucił się niespodziewanie na Grahama i pchnął go na Sabrinę, przewracając oboje na podłogę. Szybko nacisnął dwa przyciski na pulpicie sterowniczym, sięgając jednocześnie po UZI. Graham zdążył jednak wyciągnąć walera z pasa i strzelił mu dwukrotnie w pierś, zabijając na miejscu. Sabrina wyjęła UZI z ręki martwego Salteзара i obróciła uwagę na ekrany monitorów.

Ujrzeni na monitorze, jak wrota lądowiska rozsuwają się i wyłania się z nich helikopter windowany do góry hydraulicznym podnośnikiem.

– Całkiem taki sam jak w naszej kwaterze w Zurychu – stwierdziła Sabrina.

– Owszem. I ma błąd konstrukcyjny, który usunięto dopiero wtedy, gdy o mały włos nie doszło do wypadku. – Graham spojrzał na dwie migające lampki. – Muszę wiedzieć, który jest który. Mają numery siedem i dwadzieścia trzy.

Sabrina spojrzała na plan. – Siedem to wrota, dwadzieścia trzy to prasa hydrauliczna. Co chcesz zrobić?

– Wszystko zależy od tego, czy ten system również ma ten błąd.

– Jaki błąd? – zapytała. – Nigdy o tym nie słyszałam.

– Wyciszono tę sprawę. – Spotkał jej pytający wzrok. – Wrota powinny być wyposażone w mechanizm uniemożliwiający ich zamknięcie, gdy podnośnik jeszcze pracuje. Nie było takiego mechanizmu, więc przypadkowe naciśnięcie guzika spowodowało, że wrota zaczęły się zamykać, zanim podnośnik doszedł do szczytowego położenia. Operator miał refleks i opuścił podnośnik, a wrota minęły się z rotorem helikoptera o pół cala.

– Masz zamiar zgnieść helikopter wrotami? – spytała ze zgrozą w oczach.

– Jeśli się uda. Przyznaję, to dość barbarzyński sposób, ale co powiesz na ten RPG-7? Pomijając już, co mogliby zrobić tą zabawką z naszymi motolotniami, które są teraz naszą ostatnią możliwością ucieczki stąd.

Skinęła głową, Graham miał niewątpliwą rację.

Gdy kabina helikoptera osiągnęła poziom drzwi, Graham zatrzymał podnośnik. Wcisnął guzik uruchamiający drzwi, lecz te stały w miejscu.

– Saltezar, co ty robisz? – zawył pilot przez głośnik. Graham walnął w guzik pięścią. Wrota

zaczęły się zamykać.

– Saltezar, drzwi! Otwórz je, na miłość boską! – jęczał pilot.

Strażnik odłożył wyrzutnię raketową i wyskoczył z kabiny na platformę, bezradnie rozglądając się za możliwością ucieczki. Był w pułapce – musiałby skakać z wysokości czterdziestu stóp. Pilot desperacko spróbował wystartować, ale śmigło wykonało tylko jeden obrót i zawadziło o wrota. Sabrina odwróciła wzrok, gdy helikopter został zgnieciony na pół jak plastikowa zabawka, a następnie eksplodował. Uszkodzone wrota zatrzymały się; płonące resztki helikoptera spadły w dół na znajdującą się poniżej maszynię. Pod przyciskami na pulpicie sterowniczym błysnęło krótkie światło i pulpit zaczął się palić.

Sabrina i Graham wyszli na korytarz, gdzie uruchomili windę, ale sami poszli schodami na poziom ogrodu. Wbrew obawom okazało się, że motolotnie są całe, więc już bez przygód wystartowali, pozostawiając uszkodzony aparat Grahama.

Gdy wylądowali przy opuszczonej kawiarni, Kolczyński i Whitlock już na nich czekali.

– Co z wami, w porządku? – zawołał Whitlock. Sabrina zdjęła hełm i strząsnęła włosy na ramiona.

Jej uśmiech mówił sam za siebie.

Graham również odłożył hełm i spojrzał na Kolczyńskiego. – W co ty się bawisz, Siergiej?! Dlaczego nie wzięliście mercedesa? Boisz się o wydatki? Czasami bywasz doprawdy bardzo dziwnym facetem, Siergiej!

– Skończyłeś? – zapytał chłodno Kolczyński. – Bo chcę ci coś pokazać. Czy może proszę cię o zbyt wiele?

Graham pokiwał głową. Kolczyński poszedł na tył ciężarówki i gestem przywołał Grahama.

– Idź z Mike'em – powiedział Whitlock do Sabriny.

Kolczyński zaczekał, aż Sabrina podejdzie, otworzył tylne drzwi ciężarówki i wspiął się na pozornie pustą platformę. Odkręcił fałszywą boczną ściankę i odsunął ją, ukazując skrzynię identyczną z tą, którą widzieli w Amsterdamie. Graham wyciągnął rękę w jej kierunku, na jego twarzy wyraźnie malowało się niedowierzanie.

Kolczyński skinął głową. – Tak, to jest oryginał.

– Zastrzelełeś mnie, Siergiej – powiedziała Sabrina gładząc ręką włosy.

– Mnie też – dorzucił Graham.

– Poprzedniej nocy zainstalowałem tę ściankę po drugiej stronie, aby schować tam fałszyfikat.

– Zaczekaj – poprosił Graham. – Skąd wzięłeś fałszyfikat?

– Przysłano mi z Metropolitan Museum – wyjaśnił Kolczyński.

– A co wisi w Metropolitan? – spytała Sabrina.

– Nic. Dziś jest poniedziałek, muzeum jest zamknięte. Transportowy Dornier już czeka na lotnisku, żeby zabrać obraz do Nowego Jorku. Jutro więc może spokojnie zawisnąć w galerii.

– Ale jakie znaczenie miało przełożenie ścianki na drugą stronę? – spytała Sabrina.

– Dziś rano czułem, że coś nam nie wyjdzie. Po prostu przeczucie. Wiedziony tym przeczuciem, wszedłem tu od razu, gdy C.W. ruszył spod domu Schradera, i przestawiłem ściankę, chowając oryginał i odsłaniając falsyfikat. Wtedy właśnie ukazał się Drago. Pięć sekund później już by się zorientował, co zrobiłem z obrazem.

Graham patrzył na swoje stopy. – Winien ci jestem przeprosiny.

– Przyjmę w zamian za kopertę – odpowiedział Kolczyński, wskazując jej czubek wystający z kieszeni Grahama.

Graham podał mu ją.

Whitlock klasnął w ręce. – Koniec zabawy. Im szybciej spakujemy motolotnie, tym prędzej znajdziemy się w hotelu.

– I tym wcześniej weźmiesz prysznic – roześmiała się Sabrina.

– Nie musisz mi tego mówić. – Whitlock rzucił złe spojrzenie na Kolczyńskiego.

– Jak wy, Anglicy, to mówicie, cel uświęca środki – odparł Kolczyński.

– Co będzie ze Schraderem i Drago? – spytała Sabrina.

– Nakaz aresztowania Drago za próbę przemytu narkotyków do Brazylii już wystawiono – powiedział Kolczyński. – Już za to dostanie dziesięć lat. Sytuacja Schradera jest nieco dziwna. Moglibyśmy go aresztować za kradzież *Nocnej straży*, ale to spowodowałoby sensację na całym świecie. Rijksmuseum, na przykład, nie chciałoby takiej reklamy. Pułkownik jest w kontakcie z reprezentantami pięciu zainteresowanych krajów oraz Holandii i Brazylii, szukają sposobu rozwiązania kwestii. Gdy wrócimy do hotelu, zadzwonię do niego i dowiem się, czy decyzja została podjęta.

Whitlock spojrzał na Danae. – Za cholerę nie chciałbym teraz być na miejscu Schradera.

Sabrina podążyła za wzrokiem Whitlocka. – A ja nie chciałbym być na miejscu Drago, gdy dopadnie go Schrader.

– Taak – mruknął Graham uśmiechając się do siebie. – Przypuszczam, że Schrader zostanie aresztowany za zamordowanie Drago.

– Nie byłabym tym ani trochę zdziwiona – zgodziła się Sabrina i dołączyła do kolegów składających motolotnie.

* * *

Aby dostać się do swego biura, Drago musiał użyć zapasowej karty identyfikacyjnej, którą przechowywał w sejfie w głównej recepcji. Nie zwracając uwagi na panujący naokoło nieporządek, podniósł pistolet Bernadelli leżący pod jego biurkiem i włożył go z powrotem do schowka pod blatem. Usiadł na obrotowym fotelu za biurkiem, wyjął pistolet CZ 75 i położył go

przed sobą. Daremnie obmacał kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Odsunął szufladę biurka sięgając po nową paczkę, gdy do biura wszedł Schrader. Drago odchylił się do tyłu. Wiedział, że żadne słowa nie wytłumaczą tego, co zaszło.

– Czternastu ludzi nie żyje. Pożar strawił hangar i pomieszczenie kontrolne, helikopter zniszczony, lądowisko nieodwracalnie uszkodzone, w budynku wszędzie ślady regularnej wojny. I nie odnoszę wrażenia, że ta statystyka jest przyczyną twojego przygnębienia.

Drago pochylił się do przodu, opierając łokcie na biurku. – Rezygnuję ze stanowiska, jeśli to jest to, co chciał pan usłyszeć. Mogę dać na piśmie.

Schrader podszedł do okna. – Powiedz mi, od jak dawna wiesz, że Grahamowie tylko udają małżeństwo? I że współpracują z tym Rosjaninem?

– Podejrzewałem, że nie są tymi, za kogo się podają od pierwszego momentu, jeszcze w klubie Riviera, ale nie miałem nic konkretnego na potwierdzenie podejrzeń. Ich przykrywka była nie do ugryzienia. A co do Rosjanina, nie wiedziałem, że jest członkiem grupy, aż do momentu, gdy przyszli go ratować.

– Co im się udało, wraz z odzyskaniem oryginału *Nocnej straży*.

– Niemożliwe. Przecież ma pan obraz w galerii!

– Też tak myślałem, dopóki go nie rozpakowałem. Kropka w środku werbla jest czerwona, a nie czarna. Musieli dokonać zamiany w ciężarówce.

– Nie mogli... – Drago przerwał nagle i powoli skinął głową. – No tak, fałszywa ścianka.

Schrader usiadł w fotelu naprzeciw Drago. – To nie jest główny powód mojej wizyty. Gdy siedziałem w galerii, wykonałem kilka telefonów, w tym jeden do znajomego oficera policji. Dziś rano znaleziono ciało Siobhan na plaży Botafogo.

– Siobhan nie żyje? – W oczach Drago było autentyczne przerażenie.

– Zastrzelono ją jednym strzałem prosto w serce. Kulę zidentyfikowano jako parabellum 9 mm, ten sam rodzaj, którego używasz w swoim CZ 75.

Drago rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku pistoletu. – Chyba nie sądzi pan, że miałem z tym coś wspólnego, panie Schrader?

– Zadzwońłem również do Kolumbii. Rosjanin miał rację.

– Rację? Jaką rację?

– Co do narkotyków. – Schrader wyjął waltera P5 z kieszeni marynarki i sięgnął po CZ 75 leżący na biurku. – Od lat nie miałem broni w rękach, ale z tej odległości raczej nie chybię. Mam zamiar przekazać policji twój automat, żeby porównali jego pociski z tym, którym zamordowano Siobhan. Będą tu za parę minut.

Usta Drago drgnęły w nerwowym uśmiechu, gdy powoli sięgał do umieszczonego pod biurkiem bernadellego. Musiał prowokować Schradera do dalszego mówienia. – Nic mi nie wiadomo o żadnych narkotykach, przysięgam panu.

– Renaldo Garcia przyleciał do Rio i zatrzymał się w hotelu Pałace jako twój gość. Dobrze cię pamięta, ponieważ, jak celnie zauważył, stanowisz rodzaj człowieka, który „odstaje od tłumu”. Moją pierwszą myślą było zabić cię. Ale mam lepszy pomysł – więzienie. Ciekawe, jak długo się uchowasz między kryminalistami, którym sam pomogłeś dostać się do pudła?

Drago ujął wreszcie pistolet i strzelił do Schradera spod biurka. Kula trafiła w brzuch; Schrader powoli osunął się na dywan i nie ruszał się. Drago zadzwonił do Larriosa i kazał mu czekać w samochodzie. Włożył do kieszeni oba kompromitujące go pistolety i pobiegł do windy.

W Rio był skończony, ale przed ucieczką miał jeszcze jeden interes do załatwienia – odzyskanie koperty. Za wszelką cenę.

Rozdział XIV

Sabrina otworzyła drzwi do apartamentu dla nowożeńców. Zrobiła krok do środka, gdy poczuła, że do krzyża, ktoś przykłada jej coś twardego i okrągłego. Natychmiast podniosła ręce do góry, aby ostrzec Grahama i Kolczyńskiego, którzy szli za nią.

– Major Smylie miał rację. Jesteś impulsywna i zbyt pewna siebie.

Sabrina odwróciła się. – Pułkownik Philpot!

Philpot zabrał laskę. – Gdybym ja był Drago, a laska pistoletem, już byś nie żyła.

– Ale Drago już jest pod opieką – sprytnie zoczyła z tematu podjętego przez Philpota.

– Uciekł, zanim policja przybyła do Danae. Nie twierdzą, że pójdzie za wami, ale to jest obecnie desperat, co czyni jego działanie nieprzewidywalnym.

– Przyjdzie tu po to. – Kolczyński podał Philpotowi kopertę.

Philpot podszedł do kanapy i usiadł. – Gdzie jest C.W.?

– Poszedł wziąć prysznic – odpowiedziała Sabrina.

– Prysznic?

– Tak, sir. Przyjdzie, gdy tylko skończy.

– Dawajcie go tu, szybko! – powiedział Philpot. – Muszę zaraz wracać do Nowego Jorku, żeby przygotować się na spotkanie z Sekretarzem Generalnym jutro rano, więc mam mało czasu.

– Zadzwońię po niego, sir.

– Tak, Sabrino! – zawołał za nią. I zamów mi filizankę herbaty, umieram z pragnienia.

– Kiedy przyjechał pan do Rio? – spytał Kolczyński siadając obok Philpota.

– Parę godzin temu. Przyjechałem prosto tutaj, ale w recepcji powiedziano mi, że Mike i Sabrina wyszli. Więc zdecydowałem się poczekać.

– Jak pan tu wszedł? – zapytał Graham otwierając butelkę wody Perrier, którą przed chwilą wyjął z lodówki.

– Mam jeszcze swoje sposoby – odpowiedział Philpot z uśmiechem. – Nie zawsze byłem przywiązany do biurka.

Graham odwzajemnił uśmiech i podniósł butelkę diet pepsy, patrząc pytająco na Sabrinę telefonującą do Whitlocka. Skinęła głową.

– Siergiej, co sobie życzysz?

– Coca, pepsi, wszystko jedno..

Graham przeniósł drinki na stół i również usiadł.

– Co się działo od twojego ostatniego telefonu? – spytał Philpot Kolczyńskiego. – Słyszałem tylko co nieco od tutejszej policji.

Kolczyński streścił przebieg zdarzeń od momentu, gdy razem z Whitlockiem pojechali do Danae, do spotkania w starej kawiarni. Graham opowiedział o uzyskaniu koperty.

– Więc oryginalny obraz jest w drodze do Nowego Jorku?

– Przed przyjściem tutaj załadowaliśmy go na Dorniera na lotnisku Galeao – odpowiedział Kolczyński.

Ktoś zapukał do drzwi i Graham wpuścił Whitlocka.

– Mam nadzieję, że nie wyciągnąłem cię spod prysznica. – W głosie Philpota była obecna lekka ironia.

Nie, sir, nawet nie miałem szansy odkręcić wody.

– Jestem pewien, że przeżyjesz jeszcze kilka minut. – Philpot wyjął z teczki skoroszyt i położył go na stole. – Mam wam sporo do opowiedzenia, dlatego postanowiłem przyjechać osobiście, zamiast opowiadać Siergiejowi przez telefon. Najpierw Schrader. – Philpot spojrzął po wszystkich twarzach po kolei. – Mówicie, że nikt z was nie kontaktował się z nim dziś rano?

Potrząsnęli głowami.

– Ale to można było przewidzieć, sir. Zgodnie z tym, co napisano w dossier, on nie cierpi przemocy od czasów Hechta. Był zbyt dobrym businessmanem na takie metody.

– Czytałem dossier, Sabrino. Pytam was, ponieważ znaleziono go postrzelonego w biurze Drago.

Whitlock spojrzął na Grahama.

– Ja tego nie zrobiłem – odpowiedział Graham patrząc na Whitlocka.

– Nikt nie twierdzi, że to ty zrobiłeś – powiedział Philpot łagodząc napięcie.

– Nie żyje? – spytał Kolczyński.

– Żyje, ale jego stan jest bardzo poważny. Jest w szpitalu Miquel Couto. Policja zakłada, że zrobił to Drago, ale nie ma pewności, dopóki Schrader nie odzyska świadomości.

– Jeżeli ją odzyska – powiedziała Sabrina.

– Lekarze uważają, że wyjdzie z tego, to tylko kwestia czasu.

Znowu rozległo się pukanie do drzwi i Sabrina dała Philpotowi popis patrzenia przez wizjer w drzwiach, następnie otworzyła je i odebrała tacę od kelnera. Graham podpisał rachunek i kelner wyszedł.

– Czy Schrader zostanie oskarżony? – spytał Whitlock, gdy Graham i Sabrina wrócili na miejsca.

Philpot nalał sobie filiżankę herbaty, dodał trochę mleka i zamieszał. – Siedem krajów zdecydowało, że nikt nie będzie oskarżony. Wszyscy chcą trzymać sprawę w tajemnicy. Mimo to zostaną poczynione kroki, aby ukarać tych, którzy zawinili. Schrader jest już persona non grata w Brazylii i gdy dostatecznie wyzdrowieje, zostanie deportowany. Ma zaledwie dwadzieścia osiem dni na spakowanie się. Drago będzie sądzony za zamordowanie Siobhan St Jacques i Caseya Morgana, próbę przeszmugłowania narkotyków do kraju oraz za niezliczone afery łapówkarskie, w których wystąpią również pewni tutejsi oficjele. Prezydent zapewnił mnie, że

poleci wiele głów w szeroko zakrojonej kampanii „oczyszczającej”; on osobiście będzie tę sprawę nadzorował. Jeśli chodzi o ślad amsterdamski, ich policja sprawdziła wczoraj księgi rachunkowe Horsta Kepplera i to, co znaleźli, wystarcza do przytknięcia go.

– Przyłapano go na fałszowaniu ksiąg, czy będzie proces poszlakowy?

– Czasami bywasz cyniczny, Mike. Udowodniono mu fałszowanie ksiąg. Gdyby nic nie znaleźli, to my byśmy znaleźli coś innego. Jego dwaj kumple, de Vere i Oosterhuis, również są aresztowani. Nie podjęto żadnej akcji przeciwko handlarzowi sztuki Terence Hamiltonowi. – Philpot otworzył skoroszyt i położył na stole kolorową fotografię paszportową. – A tego poznajecie?

Na zdjęciu figurował mężczyzna pod trzydziestkę, o gęstych rudych włosach i starannie przystrzyżonej brodzie. Był w mundurze, na ramieniu miał naszywki majora.

– Oczywiście, nie – powiedział Philpot, gdy już obejrzeliz zdjęcie. – Pomogę wam. Ogólcie mu brodę, ostrzyżcie włosy i przefarbujcie na blond, na końcu dodajcie okulary w metalowej oprawce.

Sabrina podniosła fotografię i zasłoniła palcem brodę, a potem włosy. Pokręciła głową z niedowierzaniem i podała zdjęcie Grahamowi.

– Powiedziałbym, że cały Drago – mruknął Graham i przekazał zdjęcie Whitlockowi.

– To nie jest Drago – odpowiedział Philpot. – To Andrzej Wundzik, który przeistoczył się w André Drago z niewielką pomocą CIA.

– CIA? – powiedział Kolczyński drapiąc się w głowę. – Zaskakujesz mnie, Malcolm.

– Zupełnie nas pan utopił tymi rewelacjami, sir – dodał Whitlock, mówiąc za wszystkich.

Philpot przerzucał przez chwilę papiery, aż znalazł to, czego szukał. – Długo musiałem nalegać na CIA, aby podzieliła się ze mną tą informacją. Gdy skończę, zrozumiecie dlaczego. Najpierw trochę o Wundziku. Urodził się w Gdańsku, w rodzinie wojskowej. Nie był zbyt wybitnym uczniem, za to bardzo interesował się sportem. Był znakomitym biegaczem, ale najbardziej lubił boks. W wieku szesnastu lat był mistrzem Polski juniorów.

– Mogę w to uwierzyć – mruknął Graham dotykając rozciętej brwi.

Philpot zganił go wzrokiem za przerywanie. – Karierę zawodniczą przerwał bez żadnej porażki, kiedy mając lat dziewiętnaście wstąpił do SB, polskiej służby bezpieczeństwa. Przeszedł szkolenie w akademii bielańskiej i został skierowany do Biura I-S, najbardziej zniechęconego i budzącego lęk departamentu SB. Jestem pewien, że kiedyś się z nimi zetknąłeś, Siergiej.

Kolczyński niechętnie skinął głową. – Oni działają na podobnych zasadach jak X Departament UB w latach pięćdziesiątych. Krótko mówiąc, nieograniczone możliwości i nieludzkie metody przesłuchań.

– Został wysłany do Gdańska z zadaniem rozpracowywania podziemnego ruchu Solidarności i odnosił takie sukcesy, że w wieku dwudziestu ośmiu lat został awansowany na majora.

Typowano go nawet w pewnych kręgach na przyszłego szefa SB. Ale miał jedną słabość – pieniądze. CIA to wykorzystała. – Philpot wyjął inną kartkę papieru. – Jego rekrutacją CIA osiągnęła swój wytyczony cel, jakim był werbunek czterech eksponowanych funkcjonariuszy służb specjalnych Europy Wschodniej. Po jednym z Polski i Bułgarii i dwóch ze Związku Radzieckiego. Określano ich jako „Quaternary”.

Wundzik od początku był słabym ogniwiem. Wydawał pieniądze garściami i CIA obawiała się, że wykrycie go może doprowadzić do dekonspiracji całej siatki agentów, a zwłaszcza pewnego wysoko postawionego podwójnego agenta w KGB. Aby więc chronić pozostałych trzech, postanowiono wyeliminować go z gry. Dano mu godzinę do namysłu, po której jego zdrada miała być ujawniona. Został przesmuglowany przez Bałtyk do Szwecji, skąd odleciał do Stanów na długi „debriefing”. Pozostali trzej członkowie „Quaternary” byli potem uważnie obserwowani, ale nic się nie stało. Ucieczkę Wundzika wzięto więc za dobrą monetę. Jednak wobec wyroku śmierci, jaki wydała na niego SB, trzeba było dać mu nową tożsamość. Został Czechem, bo tym językiem umiał mówić. Zmieniono mu wygląd, opracowano dokładny życiorys fikcyjnego André Drago i zapytano, w którą stronę chce jechać. Wybrał Rio.

A więc koperta zawiera nazwiska pozostałych trzech podwójnych agentów – wywnioskowała Sabrina.

– Zawiera pseudonimy wszystkich czterech agentów. Wygląda na to, że Drago szantażował analityka komputerowego CIA o nazwisku Holden, a ten włamał się do programu Alfa, najbardziej tajnego programu w Langley, i znalazł pseudonimy trzech pozostałych agentów „Quaternary”. Holden zawiózł te pseudonimy do Amsterdamu i zostawił je w kopercie w skrytce na Central Station, a następnie zginął, kiedy eksplodowała teczka z ładunkiem wybuchowym, o której przypuszczalnie sądził, że zawiera zapłatę.

– Ale dlaczego CIA nie zatrzymała Holdena, jeżeli wiedziała, co on robi? – zapytał Grahama

– Domyślili się dopiero, gdy zidentyfikowano ciało Holdena. Ale wtedy Drago już miał kopertę.

– Dlaczego Drago posunął się tak daleko w zdobywaniu tych pseudonimów? – spytał Whitlock.

– Zemsta, chyba że dyrektor CIA wie coś jeszcze – odpowiedział Philpot. – Drago chciał się zemścić na CIA za ujawnienie go i spowodowanie, że stał się poszukiwany przez resztę życia. Blok Wschodni bardzo bezwzględnie ściga swoich zdrajców. Wygląda na to, że on próbuje ustrzelić dwa ptaszki jednym strzałem, to znaczy spalić „Quaternary” na złość CIA i zarobić forszę, która mu wystarczy do końca życia.

Kolczyński pocierał czubek nosa w zamyśleniu. – Czy KGB wie, że Drago i Wundzik to ta sama osoba?

– O to samo zapytałem Langley. Odpowiedzieli, że nie. Ale ja jestem tego pewien.

– Sir, co wiedziała Siobhan? – zapytała cicho Sabrina.

– Właściwie niewiele. Powiedziano jej tylko, że Drago będzie miał kopertę przy sobie na przyjęciu u Schradera. Jej zadaniem było zdobyć kopertę i dostarczyć swojemu łącznikowi.

– A skąd CIA wiedziała, że będzie miał kopertę przy sobie?

– Leonow kazał mu mieć ją ze sobą podczas spotkania.

– Ciągle nie rozumiem – powiedziała Sabrina marszcząc twarz. – Skąd CIA wiedziała, że KGB wyśle akurat Leonowa?

– Bo im powiedział.

– Mówisz więc, że Leonow pracuje dla CIA? To niedorzeczne, Malcolm.

Philpot pchnął kopertę w stronę Kolczyńskiego. – Otwórz ją. Jest tam Phoenix i Jackdaw. Pierwszy to Drago, drugi to Leonow.

Kolczyński otworzył kopertę, wyjął kawałek komputerowego wydruku i rozłożył go. Przeczytał:

1. *Jackdaw*

2. *Sapphire*

3. *Hurricane*

4. *Phoenix*

– Nie uwierzę – powiedział Kolczyński i rzucił papier na stół. – Jak długo on jest podwójnym agentem?

– Sześć lat, według Langley. Został zwerbowany jako pierwszy z całej czwórki.

– Kto jest drugim Rosjaninem?

– Wiem tylko, że jest w GRU, w wywiadzie wojskowym.

Kolczyński odchylił się do tyłu z rękami założonymi na głowę. Opuścił w końcu ręce i spojrzał na Philpota. – Gdybyś mnie zapytał o listę najbardziej zajadłych oficerów KGB, z jakimi się zetknąłem, Jurij byłby między nimi. A gdybyś chciał mieć listę tych, którzy najbardziej nienawidzą Zachodu, Jurij znalazłby się na pierwszym miejscu. Dużymi literami. Wprost nie mogę w to uwierzyć. Jurij jako podwójny agent!

– To jest właśnie piękno tej roboty – odpowiedział Philpot. – Któż mógłby go podejrzewać?

– Jeżeli CIA wiedziała, że odbiorcą koperty będzie Leonow, to w jakim celu posłano Siobhan? – zapytała Sabrina.

– Gdy Drago powiadomił KGB, że ma te pseudonimy na sprzedaż, oni musieli wysłać kogoś bezwzględnie zaufanego na negocjacje. CIA zleciła Leonowowi, żeby postarał się o to zadanie. Nie potrzebował perswazji, w końcu to jego szyja znalazła się na pieńku. Zaproponował samego siebie, czym musiał wzbudzić pewne podejrzenia, zwłaszcza wśród osób mu niechętnych. – Philpot zrobił przerwę na łyk herbaty. – CIA postanowiła osłabić te podejrzenia przez wypuszczenie do sprawy swojej agentki, co miało stworzyć wrażenie, że polują na tę kopertę.

– Siobhan – powiedziała Sabrina.

Philpot skinął głową. Jedynym problemem było to, że rola Siobhan była jedną z najściślejszych tajemnic CIA. Więc niby to przypadkowo zdemaskowano ją, aby dać Leonowowi tak potrzebną wiarygodność.

– Czy ona o tym wiedziała?

– Nie.

– Skurwysyny! – syknęła Sabrina ze złością.

– A co z tą listą? – spytał Whitlock wskazując na papier.

Oficjalnie nie mamy z tym nic wspólnego. Nieoficjalnie, zostawiam tę sprawę w rękach Siergieja. Philpot przeciągle spojrział na Kolczyńskiego. CIA nie ma pojęcia, że mamy tę kopertę. Zrób to, co uważasz za właściwe w zaistniałej sytuacji.

Kolczyński złożył papier i wsunął go do kieszeni.

– Jest coś jeszcze. Philpot odsunął filiżankę. – Zeszłej nocy zamordowano Martina Cohena.

Whitlock wstał i wyszedł z pokoju, cicho zamykając drzwi za sobą.

– Co się stało? – spytała Sabrina.

– Zginął w strzelaninie z bandytami na farmie pod Trypolisem.

– A bandyci? – spytał Graham.

– Nie żyją.

– Jak przyjęła to Hannah? – zapytał Kolczyński.

– Już z nią lepiej. Sprowadziłem jej rodziców z Izraela, żeby się nią zaopiekowali. – Philpot odłożył do teczki skoroszyt i wstał. – Muszę was teraz przeprosić, bo mam zaraz samolot.

– Podwożę cię na lotnisko – zaproponował Kolczyński.

– Dobrze. I tak mam jeszcze parę spraw do ciebie.

– Mike, masz kluczyki od ciężarówki?

Graham wyjął kluczyki z kieszeni i podał je Kolczyńskiemu.

– Zobaczę się z wami w ONZ. – Philpot zwrócił się do Grahama i Sabriny. – O której macie samolot?

– Jutro rano – odpowiedziała Sabrina. – Siergiej rezerwował miejsca.

– Lot o dziesiątej na lotnisko Kennedy’ego – uzupełnił Kolczyński.

Philpot już chciał coś powiedzieć o Whitlocku, ale się rozmyślił i wyszedł. Kolczyński poszedł za nim.

– Nie znałam zbyt dobrze Marty’ego – Sabrina przerwała zapadłą ciszę. – Zawsze odnosił się do mnie przyjaźnie, ale miałam wrażenie, że nie przepada za mną za to, że jestem agentem operacyjnym w przeciwieństwie do technika czy też analityka komputerowego, jakim była jego żona.

– To prawda.

– Mówił ci coś?

– Mówił C.W. Podobnie jak ty, nie znałem go zbyt dobrze.

– A co mówił? – spytała.

Uważał, że praca operacyjna jest dla mężczyzn i że powinnaś być instruktorem strzeleckim w Centrum Szkoleniowym. Po prostu był staroświecki.

Rozległo się pukanie do drzwi. Na zaproszenie Sabriny wszedł portier z uprzejmym uśmiechem. – Czy jest pan Graham?

– Mike, do ciebie – zawołała przez ramię.

– Mam dla pana wiadomość od pana Whitlocka powiedział portier do Grahama. Pan Whitlock chce się z panem widzieć w foyer.

– Proszę mu powiedzieć, że zaraz przyjdę odpowiedział Graham.

– Dlaczego po prostu nie zadzwonił z recepcji? – zastanowiła się Sabrina, gdy portier wyszedł.

– Ma głowę pełną problemów. Słuchaj, zadzwonię, jeżeli będzie chciał ze mną gdzieś iść, a jeśli nie, to będę w hotelu, gdyby coś zaszło. – Wybiegł na korytarz wołając na portiera, żeby zatrzymał windę.

Sabrina zamknęła drzwi i wyszła na balkon.

Znowu rozległo się pukanie.

Sabrina podniosła rękę do góry w geście desperacji i podeszła do drzwi. Otworzyła przed nią stał Larrios z pneumatycznym pistoletem w prawej ręce. Strzelił jej w szyję. Zatoczyła się do pokoju, obraz w jej oczach nagle rozmazał się w kalejdoskop barwnych plam. Wyciągnęła rękę do kanapy, nie sięgając jej upadła na kolana. Jeszcze przypomniała sobie uwagę Philpota na temat swej impulsywności i pewności siebie – i upadła twarzą do ziemi, tracąc przytomność.

Drago w błękitnym kapeluszu i ciemnych okularach wepchnął do pokoju wózek do przewożenia brudnej bielizny. Zdjął z ręki Sabriny obrączkę ślubną, następnie wraz i Larriosem włożył Sabrinę do wózka i przykrył ją stertą ręczników i prześcieradeł. Larrios wyprowadził wózek na korytarz i zniknął wraz z nim w pokoju obsługi hotelu.

Drago zjechał na dół do foyer i skierował kroki w stronę Grahama, prowadzącego nerwową rozmowę z portierem, który przyniósł mu wiadomość o Whitlocku.

– Sądzę, że mnie szukasz? – powiedział do Grahama i odprawił portiera ruchem ręki.

– Gdzie Whitlock? – spytał Graham.

– Ostatnio widziałem go idącego wzdłuż Atlantica Avenue w stronę Copacabana Beach. Wtedy właśnie przyszedł mi do głowy pomysł użycia jego nazwiska, aby ściągnąć cię tu na dół.

– Masz nerwy, Drago, że tu przyszedłeś. Jeden telefon i policja z całego miasta zleci się tu, żeby cię aresztować.

– Ale wtedy nie ujrzałyś więcej twojej ślicznej Sabriny – odparł Drago wręczając mu

obrączkę.

Graham pchnął Drago na ścianę. – Gdzie ona jest?

– Robisz scenę, Graham, a to nie rozwiąże niczego.

Graham puścił go niechętnie.

Drago uśmiechnął się do nadchodzącego pracownika ochrony hotelu. – Przepraszam, to całkowicie moja wina. Szwagier pożyczył mi trochę pieniędzy, a ja przegrałem je w Jockey Club. Wie pan, jak gra może człowieka wciągnąć?

– Jeśli chcecie się bić, róbcie to na zewnątrz, nie w hotelu.

– Już wszystko w porządku powiedział Drago uspokajająco.

Ochroniarz obrzucił ich podejrzliwym spojrzeniem i odszedł.

– O co chodzi? Uwolnisz ją za kopertę?

– Świetnie się rozumiemy. Powiedzmy, klub Riviera za dwie godziny. – Drago zauważył niepewność w oczach Grahama. W poniedziałki jest zamknięty. Drzwi wejściowe będą otwarte. Będę w kasynie. Przyjdź sam i bez broni. Będę w stanie sprawdzić jedno i drugie, więc nie próbuj wywieść mnie w pole.

– O, to nie wydaje mi się zbyt trudne – odpowiedział Graham zjadliwie.

Oczy Drago zwężyły się. – Nie tym razem.

Graham wyciągnął palec w jego kierunku. Spróbuj jej zrobić krzywdę, a załatwię cię gołymi rękami.

– Miałem wrażenie, że uczucie między wami jest jednostronne. Widzę, że się myliłem. – Drago spojrział na zegarek. – Jest wpół do drugiej. O wpół do czwartej w klubie Riviera.

Graham obserwował Drago opuszczającego hotel, potem spojrział na obrączkę. W zamyśleniu obrócił ją w palcach i skierował się do windy.

– Jeszcze raz powtarzam, że powinienem cię ubezpieczać.

– Już mieliśmy do czynienia z tym facetem, Siergiej. Żadnej broni, żadnych ubezpieczeń. Musimy grać według reguł narzuconych przez Drago, dla dobra Sabriny.

Kolczyński wzruszył ramionami z rezygnacją. Najpierw C.W. wychodzi, potem Sabrina zostaje uprowadzona. Takie przypadki często chodzą trójkami. Uważaj, Mike.

– Nie bądź taki podejrzliwy. – Graham dotknął jego ramienia. – I nie martw się o C.W., on wróci.

– Ale czy tu zostanie?

– Przekonamy się o tym, gdy wróci. – Graham schował kopertę do kieszeni. – I daj mi słowo, Siergiej, żadnych ubezpieczeń.

– Żadnych ubezpieczeń – mruknął Kolczyński.

– Postąpię zgodnie z planem, który ustaliliśmy. Obiecuję.

Graham wyszedł z pokoju, zjechał windą do foyer, wyszedł na zewnątrz i przywołał taksówkę. Larríos, siedzący w wynajętym fordzie escort, uruchomił silnik i włączył się do ruchu, jadąc za taksówką Grahama.

Taksówka zatrzymała się przy klubie Riviera i Graham wysiadł, zapłacił za kurs, przeszedł przez chodnik i pchnął szklane drzwi. Jedno ich skrzydło było otwarte. Wsunął się do środka i rozejrzał się po hallu, zatrzymując wzrok na kamerze telewizyjnej nad recepcją. Kamera go obserwowała. Podeszedł do schodów i ponownie spojrzął na kamerę – śledziła go. Wspiął się na schody i wszedł do kasyna. Sabrina siedziała na schodach po przeciwnej stronie sali z rękami przykutymi do barierki, na ustach miała taśmę samoprzylepną. Jej oczy rozszerzyły się na jego widok i potrząsnęła głową desperacko, próbując ostrzec go przed dalszym zbliżaniem się. Graham zignorował ostrzeżenie.

– Wystarczy w zupełności, Graham – powiedział Drago. Stał w drzwiach, które nie były widoczne z wejścia do kasyna. – Nie masz nic ciężkiego, jestem pod wrażeniem. Naprawdę byłem przekonany, że wejdiesz tu ziejąc ogniem.

– Tak bym zrobił, gdybym sądził, że detektor metalu w drzwiach wejściowych nie wykryje broni.

– To główna przyczyna, dla której wybrałem ten klub.

Graham spojrzął na Sabrinę. – Nic ci nie jest?

Skinęła głową.

– Dość już wstępnych uprzejmości. Masz kopertę?

– To nie takie proste, Drago.

– Co masz na myśli?

– Przecież nie sądziłeś chyba, że wejdę tu bez broni i oddam kopertę bez żadnego zabezpieczenia?

– Mów dalej.

– W kieszeni mam fotokopię listy z koperty. Whitlock ma oryginał. – Graham spojrzął na zegarek. – Jest trzecia dwadzieścia dwie. Dokładnie za osiem minut on zadzwoni do automatu po przeciwnej stronie ulicy i jeśli po piątym dzwonku nikt nie odbierze albo jeśli tylko jedno z nas będzie mogło mówić, zawiezie listę z koperty wraz z kopią twojej kartoteki w CIA do polskiego konsulatu i wręczy polskiemu ambasadorowi. Gwarantuję, że w ciągu godziny wystartuje do Rio samolot z ekipą SB.

Drago był w widoczny sposób wstrząśnięty słowami Grahama. – Kim ty jesteś?

– To nie jest ważne. Powiedzmy, że mam wysoko postawionych przyjaciół.

– Skąd mam pewność, że Whitlock nie dostarczy im tego nawet wtedy, gdy dotrzymam umowy?

– Nie masz pewności, podobnie jak my nie wiemy na pewno, że nie zastrzelisz nas po

otrzymaniu listy. – Graham spojrział na zegarek. To jak będzie?

– Pokaż mi listę.

Graham rzucił kopertę na stół do ruletki i odszedł kilka kroków, gdy Drago pomachał mu pistoletem. Drago podszedł do stołu i skierował wzrok na kopertę, w tym momencie Graham wykorzystał szansę i zaatakował Drago niskim rzutem futbolisty. Pistolet wypadł z jego ręki. Jednak Drago zablokował cios Grahama i uderzył go w twarz dwoma szybkimi ciosami z lewej i prawej ręki. Graham odchylił się do tyłu, Drago zaś poprawił dwoma zjadliwymi uderzeniami w nerki, rzucając go na kolana, po czym odniósł pistolet i przystawił mu do głowy.

– Wundzik!

Drago zamarł. Usłyszał swoje nazwisko po raz pierwszy od pięciu lat. A więc SB w końcu go wytropiło! Zawsze wiedział, że w końcu im się uda. Odwrócił się powoli sądząc, że ujrzy jednego lub kilku swoich byłych kolegów. Na szczycie schodów stał Whitlock z browniegiem w wyciągniętych rękach. Drago roześmiał się głośno i podniósł broń chcąc strzelić. Whitlock strzelił mu prosto w serce. Pistolet wypadł z bezwładnej ręki Drago, on sam zaś zaczął powoli osuwać się na podłogę. Zanim upadł, już nie żył.

Larrios, który obserwował bieg wydarzeń na monitorze w centrali telewizji wewnętrznej, wyjął z kabury waltera P5 i wbiegł po schodach prowadzących do kasyna. Wpadł przez drzwi, którymi wszedł Drago, i strzelił Whitlockowi w piersi. Whitlock upadł do tyłu na barierkę i grzotnął o podłogę na skraju schodów. Graham przeokoziółkował po dywanie, chwycił CZ 75 Drago i strzelił do Larriosa spod stołu. Larrios odrzucił broń i obiema rękami chwycił się za brzuch. Graham posłał mu jeszcze cztery kule, rzucając go na ścianę. Z ust Larriosa płynęła krew, gdy opadł nieżywy na podłogę. Graham odrzucił pistolet i podbiegł do Whitlocka, który leżał twarzą do podłogi. Ostrożnie przewrócił go na plecy.

Whitlock otworzył oczy i odsunął rękę z piersi. Jego koszula była przedziurawiona, ale nie było widać krwi. – Dzięki Bogu, że nie wziąłem w końcu tego prysznicza. Gdybym to zrobił, to na pewno nie miałbym teraz na sobie koszulki kuloodpornej!

– Myślałem, że cię zabił. – Graham był wzburzony. Zabrał rękę spod jego głowy.

– Przepraszam, że cię rozczarowałem. – Whitlock usiadł masując miejsce, w które uderzyła kula.

Graham podszedł do Sabriny i zdjął jej z ust taśmę. – Co z tobą, w porządku?

– Będzie w porządku, jeśli zdejmiesz mi te kajdanki. Drago ma klucz w kieszeni.

Graham znalazł klucz. Wracając do Sabriny zauważył coś błyszczącego na podłodze. Był to amulet figa, подарowany mu przez Schradera, zerwany podczas walki. Podniósł go i rzucił na ciało Drago. Będziesz go potrzebował tam, dokąd się teraz udajesz!

Sabrina, masując przeguby dłoni po zdjęciu kajdanek, spojrzała na zbliżającego się do nich Whitlocka. Nie mogłeś lepiej wybrać momentu wejścia na scenę.

Whitlock pomógł jej wstać i wszyscy podeszli do baru.

– W hotelu rozminęliśmy się z Mike’em o kilka sekund. Gdy Siergiej opowiedział mi, co zaszło, pospieszyłem tu najszybciej, jak tylko mogłem. Wiem, Mike, że nie chciałeś ubezpieczenia, ale coś mi mówiło, że możesz go jednak potrzebować.

– Skąd ci się wzięło to przeczucie? – spytał Graham ze słabym uśmiechem.

– Mike, co było w tej kopercie? – spytała Sabrina.

– Nic. Razem z Siergiejem wymyśliliśmy ten bluff z polską ambasadą, wiedząc, że go to musi poruszyć i odwrócić jego uwagę. Wtedy właśnie miałem zamiar go zaatakować. To wszystko. – Graham wszedł za bar i otworzył pół tuzina lodówek, zanim znalazł wodę Perrier.

– Mnie też daj – poprosił Whitlock. Graham otworzył drugą butelkę i podał ją Whitlockowi, a sam podjął poszukiwania diet pepsy. Znalazłszy, napełnił szklanę i podał Sabrinie.

– Tylko nie porzuć dotychczasowej roboty, Mike – zażartował Whitlock, nawiązując do jego chwilowej roli barmana.

– Nie mam zamiaru. – Graham oparł się o kontuar. – A jak z tobą?

– Nie wiem, czy zauważyliście, ale rzeczywiście chodziło mi to ostatnio po głowie. Carmen chce, żebym porzucił UNACO i założył prywatną firmę ochroniarską. Ja chcę zostać. – Whitlock pociągnął łyk z butelki i spojrzał na swoje odbicie w lustrze za Grahamem. – Gdy wyszedłem od was, przeprowadziliśmy z Carmen długą rozmowę. Postanowiliśmy ratować nasze małżeństwo, zgodziliśmy się przynajmniej co do tego. Ale to dopiero początek. – Odsunął butelkę. – No, dobrze, chodźmy już, bo chyba nadużywamy już gościnności tego domu.

Graham wyszedł zza baru i stanął obok Sabriny. – Jesteśmy w Rio już trzy dni i jeszcze nie zawadziliśmy o plażę. Co powiesz na spędzenie popołudnia na Ipanema?

– Albo Copacabana – zaproponował.

– Albo Copacabana – zgodziła się i zwróciła do Whitlocka. – Przyłączasz się?

– Jasne, dlaczego nie. Chętnie poszedłbym z wami od razu. Ale mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

– Co takiego? – spytała Sabrina.

– Pysznic.

Graham i Sabrina roześmieli się i wszyscy skierowali się w stronę drzwi.

* * *

– Sądysz, że się pokaże? – zapytał Graham wyglądając przez okno ciężarówki.

– Jestem tego pewien – Kolczyński zapalił następnego papierosa.

– Co mu powiedziałaś przez telefon?

– Po prostu, powiedziałem, że mam tę listę i że ma przyjść do domku Drago na plaży

o ósmej, tak jak był z nim umówiony.

Graham patrzył na plażę Leme. – Anonimowy telefon?

– Tak. Dlatego jestem pewien, że przyjdzie. Jest mocno tym zaintrygowany.

– Drago miał tu niezłą chatę, prawda?

Kolczyński wystawił głowę na zewnątrz, aby spojrzeć na domek na wzgórzu. – Stamtąd musi się roztaczać ładny widok, ale chyba trudno to nazwać w pełni prywatnym, bo do plaży jest tylko pięćdziesiąt jardów.

– Raj podróżnika – uśmiechnął się Graham.

– Jest jakaś ironia w tym, że należał do mizoginika. – Kolczyński strząsnął popiół z papierosa.

– No, chyba mamy towarzystwo – powiedział Graham patrząc na światła zbliżającego się samochodu.

Kolczyński spojrział na zegarek. – Dokładnie ósma. Jurij nie zmienił się.

Czarny BMW-7321 zatrzymał się w odległości dwudziestu jardów od ciężarówki. Kierowca otworzył drzwi samochodu i ze środka wyszedł Leonow. Obciągnął marynarkę, skierował się w stronę ciężarówki i zatrzymał dokładnie w połowie odległości pomiędzy obydwoma pojazdami. Osłaniając oczy przed światłami samochodu przyglądał się zbliżającej się doń postaci. – Siergiej? – w jego głosie słychać było niezmiernie zdumienie. – Co ty tu robisz? Gdzie jest Drago?

– Drago nie żyje. Jestem tu, żeby zakończyć jego interes. Przy okazji, jak mam do ciebie mówić, Jurij czy Jackdaw?

Leonow, który już opanował początkowy szok, uśmiechnął się zimno. – A dlaczego UNACO wtyka nos w cudze sprawy? Przecież nadal u nich pracujesz?

– Jaki układ miałeś z Drago? – spytał Kolczyński z pogardą. – Interesuje mnie jedna rzecz. Jeżeli lista ma wrócić do CIA, to co przekażesz do KGB?

– Inną listę pseudonimów podwójnych agentów, tylko już zużytych. Dwóch Rosjan, jeden Bułgar, jeden Polak, całkiem jak prawdziwe „Quaternary”.

– Ale dlaczego, Jurij? Dlaczego zdrada?

– Ty i twoi ludzie powinniście to zrozumieć, Siergiej. Ty nienawidziłeś dyktatorskich, represyjnych metod podobnie jak ja. Teraz, dzięki wysiłkom ludzi takich jak ja, to się zmienia na lepsze.

– Jest tylko taka różnica, że ja głośno wypowiadałem swoje opinie, ale nie sprzedawałem swoich kolegów do CIA.

– No i popatrz, co ta otwartość ci dała. Banicję na Zachód w charakterze attache, bez szansy odzyskania zaufania dowództwa KGB.

– Przynajmniej sumienie nie przeszkadza mi zasnąć. A twoje?

– Nie przyszedłem tu na ideologiczne rozmowy. Przyszedłem, żeby odebrać tę listę.

– Nie jest na sprzedaż.

– Chcę mieć tę listę, Siergiej, i użyję siły, jeśli będzie trzeba. – Leonow wskazał ręką na swój samochód. – Major Nikołaj Złotini, jeden z najlepszych oficerów w oddziałach specjalnych. Osobiście go wybrałem, aby mi tu towarzyszył.

– Słyszałem o Złotinie. Wierzę, że to jeden z najlepszych. Podobnie zresztą jak mój kierowca. Podobno znasz go? Mike Graham.

Leonow zerknął Kolczyńskiemu przez ramię, ale mógł dostrzec jedynie niewyraźną sylwetkę obok ciężarówki. – Teraz rozumiem. Myślałem, że z Deltę przeszedł do CIA, dlatego wtedy na przyjęciu u Schradera udałem, że go nie poznaję. Okazuje się, że to była dezinformacja CIA.

Dezinformacja UNACO – poprawił go Kolczyński.

– Mogę podnieść cenę do miliona dolarów powiedział Leonow. – Kamyki są w samochodzie. Weź je, Siergiej, i daj mi listę.

– Powiedz mi, dlaczego CIA jest gotowa zapłacić milion dolarów za cztery słowa, które doskonale zna? Musi być w tym coś jeszcze, prawda?

Leonow westchnął i skinął głową. – Brad Holden włamał się do dossier programu Alfa, łamiąc trzy zabezpieczenia. Poza tymi czterema agentami tylko pięć osób wiedziało o istnieniu tego dossier, wszyscy wewnątrz CIA. Przez sześć lat było to aż tak tajne.

– Więc jak Holdenowi udało się włamać?

– On brał udział w opracowaniu tego programu. Wiedział, że wystarczy znaleźć odpowiednie hasła. Gdy już mu się to udało, przeniósł dane w inne miejsce, nikt nie wie gdzie. W dodatku unieszkodliwił te trzy hasła i wprowadził w ich miejsce jedno, swoje własne. Drago powiedział Holdenowi, żeby podał nowe hasło na dostarczonej mu liście, aby KGB mogło zweryfikować prawdziwość danych. Jak wiesz, KGB ma swoich programistów, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę usiłujący włamać się do komputera w Langley, więc jest tylko kwestią czasu złamanie przez nich tego jednego hasła i dobranie się do dossier. CIA musi dostać ten kod jak najszybciej, aby ukryć dossier w bezpiecznym miejscu, pod własnymi hasłami. Siergiej, musisz mi dać tę listę.

Kolczyński wyjął z kieszeni kartkę papieru komputerowego i podał ją Leonowowi. Leonow obejrzał obie strony wydruku i spojrział na Kolczyńskiego z przerażeniem. – Tu nie ma żadnego hasła!

– Albo Holden go nie napisał w nadziei wyciągnięcia większej ilości pieniędzy od Drago, albo Drago je usunął w nadziei wyciągnięcia większej ilości pieniędzy od CIA. Chyba nigdy się tego nie dowiemy.

Kolczyński wrócił do ciężarówki.

– Co było? – spytał Graham.

– Nie wiem, Mike, i już się nie dowiemy – mruknął Kolczyński, patrząc na sylwetkę Leonowa patetycznie zmierzającego do swego samochodu.

Graham zrezygnował z dalszych pytań i włączył starter. Na szybę spadły pierwsze krople deszczu. Spojrzał w niebo – chyba będzie deszczowa noc. Ale jak to u Grahama, było to tylko przeczucie.